

Robert J. Szmidt

Kroniki Jednorożca

Polowanie



Prolog

Bazylikę Świętego Piotra przebudowywano wiele razy. Daleka była droga od wizji Bramante'go, przez projekty Rafaela, aż do Michała Anioła, który na szkicach tego pierwszego oparł ostateczną wersję świątyni. Tę, znaną nam dzisiaj. Górzącą nad Wiecznym Miastem. Nie tylko głoszącą wśród pielgrzymów chwałę Najwyższego, ale także powalającą na kolana niezwykłym pięknem i majestatem tych, którym wydaje się, że w Boga nigdy nie uwierzą.

Podobne wrażenie odnosi pielgrzym spoglądający na symbolizujące czterech ewangelistów strzeliste, acz wciąż nieukończone wieże barcelońskiej Sagrada Família. Bazylika ta jest tak odmienna od wyobrażenia klasycznego kościoła, że człowiek wkraczając w jej mury czuje się, jakby wstępował do zupełnie innego świata. Patrząc na niesamowite, obce wręcz kształty budowli nawet ktoś dobrze obeznany ze sztuką architektury musi przyznać, że jego wiedza jest niczym w porównaniu z geniuszem Gaudiego.

Nie brak na świecie mistycznych budowli sakralnych, od wieków urzekających pięknem, i nic w tym dziwnego: ich twórcy czynili wszystko co w ludzkiej mocy, by dzieło było godne Boga. Mając w pamięci te cuda, trudno zrozumieć, czym kierowali się projektanci domu bożego stojącego w samym sercu Białegostoku. Betonowa bryła, przypominająca raczej halę hipermarketu aniżeli kościół, niewiele miała w sobie gotyckiej wyniosłości. Nie była też wzorem stylu modernistycznego, a już z pewnością nie wywierała należytego wrażenia na wiernych, którzy całkiem niedaleko mogli znaleźć zacisze do modłów w jednej z pereł europejskiej architektury sakralnej. Tyle że tamten budynek zdobiły prawosławne krzyże.

Wnętrze betonowej świątyni też było surowe, białe jak oblicze śmierci, chłodne jak jej oddech, mimo że na dworze panował właśnie trudny do zniesienia upał. Masywne drzwi zamknęły się za wchodzącym z głuchym łomotem, lecz nikt z obecnych nie odwrócił głowy. Przebrzmiały już akordy organów, za chwilę miało rozpocząć się kazanie; kapłan wspinał się właśnie po stopniach niewysokiej ambony.

– Jedno jest królestwo w niebiesiech... – powiedział ubrany na biało mężczyzna o długich siwych włosach i przeraźliwie szczupłej twarzy, wchodząc między ostatnie rzędy pustych ławek. – Czyż nie tak mówi Biblia?

Wierni jak na komendę zwrócili się ku idącemu środkiem nawy przybyszowi.

Otwierający Pismo Święte kapłan zamarł z uniesioną do błogosławieństwa ręką, patrząc z nieskrywanym zaskoczeniem na zbliżającą się do ambony postać. W absolutnej ciszy każde zetknięcie podkutych obcasów z imitacją marmuru na posadzce brzmiało w uszach zgromadzonych niczym uderzenie kowalskiego młota.

– Dlaczego więc, miast wspólnie głosić chwałę Zbawiciela, rozłupujecie wciąż Królestwo Chrystusowe na kolejne, niewiele różniące się od siebie odłamki? – zapytał przybysz, a głos miał mocny, donośny, choć zarazem bardzo spokojny.

Zgromadzeni w świątyni widzieli go teraz lepiej. Orli, wydatny nos. Zrytą zmarszczkami wychudłą twarz. Pokryte dwudniowym, ale rzadkim zarostem zapadłe policzki. I oczy... Niesamowite, lśniące i tak niebieskie jak królestwo, o którym mówił. Mężczyzna zatrzymał się przy pierwszych ławach. Przyklęknął ostrożnie na jedno kolano i przeżegnał się zamaszycie, pochylając głęboko głowę.

– Dla srebrników to czynicie, jak Judasz? – zadał kolejne pytanie, powstając z ironicznym uśmiechem na szerokich ustach. – A może dla chwili złudnej władzy?

– O kim... mowa? – wyjąkał zaskoczony proboszcz. W jego głosie dało się wyczuć niepewność i zbyt twardy jak na te strony akcent.

– O ludziach, którzy przybijają do wrót świątyń karteluski ze swoimi prawami – odparł nieznajomy. – O przepełnionych grzechem pychy sługach bożych buntujących się przeciw władzy innych, nie mniej godnych pogardy kapłanów. O chciwych wyznawcach bożka mamony, opływających w luksusy pośrodku morza biedy. O fałszywych autorytetach moralnych wyprowadzających swoimi postępkami wiernych ze świątyń. O tych wszystkich, którzy zwą siebie protestantami, prawosławnymi, katolikami, choć tak naprawdę, jako dzieci tego samego Boga, zwać się powinni jedynie chrześcijanami.

Mówiąc te słowa, nie patrzył na ambonę, przyglądał się za to uważnie siedzącym wokół niego ludziom. Wierni bali się spojrzeć mu prosto w twarz, ale gdy odwracał wzrok, śledziły go dziesiątki par oczu. Czuł te spojrzenia na plecach. Pałace, pełne lęku, ale jeszcze nie nienawistne.

– Synu, dlaczego przeszkadzasz w odprawianiu nabożeństwa?! – Tym razem pytanie z ambony padło ostrzejszym tonem. – Za kogo się uważasz... ?

Ktoś zakasłał w jednej z ostatnich ław po prawej. Ktoś inny natychmiast uciszył go przeciągłym syknięciem.

– Wiesz, kim jestem. Jako i wy... – Mężczyzna zatoczył koło, rozłożonymi rękami wskazując na ławy. – Choć nie chcecie w to jeszcze uwierzyć.

– Bluźnisz! – krzyknął ksiądz, opierając się dłońmi o rzeźbioną balustradę. Otwarta Biblia popchnięta jego wydatnym brzuchem zsunęła się z podpory i szeleszcząc kartami, poleciała wprost w wyciągnięte dłonie mężczyzny w bieli.

– Ja bluźnię? – Przybysz roześmiał się i delikatnie wyprostował zagięte stronice.

– Nie masz prawa... – zaczął proboszcz, lecz nie dokończył.

Zatrzaśnięta z hukiem Święta Księga nie tyle zagłuszyła jego słowa, ile wcisnęła mu je z powrotem do krtani. Głos przybysza wydawał się teraz niemal szeptem, ale nie było w kościele osoby, która by nie drgnęła, gdy rozległy się wypowiedziane z wyraźną pogardą słowa:

– A jakie ty masz prawo do bycia pasterzem tej trzody, po tym co stało się w Krzydlicach, Morażu, Piasecznie, Stalowej Woli? Czy twoje owieczki wiedzą, dlaczego opuszczałeś tamte parafie nocą, po kryjomu, nierzadko w asyście ochrony... ?

Nalana twarz duchownego spurpurowiała, zsiniała niemal, oczy przez chwilę wyrażały bezgraniczne przerażenie, ale zaraz górę wzięła nienawiść, kąciki ust zadrgały nerwowo. Mierzyli się wzrokiem. Kapłan i nieznajomy.

– Ty urbanowa, komunistyczna gnido... – wysyczał wreszcie ksiądz, a jego twarz pojaśniała. – Tak, już wszystko rozumiem. On cię tu nasłał! Najpierw kłamliwie opisał, a teraz...

– Ten, który mnie przysyła – odpowiedział spokojnie mężczyzna w bieli, przyciskając Biblię do piersi – nie ma nic wspólnego z wymienionym przez ciebie człowiekiem.

– Już ja doskonale wiem, skąd przychodzisz i kto ci płaci! – Proboszcz wycelował palec w smutno się uśmiechającego mężczyznę. – Ale mnie tak łatwo nie przestraszysz, komuchu! Solą w oku wam stoimy, bo ludzi nie dajemy ogłupiać i ograbiać w biały dzień!

– A propos ograbiania... – przerwał mu bezceremonialnie człowiek w bieli. – Ta starowinka, którą namaściłeś przedwczoraj, miała całkiem sporo oszczędności w szafie. Chyba jeszcze nie zdążyłeś ich wpłacić na to konto w Arce, z którego finansujesz...

– Kłamca! Oszczerca! – wydarł się kapłan. Spojrzał błagalnie na swoich parafian, rozkładając ręce w papieskim geście. – A wy co tak siedzicie i patrzycie, kiedy waszego proboszcza prowokatorzy poniewierają?

Przybysz spojrział z rozbawieniem na ławki, w których paru mężczyzn zaczęło

się nerwowo kręcić. Trzech właśnie wstawało, zachęcanych kolejnymi wezwaniami kapłana. Siwy wskazał palcem najbliższego z nich. Ubrany w wyswiechtany śliwkowy garnitur, pamiętający zapewne wczesnego Gierka, był niższy od niego o głowę i znacznie grubszy.

– A kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem... – powiedział, patrząc prosto w zmrużone, zimne oczy w kolorze stali. Na wysokim czole wskazanego mężczyzny, mimo chłodu panującego w świątyni, pojawiły się krople potu. Spływały szybko, niknąc w krzaczystych brwiach. – Pobijesz mnie, Włodziu, jak tę kobiecinę w zeszyły piątek, która nie mogła oddać pożyczonych na leki pieniędzy? Skatujesz mnie, jak ją za marne dwieście złotych? A może pogroźisz mi kozikiem, który wciąż nosisz w kieszeni? Tym samym, którym pociąłeś twarz Jadźki od Sobolaków. Pamiętasz ją na pewno. Może i minęło trzydzieści lat od tamtej chwili, ale przecież to była twoja pierwsza poważna robota, panie... Wsiowy Gangster. Nie lubisz, kiedy chłopcy Rogala na ciebie tak mówią... Nie lubisz, ale musisz słuchać za każdym razem, kiedy idziesz po swoje srebrniki...

Mężczyzna w śliwkowym garniturze zadrżał, słysząc te słowa, potem spojrzał niepewnie na twarz siedzącej obok niego kobiety. Wymalowane wszystkimi odcieniami fioleto, okrągłe z przerażenia oczy mówiły same za siebie. Do tej pory Włodzimierz Praszka był dla ich właścicielki kochającym, może tylko nieco zbyt surowym mężem. Taksówkarzem z zamiłowania i zawodu. Nie wiedziała o dodatkowych zajęciach ani o wielu innych sprawach domorosłego egzekutora długów pobliskiego lombardu, jednakże o starym nożu noszonym podobno dla samoobrony musiała wiedzieć. Pociągnęła osłupiałego męża za rękaw, a on, z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, klapnął ociężałe na tyłek, skupiając na sobie spojrzenia najbliższych siedzących.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie? – Palec przybysza powędrował ku następnemu obrońcy księdza.

Wskazany podchodził lekko pochylony z rękami wyciągniętymi jak do walki.

– Myślisz, Pawlik – siwy spokojnie patrzył mu prosto w oczy – że pójdziesz ci ze mną tak łatwo jak z człowiekiem, którego potrafiłeś tamtej sylwestrowej nocy na drodze za Patykami? On nie mógł się bronić, kiedy ściągałeś go na pobocze. Miał złamany kręgosłup, był całkowicie sparaliżowany, ale mógł mówić... I mówił, ciągle mówił, prawda? Błagał, żebyś się ulitował, żebyś wezwał pomoc, żebyś nie pozwolił mu umrzeć... Wiesz, jak długo jeszcze konał po tym, jak odjechałeś, zepchnąwszy go do wypełnionego śniegiem rowu? Wiesz, co się potem stało z jego rodziną?

Pawlik, a właściwie Paweł, bo zdrobnieniem nazywała go tylko żona i paru kolegów, szedł nadal w kierunku mężczyzny w bieli, ale w jego postawie nie było już śladu agresji. Szedł jak automat, ręce opuścił, szczęka drgała mu spazmatycznie, oczy zaszyły mgłą. Nie miał pojęcia, co stało się z ofiarą wypadku, nie chciał też wiedzieć, co spotkało rodzinę tego człowieka. Pragnął zapomnieć, lecz nawet lata picia na umór nie uwolniły go od tych wspomnień.

– Wmawiałeś sobie, kiedy dopadały cię koszmary, że ten człowiek przeżył – sceniczny szept siwego dotarł do najdalszych rzędów – choć w głębi duszy dobrze wiedziałeś, że nie miał najmniejszych szans. Utrata takiej ilości krwi, hipotermia. To był środek naprawdę mroźnej zimy... Ty też nie będziesz miał szans, Pawlik, kiedy staniesz przed obliczem Najwyższego Sędziego. Może gdybyś nie zabrał wtedy portfela, gdybyś nie ściągnął obrączki... Gdybyś choć przestał jeździć po pijaku...

Mężczyzna zwany Pawlikiem upadł na kolana o krok od swojej niedoszej ofiary. Płakał, bełkotał coś niezrozumiale, potem, nie wstając z kolan, rzucił się w stronę ławy. Usiłował chwytać siedzących najbliżej ludzi za nogi, ale oni odsuwali się od niego, sycząc z obrzydzenia, jakby roznosił najgorszą zarazę.

Trzeci obrońca księdza sam grzecznie usiadł na miejscu, zanim przybysz zwrócił się w jego stronę, wszelako szmer w kościele nie ustał. Akustyka w nie grzeszącej urodą budowli była naprawdę znakomita. Każde, najciszej nawet wypowiedziane słowo dało się słyszeć równie dobrze w ostatnim rzędzie jak i tutaj, tuż pod amboną.

– Znam każdy wasz grzech i każde przewinienie – ciągnął siwowłoso, przechadzając się z wolna przed pierwszą ławą. – Mam adres twojej nowej kochanki, Jureczku... To już druga zaliczona sekretarka w tym roku, nieprawdaż? – Wymieniony z imienia nowobogacki zaśmiał się nerwowo i umilkł, dostrzegłszy nienawistne spojrzenie eleganckiej żony. – O fagasie z niebieskim focusem, któremu już dwa razy rozorałaś obcasami podsufitkę, też wiem. – Nienawiść w oczach byłej miejscowej miss piękności ustąpiła czystemu przerażeniu. – Siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt. – Szczupły chłopak w przydużej marynarce przełknął nerwowo ślinę, aż mu jabłko Adama zatańczyło na łabędziej szyi. – Tyle już ukradłeś z kasy osiedlowego sklepu, w którym pracujesz. A właściciel nadal myśli, że to on ciebie wykorzystuje, nie płacąc za nadgodziny. A pan listonosz ma może nadzieję, że nikt nie wie, kto zlecał w lipcu włamanie do mieszkań urlopowiczów z Antoniukowskiej?

I znów tylko kilka kroków dzieliło mówiącego od ambony. Proboszcz stał jak

skamieniały, przypominając jedną z naturalistycznych rzeźb zdobiących zazwyczaj stare kościoły. Zapewne wiedział już, że przegrał tę walkę, ale wciąż zastanawiał się, kim jest mężczyzna ubrany na białe. W przeciwieństwie do parafian nie wierzył, że wiedza, jaką dysponuje tajemniczy przybysz, pochodzi z zaświatów.

– A wracając do naszego pasterza... – Szmer rozmów umilkł nagle, jak jęki umierającego, który właśnie dokonał żywota. – Pani Wieczorkowa, proszę zapytać syna po powrocie do domu, gdzie to wyjeżdżał z księdzem dobrodziejem w soboty. A jeśli nie będzie chciał powiedzieć, to może kasety wideo, które znajdują się na plebanii, w skrzyni z drewnem na opał do kominka, tej dębowej, zamkniętej na kłódkę, wyjaśnią sprawę...

– Zamilcz... proszę, zamilcz... – Zdawało się, że ksiądz zupełnie bezgłośnie porusza ustami, a mimo to wszyscy słyszeli, co mówi. Cud prawdziwy, a może tylko efekt wyjątkowego kunsztu pozbawionego gustu architekta?

Siwowłosa zamilkł, odwrócił się ku ambonie i wznosił ramię w oskarżającym geście, lecz zanim się odezwał, inny głos przerwał ciszę. O wiele wyższy w tonacji i znacznie bardziej stanowczy. Dobiegał od wejścia.

– Przedstawienie skończone, panie Lis!

Obejrzeni się prawie wszyscy, prócz mężczyzny w bieli i księdza, który patrzył w tamtą stronę cały czas. Starzec opuścił powoli wyciągniętą rękę i zmełł w ustach ciche przekleństwo, tak ciche, że nikomu nie udało się go usłyszeć.

Przy wejściu stało trzech mężczyzn w czarnych garniturach. Dwaj potężnie zbudowani o byczych karkach i niemal identycznych twarzach trzymali się za plecami trzeciego, znacznie szczuplejszego i niższego od nich. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest on o wiele starszy od swoich towarzyszy. Miał wysokie, blade czoło, przyprószone siwizną włosy, wodniste oczy, wąską szczelinę ust niemal całkowicie pozbawioną warg i orli nos, na którym opierały się grube okulary o lekko przyciemnionych szklach. Ci, którzy siedzieli najbliżej, gdyby mieli dobry zmysł obserwacji, mogliby zobaczyć jeszcze jeden szczegół: cieniutką kolistą bliznę na skroni.

– Urząd Ochrony Państwa – oznajmił niski mężczyzna, pokazując niewielką odznakę, której kształtu z tej odległości nie dałoby się rozpoznać, nie mówiąc już o odszyfrowaniu zdobiących ją napisów. – Proszę wszystkich o zachowanie spokoju i pozostanie na miejscach – dodał, widząc poruszenie, jakie wywołały jego słowa wśród zaskoczonych ludzi.

Rośli blondyni, najprawdopodobniej bliźniacy, stanęli tymczasem za plecami mężczyzny w bieli. Ich przełożony podszedł z przeciwnej strony, przyklęknął przed ołtarzem i niedbale się przeżegnał. Potem spojrzął prosto w oczy siwowłosego.

– Edmundzie Lis, synu Stanisława i Weroniki – powiedział beznamiętnie, jakby cytował dane z rocznika statystycznego – w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej aresztuję pana za uczestnictwo w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem była próba wymuszenia okupu przez zastraszenie i szantaż osób duchownych.

Oskarżony milczał. Jedno skinienie okularnika wystarczyło, by fachowo założono mu kajdanki i pociągnięto między ławki. Nie bronił się, gdy bliźniacy go wyprowadzali, nie szarpał nawet. Szedł potulnie, niemal bezwolnie, pomiędzy funkcjonariuszami służb specjalnych, wpatrując się w podłogę. Milczał, ale z jego twarzy nie zniknął ironiczny uśmiešek.

– Proszę o wybaczenie. – Oficer omiół wzrokiem siedzących w ławkach. – Przede wszystkim za to, że tak długo nie reagowaliśmy. Jak państwo rozumieją, musieliśmy poczekać, aż podejrzany zabrnął tak daleko w swoim przedstawieniu, by podczas procesu nie mógł się wyłgać byle wymówką. Zaręczam jednocześnie, że Edmund Lis już nigdy nie będzie się wam narzucał. Dziękuję za zachowanie spokoju i współpracę... Szczęść Boże!

Zdezorientowany nagłym zwrotem wydarzeń proboszcz, nadal tkwiący na ambonie, przeżegnał się nerwowo i patrząc za odchodzącymi, wyjąkał trzęsącym się głosem:

– Bracia moi... i siostry! Oto byliście świadkami... okropnych pomówień... jakie ten oszczerca wypowiedział... nie tylko przeciw wam... ale i... mnie, waszemu pasterzowi... A jednak... sprawiedliwość boska, jak widzicie... istnieje!

Zmierzający do wyjścia oficer, słysząc te słowa, zatrzymał się w połowie nawy i powoli odwrócił.

– Pan Lis żyje wprawdzie z szantażowania ludzi powiedział beznamiętnym tonem – ale nigdy nie nazwałbym go kłamcą albo oszczercą. Podstawą działalności kierowanej przez niego grupy przestępczej jest doskonały wywiad środowiskowy. Obawiam się, że żaden z postawionych tutaj przez niego zarzutów nie był kłamliwy. Ale tym zajmą się w swoim czasie właściwe organa ścigania.

Wyprowadzany musiał dosłyszeć te słowa, bowiem do uszu zebranych w kościele doszedł jego głośny śmiech. Na tyle głośny, że zagłuszył nawet kroki zamykającego pochód mężczyzny w czerni.

* * *

Polaryzowane szyby mercedesa przepuszczały niewiele światła. Lis, rozparty wygodnie na tylnej kanapie, spoglądał na pozbawioną wyrazu twarz szpakowatego mężczyzny, co chwila zerkając znacząco na skute kajdankami ręce.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – zapytał mężczyzna w czarnym garniturze.

– Jako oficerowi UOP-u, który notabene został rozwiązany dziesięć lat temu, czy doktorowi Lewińskiemu, mojemu bezpośredniemu przełożonemu? – Edmund odpowiedział pytaniem na pytanie i uśmiechnął się rozbrawiająco.

– Jako przełożonemu. – Szpakowaty nie przejawiał ochoty do żartów.

– Jako przełożonemu mogę ci powiedzieć jedno, Adamie, byłeś znakomity w tej roli. Tylko skąd przyszedł ci do głowy UOP? – Pochylił się do przodu i podniósł skute ręce. – Bądź tak uprzejmy i zdejmij mi w końcu ten złom.

– Co do UOP-u, improwizowałem. Żaden z tych kmiotów nawet tego nie zauważył. A kajdanki... Przykro mi, ale kluczyki ma któryś z Golców. – Lewiński skinął głową w stronę tylnej szyby, przez którą było widać niewyraźny kształt maski jadącego za nimi suwa z ochroniarzem. – Będziesz musiał znieść ten dyskomfort jeszcze przez jakiś czas.

– Dlaczego mi to robisz?! – zachnął się Lis, opadając teatralnie na siedzenie.

– A dlaczego ty nam robisz takie numery? Nie po to cię szkoliliśmy, żebyś epatował ludzi tandetnymi przedstawieniami...

– Nie? W takim razie po co? – Lis spojrzął z rozbawieniem na szarą w tym oświetleniu twarz przełożonego. – Powiedz mi, po co tak naprawdę mnie szkoliliście?

– Twoje zdolności są niezbędne dla obronności kraju.

– Gówna prawda! – krzyknął siwy, wciskając się w kąt. – Bóg, Honor, Ojczyzna... Akurat na te przykazania zabrakło miejsca w waszym katechizmie moralnym! Już prędzej pasują: Burdy, Honoraria, Ochłaj. Używacie mnie do eliminowania konkurencji przy żłobie i tyle.

Lewiński spojrzął na niego z wyrzutem.

– Ujawnienie księdza pedofila uważasz za słuszne posunięcie, ale urzędnika, który bierze łapówki, już nie?

– Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt – Lis uśmiechnął się złośliwie – że ujawnia się tylko urzędników powiązanych z opozycją, to masz rację, nie uważam. Bo nie

powiesz mi chyba, że kiedykolwiek ktoś z naszego zespołu otrzymał zadanie rozpracowania człowieka z kręgu premiera?

* * *

Lewiński nie odpowiedział. Mógł wprawdzie skłamać, że i takie zadania zlecano zespołowi, ale Mundek nie dałby się nabrać. Był prawdziwym asem w jego grupie specjalnej.

Edmund Lis. Znany niegdyś wizjoner. Na tyle znany, że telewizja zorganizowała z nim pokazowy program. Starał się wtedy na oczach widzów rozwikłać trzy zagadkowe – aczkolwiek rozwiązane wcześniej przez policję – zniknięcia, mając do dyspozycji wyłącznie rzeczy należące do ofiar. Dwie z trzech diagnoz okazały się trafne. Ostatnia była tylko lekko chybiona. Dawne dzieje...

Lewiński trafił na niego przypadkowo, przerzucając od niechcenia kanały. Dzień wcześniej zlecono mu potajemnie znalezienie haka na jednego z kontrkandydatów do fotela prezydenta. Facet z „niewłaściwej” opcji politycznej miał za dobre wyniki w sondażach. I żadnego „trupa w szafie”. Za młody na kontakty z SB, żadnych lewizn, kochanek. Przykładowy mąż i ojciec rodziny. Adam, mimo stosunkowo zaawansowanego wieku, należał do ludzi myślących perspektywicznie, nie miał ograniczników typowych dla urzędasów. Jak mawiał jego osiemnastoletni wnuk: kumał. Patrząc na wyczyny Lisa, uznał, że jasnowidz jest idealnym narzędziem do wykonania nietypowego zadania. Jeden mail wystarczył, by nazajutrz spotkali się w kawiarni.

Zanim zdążył zadać pytanie, Lis powiedział krótko: „Pięć tysięcy to trochę mało, panie Lewiński”. Czy trzeba lepszej rekomendacji? Dokładnie tyle Adam chciał mu zaproponować za informacje kompromitujące kontrkandydata. I nie przedstawił się własnym nazwiskiem.

Koniec końców zapłacił dziesięć tysięcy euro, chociaż rozmówca zastrzegł, że nie daje gwarancji. Obiekt mógł być przecież czysty jak łąza. Istniało takie ryzyko, ale z drugiej strony... Który polityk nie ma choć odrobiny brudu za paznokciami? Polityka to sport dla ludzi pozbawionych nerwów i... skrupułów. Jasnowidz postawił tylko jeden warunek: musiał znaleźć się w tym samym pomieszczeniu, co wskazany cel. To akurat nie stanowiło problemu. Kampania wyborcza rozkręcała się na dobre. Wszyscy kandydaci dwoili się i troili, by przekonać wyborców do swoich osób i programów.

Najbliższe spotkanie z elektoratem wypadło następnego dnia w Poznaniu. Pojechali tam we dwóch – Adam został w samochodzie, Lis poszedł na wiec i mając podrobioną akredytację prasową, bez kłopotu dotarł w pobliże kandydata. Wrócił po kwadransie i wręczył Lewińskiemu kartkę papieru z długim ciągiem cyfr, datą i jakimś niezrozumiałym słowem. Jak się okazało, był to numer i hasło do konta. Tajnego konta w szwajcarskim banku. Sporo na nim było, niemal dokładnie tyle, ile kosztowało przepchnięcie pewnej ważnej ustawy w poprzedniej kadencji parlamentu. Telefon od „życzliwego” wystarczył, by lider rankingów wycofał się z wyścigu.

Przełożeni Adama nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, jak ich podwładny zdobył te informacje, ale nagroda go nie ominęła. Otrzymał przepustkę do większych pieniędzy i Naprawdę Wielkiej Polityki. Wtedy też postanowił zagrać *va banque*. Przez kilka miesięcy w sekrecie studiował pilnie wszelkie materiały dotyczące paranauki. Telepatia, telekineza, prekognicja, zdalne widzenie, byty astralne. Zdolności nadprzyrodzone, o których napisano nie mniej niż o mitycznej Atlantydzie. I dla wielu równie fantastyczne, jak zaginiony kontynent. A przecież Edmund Lis istniał naprawdę i choć Lewiński spijał śmietankę, to właśnie nadprzyrodzone zdolności jasnowidza pozwoliły na usunięcie najgroźniejszej przeszkody dla prezydentury swojego człowieka, a potem jeszcze wyeliminowały kilku pomniejszych przeciwników. O ile Lis faktycznie był jasnowidzem czy raczej, bardziej naukowo rzecz ujmując – prekognitą. Kilka prostych eksperymentów dało bowiem Adamowi do myślenia. Jeśli jego nowy współpracownik miał dar jasnowidzenia, jak mówił, dlaczego zawsze żądał kontaktu fizycznego z celem?

I dlaczego nigdy nie ostrzegał przed trudnościami? A parę się pojawiło, zanim kampania szczęśliwie dobiegła końca. Chyba że jego wizjonerstwo było jedynie przykrywką, maską... pod którą krył się telepata, co by znacznie ograniczało pole manewru. Czym innym jest przewidywanie przyszłości, a czym innym możliwość monitorowania myśli innych ludzi. Władza nad przeszłością jest niczym wobec władzy nad tym, co jeszcze się nie wydarzyło.

Ale, myślał Lewiński, skoro telepatia jest możliwa – a był już tego niemal pewien – powinni istnieć także ludzie posiadający inne zdolności nadprzyrodzone. Wśród nich zaś muszą być prekognici, choćby nawet nieliczni. Kimże jak nie esperami byli ci wszyscy prorocy, od których roi się na kartach historii? Gdybym zyskał potrzebne fundusze, mógłbym stworzyć tajne centrum operacyjno-werbunkowe dla kolejnych paraagentów...

W tym miejscu rozważań docierał do poważnego problemu. Złożenie prośby o dotację na takie centrum równało się wyjawieniu sekretu. I – prawdopodobnie – ośmieszeniu się w oczach pragmatycznych przełożonych. Mimo to zaryzykował.

Zaczął od sprawdzenia Lisa. Ten, choć z niechęcią, przyznał mu rację: nie miewa żadnych wizji, potrafi jedynie odbierać cudze myśli. Rzekomy jasnowidz poddał się też całej serii testów potrzebnych do dokładnego określenia granic jego daru. Wreszcie nadszedł dzień próby. Adam w nagrodę za zasługi stanął przed Komitetem – najbardziej wpływową grupą ludzi w partii. Pamiętał ten dzień, jakby to było zaledwie wczoraj, choć minęło już tyle miesięcy. Komitet zbierał się regularnie w willi jednego z prominentnych działaczy, członka elitarnego klubu władców. Gdy obrady dobiegły końca i zakończono omawianie ważniejszych spraw, Adam został poproszony do saloniku. Członkowie Komitetu siedzieli za suto zastawionym stołem. Pięć twarzy znanych z billboardów i telewizji, a przed nimi on, stojący z tomami akt pod pachą i naprawdę szalonym pomysłem.

– Panie Lewiński – zagał przewodniczący klubu parlamentarnego, pobieżnie przerzucając dostarczoną przez Adama dokumentację – powiem wprost. Propozycja, jaką pan przedstawił Komitetowi, jest idiotyczna, ale zgodnie z obietnicą i mając w pamięci to, co pan dla nas zrobił, nie wywalimy pana za drzwi od razu, tylko wysłuchamy do końca. Niemniej, zdaje pan sobie chyba sprawę, że jeśli to – wskazał papiery – okaże się jakimś humbugiem, pożegnamy się na stałe. Żąda pan pięciu milionów złotych na zorganizowanie komórki kontrwywiadu werbującej... esperali?

– Esperów, panie przewodniczący. Ludzi posiadających zdolności paranormalne – podpowiedział Adam.

– Dokładnie, agentów paranormalnych, cokolwiek to znaczy. Proszę mi powiedzieć, jak pan to sobie wyobraża? Wie pan przecież, jak wygląda budżet resortu. Nie możemy wpisać kilku milionów do rubryki „wydatki własne”, pod pozycją „woda mineralna”. Ma pan też świadomość, że za te pieniądze możemy mieć kilkudziesięciu najlepiej wyszkolonych specjalistów w każdej dziedzinie.

– Nie licząc sporej ilości najnowocześniejszego sprzętu szpiegowskiego – dodał wicemarszałek sejmu.

– Dokładnie. Pan natomiast, z tego co widzę, nie oferuje niczego konkretnego. Równie dobrze może się okazać, że nie znajdziemy nikogo o takich zdolnościach, prawda?

– Teoretycznie... – Adam zawahał się na moment, zaczynał podejrzewać, że

przesadził z optymizmem w swoich kalkulacjach – jest to możliwe.

Prominenci patrzyli na niego z wyraźnym rozbawieniem. Dla nich jasnowidz był rodzajem kuglarza. Co najwyżej prestidigitatorem. Widowskim oszustem zmysłów. Jak ongiś David Copperfield.

– Rozumiem panów opory. Sam do niedawna byłem sceptycznie nastawiony do paranauki, ale tutaj mamy do czynienia z prawdziwym fenomenem. W dostarczonym dossier na stronach od siódmej do dwudziestej drugiej znajdują panowie szczegóły testów, jakie przeprowadziłem...

– Wróżki, krasnoludki, w co jeszcze każe nam pan uwierzyć? – przerwał mu znany senator, odpychając z niechęcią przeglądane papiery. – My zajmujemy się realną polityką. Rządzimy państwem, analizujemy wszystko naukowo i nigdy nie wróżymy z fusów. Przecież to jest śmieszne...

– Daleki jestem od opowiadania bajek, panie senatorze – zapewnił Adam. – Przypadki, o których mówię, nie są oszustwami. To działanie sił, których na razie nowoczesna nauka nie potrafi wyjaśnić, ale też ich nie neguje.

– Chce pan powiedzieć – wtrącił milczący dotychczas wicepremier – że taki agent mógłby podać, dajmy na to, kto był źródłem ostatniego przecieku do prasy? Albo kim byli członkowie grupy trzymającej władzę?

– W sprzyjających okolicznościach byłoby to dość proste – przyznał Adam.

– Co to znaczy: w sprzyjających okolicznościach? – zapytał wicemarszałek.

– Nie jestem w stanie wyjaśnić tego zbyt dokładnie... Z dotychczasowych badań nad obiektem wiemy, że telepata może biernie odczytywać myśli celu, ale nie może go nakłonić do myślenia o czymś konkretnym. Obrazowo rzecz przedstawiając, telepatia to coś w rodzaju telewizji. Pan Lis jest odbiornikiem myśli werbalnych i obrazów z umysłu skanowanej osoby. Moja pierwsza operacja powiodła się, ponieważ umieściłem go w pobliżu celu podczas konferencji prasowej, na której padały pytania w interesujących nas sprawach. Choć kandydat czerwonych mówił co innego, jego myśli zdradzały prawdę. Gdybyśmy zatem doprowadzili do podobnej konfrontacji na przykład z Lwem Rywinem, zapewne otrzymalibyśmy odpowiedzi na wszystkie dręczące podówczas komisję pytania...

– Dzisiaj i tak nic nam z tego – wicemarszałek, który wiele skorzystał na obecności w komisji podczas tamtej afery, pokręcił głową – ale szkoda, że nie mieliśmy pańskiego pupilka pod ręką dziewięć lat temu.

– A jak pan zamierza rekrutować te swoje paranaturalne wybryki? – zapytał

całkiem rzeczowo wicepremier. – Przecież nie da pan ogłoszenia do „Nowej Wyborczej”!

– Akurat to nie będzie takie trudne, jak się zdaje – odparł Adam. – Proszę spojrzeć na stronę osiemnastą w tomie drugim. Mamy dobre układy w mediach. Zlecimy opłacanym przez nas redaktorom stworzenie lub reaktywowanie programów o zjawiskach paranormalnych. Umieszczenie ich w pasmach największej oglądalności nie powinno stanowić problemu. Na początek pójdą materiały spreparowane i apele do widzów, żeby zgłaszali znane im przypadki podobnych zdarzeń. Rozpoznaniem zajmę się sam pod przykrywką pracy reporterskiej. Sądzę, że w ciągu pół roku od pierwszej emisji powinniśmy mieć wymierne efekty.

– Brzmi dość rozsądnie – zgodził się wicemarszałek, nalewając sobie kieliszek smirnoffa. – Zastanawiam się jednak, czy to ma sens. Jeśli ludzie z takimi parazdolnościami nie są totalną rzadkością i mogą być tak przydatni, dlaczego żaden z wywiadów wielkich mocarstw nie opiera się na nich?

– Nie posiadamy dowodów na to, że Mosad czy CIA nadal korzystają z usług takich właśnie agentów, gdyż fakt ten z oczywistych powodów jest objęty klauzulą najwyższej tajności. Istnieją jednak liczne przesłanki wskazujące na to, że w przeszłości wielokrotnie wykorzystywano zdolności paranormalne do działań operacyjnych... – odparł nie zmieszany Adam.

Był przygotowany na takie pytanie. Zebrał szczegółowe, choć w całości nieoficjalne materiały na temat eksperymentów paranaukowych przeprowadzonych przez rządy w Stanach Zjednoczonych i Rosji. Wyłuszczał sprawę powoli, krok po kroku, począwszy od lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, uwypuklał najgłośniejsze przypadki, wskazywał na poszlaki. Referował dokładnie każdy rodzaj fenomenu, jaki odnotowała nauka i paranauka. Wskazywał na płynące z nich korzyści i zagrożenia. Dowodził, iż jeden przeszkolony telepata jest w stanie wykonać więcej roboty niż stu klasycznych szpiegów. Zwłaszcza gdy chodzi o wykradanie tajemnic. Wiedząc, do czego Lis jest zdolny, wierzył, iż w każdej plotce na ten temat tkwi źdźbło prawdy. Jego rozmówcy jednak traktowali przedstawiane sobie materiały jak zwykle sensacyjne publikacje z prasy bulwarowej. Czym zresztą w większości były.

– Fakty, panie Lewiński, fakty. – Senator po kwadransie dość bezceremonialnie przerwał jego wykład. – Ja też czasem oglądam Discovery i widziałem tam znacznie lepsze numery niż te, o których pan opowiada. Ale to są fakty medialne. Pic na wodę. Może i ten pana człowiek ma jakieś tam zdolności, ale jak pan sam mówi, to tylko

siedemdziesiąt procent pewności. Albo inaczej: co najmniej trzydzieści szans na sto, że zawiedzie.

– To nie tak! – zaproponował Adam. – Te trzydzieści procent jest wynikiem testów nie dotyczących bezpośrednio telepatii, ale...

– W tym fachu każda pomyłka może wiele kosztować – znowu przerwał mu senator.

– Ryzyko rzeczywiście jest zbyt duże – wyraził swoją opinię wicemarszałek – a weryfikacja zdobytych danych praktycznie niemożliwa. To, że udało nam się z wyborami, nie oznacza, że zawsze będziemy górą. A jeśli pański agent odczyta fantazje celu albo zwykłe urojenia? Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że stawiając komuś otwarcie zarzut, mylny zarzut, popełnimy publiczne i polityczne samobójstwo.

Taka pomyłka była możliwa. Już się zdarzyła, prawdę mówiąc, ale o tym wiedział tylko Adam i jego telepata. Bujna wyobraźnia jednego z liderów opozycyjnej partii o mało nie doprowadziła do blamażu. Na szczęście Lewiński sprawdzał wszystko trzy razy i w ostatniej chwili zrezygnował z kontrolowanego przecieku do prasy o romansie radykalnego posła ze znaną piosenkarką. Coś go tknęło, by sprawdzić także jej wspomnienia. Podczas sfingowanego wywiadu dziennikarz zapytał wprost o plotki dotyczące tej sprawy. Obecny przy tym Lis nie znalazł niczego, co potwierdzałoby erotyczne fantazje parlamentarzysty. Przy tej jednak okazji Adam zrozumiał, jak wiele ryzykował. Telepata mógł przekazać treść przechwyconych myśli, ale nie potrafił ocenić ich prawdziwości.

Na szczęście senator był lepszej myśli.

– Ja bym nie demonizował. Przez ostatnie dziesięć lat padło ze sto zarzutów, których nikt nigdy nie udokumentował. Pamiętacie, czym uwalono prezydenturę Komorowskiego?

Adam słysząc śmiech podchmielonych polityków uznał, że nadszedł właściwy moment na użycie ostatecznego argumentu.

– Jeśli panowie pozwolą – oblizał spierzchnięte wargi – chciałbym przedstawić zdolności mojego medium tu i teraz.

Politycy za stołem prezydyjnym naradzali się między sobą. Przewodniczący sądu partyjnego zdecydowanie sprzeciwiał się zaproszeniu Edmunda Lisa na posiedzenie, ale pozostali szybko go przegłosowali. Chyba nie wierzyli w legendarną moc telepaty. Adam sądził nawet, że liczyli na możliwość zdemaskowania sprytnego oszusta i pozbycia się w ten sposób uciążliwego podwładnego lansującego pomysły

ośmieszające powagę ich urzędów.

Lisa sprowadzono w niespełna pół godziny. Pojawił się w asyście dwóch mocno poirytowanych ochroniarzy, właśnie gdy Adam kończył czwartą kawę. Nowy gość wszedł na salę, przywitał się grzecznie z obecnymi i zajął wskazane miejsce. Nie wydawał się zdeprimowany widokiem znanych postaci sceny politycznej.

– Oto pan Edmund Lis, człowiek, o którym wcześniej mówiłem... – Lewiński przedstawił go zebranim. – Jeśli ja nie mogę panów przekonać do projektu, on zrobi to za mnie.

– Niby jak? – zapytał z rozbawieniem wicepremier, spoglądając na telepatę. – Dowiemy się, jakie numery padną w jutrzejszym losowaniu totka?

– Raczej nie – odparł spokojnie Lis. – Nie jestem członkiem Rady Polityki Pieniężnej, nie potrafię przewidywać przyszłości. Widzę jedynie fakty z przeszłości badanego obiektu.

– W przeszłości to każdy potrafi czytać – skontrował żart senator.

– A zwłaszcza historycy i politycy – poparł go wicepremier. – Od czego mamy archiwa i teczki?

Lis uśmiechnął się niewinnie, a następnie przez kwadrans opowiadał o sprawach, które każdy ze zgromadzonych pragnąłby zachować tylko dla siebie. Adam miał nadzieję, że nie przesadzi w odkrywaniu prawdy, gdyż to mogłoby skończyć się tragicznie dla nich obu. Ale telepata starannie dobierał słowa. Lewiński obserwował z satysfakcją purpurowiejące twarze kolejnych polityków i błogosławił w duchu swoją zapobiegliwość. Nie informując nikogo, załatwił Lisowi uczestnictwo w ostrych konferencjach prasowych z udziałem członków Komitetu. Oczywiście incognito: telepata raz wystąpił jako pracownik firmy cateringowej, innym razem zadawał pytania jak rasowy dziennikarz, a politycy, pewni, że nikt nie jest w stanie sięgnąć do ich głów, rozkoszowali się własną bezkarnością.

– Ma pan ten kontrakt! – ryknął nagle przewodniczący klubu parlamentarnego, przerywając ciekawy wywód na temat pewnej niepełnoletniej „wyborczyni” z jego okręgu. – Ma pan te pieprzone pięć milionów!

Adam zbaraniał.

– Chwileczkę... – szepnął blady jak ściana wicepremier, który zaledwie przed trzema minutami usłyszał daty i nazwiska, o których wolałby zapomnieć. – Dostanie pan dziesięć milionów... nawet dwanaście, bo tyle mamy jeszcze w rezerwie resortowej... – Mówił z trudem, przez zaciśnięte zęby. – Ale pod jednym warunkiem!

Opracuje pan w pierwszej kolejności skuteczne metody zabezpieczenia przed takimi typami, jak... pańskie medium. – Wskazał rozpromienionego Lisa.

Adam zgodził się na ten warunek. Dlaczego nie miałby wziąć siedmiu dodatkowych milionów? Zresztą i tak miał w planach zabezpieczenie się przed zdolnościami swojego pierwszego podopiecznego, choć celowo nie umieścił takiego podpunktu w preliminarzu wydatków.

Teraz jednak potraktował to polecenie jako priorytet i już po ośmiu miesiącach doprowadził do opracowania skutecznej metody zabezpieczania ludzi przed możliwością czytania w ich myślach. Komitet zweryfikował te wyniki po swojemu. Do resortowego ośrodka wypoczynkowego na Mazurach, który przerobiono na bazę zespołu, wysłano „zabezpieczonego” taką metodą agenta z zewnątrz. Człowieka nie mającego pojęcia o zdolnościach Lisa. Dano mu zadanie zlikwidowania telepaty. Nie fikcyjne, ale jak najbardziej prawdziwe. Przykrywka była prosta. Funkcjonariusz miał zabrać Lisa na kolejne zadanie w terenie. Gdyby telepata wciąż miał możliwość pokonania bariery, powinien odczytać prawdziwe intencje oprawcy. Nie odczytał ich jednak i ufnie wsiadł do samochodu wiozącego go na pewną śmierć. Zdziwił się bardzo, kiedy tuż za bramą ośrodka oficer prowadzący odwołał akcję. Nie był „zabezpieczony”, zatem wszystko wydało się w jednej chwili. Wtedy też Lis po raz pierwszy się zbuntował. Mocodawcy wiedzieli jednak, jak go ułagodzić. Ich metody, choć przyziemne, były skuteczne.

O ile ta część programu zakończyła się pełnym sukcesem, o tyle szukanie nowych agentów spaliło na panewce. Adamowi marzyło się znalezienie naprawdę niezwykłych ludzi. Wierzył głęboko, iż na świecie jest wielu odmieńców, których zdolności przewyższają o niebo to, czego mógł dokonać Lis – lecz na razie udało mu się zwerbować tylko dwóch obiecujących bioenergoterapeutów. Nawet rozszerzenie programu werbunkowego na kolejne kanały prywatnych telewizji nie przynosiło pożądanych efektów. Zdecydowana większość anomalii okazywała się zwykłymi oszustwami albo wykraczała daleko poza sferę zainteresowań Adama. Jednakże przełożeni opłacali sownie jego badania i nie zgłaszali obiekcji. Wydawać się nawet mogło, że cieszy ich brak nowych superagentów. Ale to już niedługo miało się zmienić. Już niedługo...

* * *

– ... bo ja, Adamie, wierzący jestem! – Lewiński wyrwał się z zamyślenia,

kiedy monologujący Lis podniósł niespodziewanie głos. – Wkurwia mnie, że facet, który powinien od lat siedzieć w więzieniu, niemal w majestacie prawa molestuje kolejne dzieci! I to jako strażnik moralności innych ludzi! No sam powiedz, jak ja, człowiek, który wierzy w Boga, mam traktować kapłana, teoretycznie wprowadzającego w tajemnice wiary, a w praktyce gwałcącego moje dziecko?

– Za krótcy jesteśmy, żeby to zmienić.

– Ja nie jestem za krótki! – zaprotestował telepata. – Ja...

– Jeśli mówię, że jesteś, to jesteś. I masz teraz inne zadania. – Adam zgasił jego moralizatorski zapal i zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie marynarki. Wreszcie znalazł. Niewielki kluczyk na łańcuszku poszybował w kierunku zaskoczonego telepaty. – Sam świata nie zmienisz, przynajmniej jeszcze nie dzisiaj.

Lis złapał kluczyk w locie i spojrzał z urazą na przełożonego.

– Jakie inne zadania? – zapytał, otwierając nieporadnie zamek. – Lepper znowu wraca na scenę?

– Nie, tym razem nie chodzi o polityka.

– Nie o polityka? Zatem o kogo?

Adam odebrał kluczyk i rozpięte kajdanki. Ważył je chwilę w ręce, jakby zastanawiając się, czy dobrze zrobił, uwalniając telepatę, wreszcie zdecydowanym ruchem schował stalowe obrączki do kieszeni marynarki.

– Po latach poszukiwań uśmiechnęło się do mnie szczęście – powiedział.

– Zarwałeś sobie nową kobitkę? – ożywił się Lis. – I chcesz wiedzieć, czy naprawdę cię kocha? – Uśmiechnął się domyślnie. – W tych sprawach to i ja nie pomogę. Kobieta zmienną jest i basta...

– Nie chodzi o kobietę... To znaczy, nie w tym znaczeniu, o którym myślisz.

– A w jakim?

– Myślę, że trafiłem na ślad jednoroźca.

– Pieprzenie... – Telepata roześmiał się na głos.

– Nie doceniasz mnie, Mundek.

– Przy całym szacunku, jaki żywię do pieniędzy, które reprezentujesz, nie uwierzę, póki nie dotknę albo nie zobaczę.

– Niedługo, naprawdę niedługo zrozumiesz, że nawet telepaci się myślą.

– Serdu, pierdu. Diabła tam... – Lis ułożył się wygodniej, jakby zamierzał zasnąć, ale tylko zmrużył na chwilę oczy. – Szlag!... – jęknął i znowu się wyprostował.

– Co się stało? – Lewiński popatrzył na niego szczerze zdziwiony.

– Dokąd jedziemy?

– Do Wrocławia. Reszta ekipy już jest w drodze.

Telepata spojrzął na zegarek.

– Późno już, cholera... Poproś Norberta – wskazał głową radiotelefon – żeby podjechał w Warszawie pod Dworzec Centralny. Obiecałem Młodemu, że kupię mu nowego „Hellboya” i kompletnie mi to z głowy wyleciało.

– Hellboya? – zdziwił się jeszcze bardziej Lewiński.

– To taki komiks... – wyjaśnił z niewinnym uśmiechem Lis. – O potworach, które są wykorzystywane przez pewną agencję rządową do walki ze złem.

– Że też chce się wam czytać takie fantastyczne bzdury... – Adam pokręcił głową.

– Dla kogo bzdury, dla tego bzdury. I nie żadna fantastyka. Jak dla mnie, to niezły obyczaj...

* * *

Ściemniło się. Do zmierzchu było jeszcze daleko, ale ołowiane chmury szczelnie zakryły skrawek nieba widoczny nad wąskim kanionem ulicy, utworzonym przez szpaler przedwojennych kamienic. Pierwsze ciężkie krople deszczu zaczęły bębnić rytmicznie o dach wozu.

– Długo jeszcze? – Młody odłożył komiks na siedzenie i z sapnięciem otworzył kolejną puszkę coli zero. Mimo włączonej klimatyzacji pocił się jak mysz. Sto czterdzieści kilogramów żywej wagi zamknięte w niezbyt przestronnej budzie pojazdu zaczynało wydzielać intensywny i niezbyt przyjemny zapach piżma.

– Nie pij tyle, bo przerwy na odcedzanie ziemniaków nie będzie – zganił go Lis.

Na podłodze między siedzeniami leżało już sześć opróżnionych do ostatniej kropli, pogniecionych puszek.

– Dupa tam... – zachnął się grubas i dokończył picia. – Ty, Mulder, lepiej odpowiedz mi na pytanie.

Lis nie lubił, kiedy go tak nazywano, ale przywykł. Młody miał zwyczaj nadawania wszystkim przezwisk. Trzeba przyznać, że miał do tego talent. Zresztą jak się chwilę zastanowić, skojarzenie było proste. Lis to Fox, a zdrobnienie od Edmunda zamienić na Mulder – żaden problem. Do tego robota, jaką telepata wykonywał,

nadawała się idealnie do „Archiwum X”.

Młody na siebie samego mówił pan Hyde, a na drugiego uzdrowiciela – doktor Jekyll. Posiadali te same zdolności bioenergoterapeutyczne, więc zazwyczaj zabierano ich na akcje wymiennie. Stanowili skrajne przeciwieństwa, zarówno charakterologiczne, jak i fizyczne. Piotr Konieczny, przez resztę zespołu nazywany Młodym (tak go z kolei – raczej bez polotu – ochrzcił Lis), miał dopiero dwadzieścia pięć lat, za sobą dom dziecka i ukończony ogólniak, choć bez matury. Był złośliwy, leniwy, ale sprawdzał się jako dobry kumpel w odosobnieniu ośrodka. Sypał kawałami jak z rękawa i potrafił wypić morze gorzały. Natomiast doktor Walerian Okrasa, czyli doktor Jekyll, był statecznym starszym panem około siedemdziesiątki. Nie ważył więcej niż pięćdziesiąt kilogramów i zachowywał się z rezerwą godną arystokraty, który przypadkiem wstąpił do karczmy pełnej plebsu. Trudno było go polubić, zwłaszcza że wolał własne towarzystwo, książki i radio. Do telewizji jakoś wciąż nie mógł się przyzwyczać.

– A niby skąd mam wiedzieć, jak długo Adam będzie nas trzymał w tej puszcze?

– Lis wreszcie zareagował na pytanie kolegi. – Jeśli o mnie chodzi, w życiu nie uwierzę, że trafimy kiedykolwiek na jednoroźca.

Tym mianem określali między sobą ludzi umiających czytać przyszłość. Ktoś z nich, może nawet Młody, kiedyś powiedział, że prekognici o ile w ogóle istnieją, są rzadsi od jednoroźców. I bardziej legendarni. Mimo to Lewiński nie ustawał w poszukiwaniach. Dla niego jasnowidz stanowił klucz do wrót oddzielających nasz świat od tego, w którym wszystko jest możliwe. Był ostatnim ogniwem potrzebnym do zrealizowania misternego planu, dojrzewającego w głowie Adama od wielu miesięcy. Od czasu, gdy wszczepiony mu implant skutecznie zabezpieczył jego myśli przed odczytaniem.

Kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt razy namierzał ludzi, którym dopisało wyjątkowe szczęście. Badał uważnie wszystkie przypadki, lecz najwnikliwszą obserwacją postanowił objąć graczy odnoszących największe sukcesy na giełdzie oraz tych, którzy wygrywali w totka i w kasynach, przypuszczał bowiem, że ktoś potrafiący dojrzeć przyszłość, skusi się na łatwe pieniądze. Na razie jednak ten trop prowadził donikąd.

Pierwszym sukcesem okazał się program telewizyjny o „aniołach stróżach”. Spreparowano w nim serię opowiadań o tajemniczych opiekunach, ostrzegających bliźnich przed groźącymi im wypadkami. Po emisji odezwało się kilkanaście osób z

Dolnego Śląska i okolic Wrocławia, które przeżyły podobne zdarzenia.

Do kobiety stojącej późnym wieczorem z trójką dzieci na opustoszałym przystanku tramwajowym przed Dworcem Głównym podeszła dziewczyna i poprosiła o pomoc w znalezieniu właściwej linii. Gdy kobieta chciała zostawić dzieci razem z bagażami, dziewczyna zaoponowała. Pomogła przenieść walizki pod słupek z rozkładem jazdy. Dziesięć sekund później prowadzony przez pijanego kierowcę TIR przetoczył się przez miejsce, w którym do niedawna stała rodzina. W powstałym zamieszaniu dziewczyna zniknęła, zanim ktokolwiek zdążył jej podziękować. Przypadek, cud czy efekt prekognicji? Ocalona nie miała wątpliwości co do nadprzyrodzonego pochodzenia „anioła”.

Nie zawsze osobą ostrzegającą była młoda dziewczyna. W dwóch spośród sześciu potwierdzonych przypadków ludzie zawdzięczali życie kilkuletniemu chłopcykowi. Raz dziecko zaczęło płakać w zatłoczonym sklepie, mówiąc, że czuje ulatniający się gaz. Wybuchła panika, nawet ekspedientki uciekły na ulicę. Chwilę później eksplozja doszczętnie zniszczyła pomieszczenia sklepowe, raniąc szesnaście osób, przeważnie gapiów, ale przynajmniej nikt nie zginął. Dochodzenie wykazało, że rozszczelnieniu uległ zawór gazowy w piwnicy pod sklepem. Tyle że ulatniający się gaz był absolutnie bezwonny. Dzieciak oczywiście zniknął w zamieszaniu spowodowanym wybuchem.

Śledztwo Lewińskiego każdorazowo utykało więc w martwym punkcie. Tyle dobrego, że naoczni świadkowie pomogli w sporządzeniu dokładnych portretów pamięciowych dziewczyny i chłopczyka, co pozwoliło na rozpoczęcie szeroko zakrojonych poszukiwań, w których udział brała policja i służby specjalne. Stworzono odpowiednią legendę: oto niepoczytalna kobieta porwała dziecko córki lokalnego polityka rządzącej partii, i zalecano daleko idącą dyskrecję. Nawet najbliżsi współpracownicy Adama nie wiedzieli, że ich szef wpadł na tak wyraźny trop. Lewiński nie czuł bowiem potrzeby dzielenia się tą informacją ze swoimi ludźmi – na wypadek, gdyby okazało się, że znów brnie w ślepy zaułek. Lis i pozostali zajmowali się w tym czasie bezowocną obserwacją bywalców kasyn i lotto-milionerami.

Mijały miesiące, Lewiński z wolna zaczął wątpić w powodzenie operacji. Wydawało się, że sprawa dziewczyny utknęła w martwym punkcie. Poszukiwani jakby zapadli się pod ziemię, skończyły się doniesienia o cudownych ocaleniach. Tak było aż do tego dnia...

A teraz od kilku godzin siedzieli w wozie zaparkowanym na jednej z bocznych

uliczek Ołbina. Mercedes z resztą zespołu czekał za rogiem.

– Szlag... – mruknął Lis, sadowiąc się wygodniej. Ziewnął. Gdyby nie ulewa i wyraźny zakaz Lewińskiego, wyszedłby na papierosa. Ani Młody, ani Robert – jeden z braci Golców przydzielony im na kierowcę, nie palili i zabronili mu nawet myślenia o szybkim sztachnięciu przy opuszczonym oknie. – Na twoim miejscu przygotowałbym się na mało wygodny nocleg w wozie – rzucił do Młodego.

– Też się tego obawiam. – Grubas pokiwał smętnie głową, obrócił w rękach zaczytany komiks i nagle się rozpromienił. – Opowiem wam kawał...

– Tego faktycznie nie znałem. – Lis zachichotał, przecierając oczy.

– Wypieprzaj mi ze zwojów, dziadzia – obruszył się Młody. – Słowo „opowiem” znaczy, że...

– A ten znam – przerwał mu Lis, który miał szczerą ochotę zapaść w drzemkę. – ... I Bóg odszedł od Adama zadowolony, patrzy na Ewę i mówi: cudo z tyłu, cudo z boku, a z przodu... będzie się malować.

– Świnia! – ryknął Młody. – Mulder, popieprzony telepie, czy ty zawsze musisz mi palić dowcipy, zanim je opowiem?

– Nie zawsze. Tylko wtedy, jak mnie wkurwiasz.

– Cicho... – Golec odwrócił się do nich, sięgnął do ucha i przycisnął mocniej słuchawkę. – Nie słyszę, co do mnie mówią z jedyńki.

Lis chciał mu przygadać, ale w tym momencie obok wozu ktoś przeszedł. Skurczona, drobna sylwetka w jaskrawożółtej pelerynie przeciwdeszczowej. Znużony telepata sięgnął do umysłu przechodnia niemal bezwiednie i nagle zeszywniał. Poczul zawrót głowy, chłód, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Zakrzuszył się własną śliną.

– Co jest?! – zapytał zaniepokojony jego wyglądem Golec.

– Jednorożec... – wycharczał blady jak kreda Lis, patrząc na wolno oddalającą się postać. – Jebany jednorożec!

Szarpnął za klamkę i wyskoczył z wozu. Był tylko odrobinę wolniejszy od Roberta, który już pędził w kierunku żółtej peleryny. Zza rogu wybiegł drugi z braci Golców, za nim pojawiły się dwie o wiele szczuplejsze sylwetki, ukryte pod parasolami. Prekognita się zatrzymał. Spoglądał przez chwilę na nadbiegającego z przeciwka ochroniarza, potem odwrócił się, uczynił to jednak spokojnie, bez oznak przerażenia czy dezorientacji. Robert już prawie przy nim był. A właściwie przy niej. Spod mocno naciągniętego na czoło kaptura wymykały się długie kosmyki kasztanowych włosów.

Lis miał pewność, że cel nie ucieknie. Wszystkie bramy były solidne, ponemieckie. Zamknięte na cztery spusty i naszpikowane domofonami. Sprawdzili to, zanim jeszcze się rozpadało. Jedyne drogi wyjścia blokowały obie części zespołu. Dziewczyna chyba to zrozumiała, powoli podniosła ręce do góry. Mundek nie tracąc czasu, spróbował wejść w jej umysł. Ostrożnie, gdyż teraz już wiedział, co tam na niego czeka. Lecz tym razem było inaczej. Wprawdzie wciąż widział setki przemykających obrazów, zbyt ulotnych, by je rozpoznać, zbyt szybko ginących w wirze tysięcy im podobnych, by je zapamiętać, ale teraz były jakby... wyblakłe.

I wtedy odczytał myśl, która zdominowała pozostałe.

– Nie podchodzić! – ryknął, jednakże Lewiński albo go nie dosłyszał, albo zlekceważył ostrzeżenie. – Cofnijcie się, ona ma...

Ogłuszający huk pioruna, który uderzył w odgromnik pobliskiego budynku administracji osiedla, zagłuszył jego słowa. Na szczęście Golcowie w snopach iskier, jakie się posypały, dostrzegli zagrożenie. Błyskawicznie wyciągnęli broń i wymierzili w głowę dziewczyny.

Do Lisa tymczasem dołączył zasapany Młody.

– Cofnij się! – warknął telepata i popchnął grubasa. Przeliczył się jednak z siłami. Bioenergoterapeuta stał jak wmurowany.

– Co jest? – zdziwił się, ale zanim Lis mu odpowiedział, dostrzegł jajowaty przedmiot w dłoni dziewczyny. – Kurwa! Jak pierdolnie, to nawet ja was z tego gówna nie wyciągnę – sapnął i rozejrzał się, jakby szukał schronienia.

– Młoda damo! – Lewiński zatrzymał się o dwa kroki od desperatki. – Proszę to odłożyć, naprawdę nie chcemy zrobić pani krzywdy.

Dziewczyna pokręciła głową i potrząsnęła groźnie ręką, w której trzymała granat. W palcach drugiej uniesionej wysoko dłoni Lis zauważył zawleczkę.

– Nie wierzysz mi, Sabino? – Adam uśmiechnął się krzywo. – Jeśli nawet, to niczego nie zmienia... Proszę bardzo, możesz się tutaj zabić, ale w ten sposób nie uratujesz życia swojemu braciszкови, prawda?

Dziewczyna spojrzała na niego z nienawiścią, ale nie opuściła ręki. Za to zawleczka upadła na płyty chodnika.

– Oddaj ten granat – ciągnął niezrażony Lewiński – i chodź z nami, a obiecuję, że zrobimy wszystko, by Piotruś z tego wyszedł. Jeśli masz dar, o który cię podejrzewamy, wiesz, że nie kłamię.

Lis nie miał pojęcia, o czym mówi Adam, a sprawy przyjęły zbyt poważny

obrót, żeby ponownie wejść w jej umysł. Jeśli szef źle ocenił sytuację, najbliższe sekundy zadecydują, kto przeżyje ewentualną jatkę. Musiał zachować koncentrację. Spojrzał przez ramię na Młodego, ale w miejscu, w którym powinien się znajdować bioenergoterapeuta, nie było już nikogo.

– Odłóżcie broń. – Lewiński skinął na Golców, ale ci go nie posłuchali. – Do jasnej cholery, to rozkaz! – ryknął zirytowany niesubordynacją.

To poskutkowało. Skierowali lufy w stronę chodnika, ale Lis wiedział, że dla tak wyszkolonych agentów złożenie się do strzału nie trwałoby dłużej niż mgnienie oka. Dziewczyna, jeżeli miała trochę rozumu w głowie, też powinna zdawać sobie z tego sprawę.

– Proszę... – Lewiński stanął między nią a jednym z bliźniaków, wyraźnie dając do zrozumienia, że rozwiązanie siłowe nie wchodzi w grę. – Naprawdę nie chcemy cię skrzywdzić. Wiesz, że jesteśmy jedyną szansą dla Piotrusia. Dla ciebie w pewnym sensie też...

– Przysięgnij na życie swoich dzieci! – przerwała mu niespodziewanie dziewczyna.

– Spójrz w przyszłość, zyskasz lepszą gwarancję niż moja przysięga.

– Przysięgnij na życie swoich dzieci, że zrobisz wszystko, by nie umarł! – powtórzyła.

Adam spojrzał na Lisa, na Golców... chyba dopiero teraz zauważył brak Młodego. Złożył parasol, podniósł twarz i pozwolił, by przez moment wielkie krople rozbijały się o jego okulary. Trwał w bezruchu przez kilka uderzeń serca, a potem położył rękę na piersi i powiedział:

– Mam tylko jedno dziecko, syna. I przysięgam na jego życie, a także na życie pozostałych członków mojej najbliższej rodziny, że zrobimy wszystko, co jest w naszej mocy, żeby twój brat został wyleczony. – Schylił się i podniósł zawleczkę z chodnika. – Skończmy to przedstawienie, zanim ktoś nas zauważy. – Podał kawałek metalu Norbertowi.

Lis dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest przemoknięty. Patrzył na bliźniaków, którzy ujęli pod łokcie dziewczynę w żółtej pelerynie, na Lewińskiego, na Młodego, który pojawił się jak spod ziemi.

– Mundek, jedziesz ze mną, będziesz mi potrzebny, doktor Okrasa zamieni się z tobą miejscem. – Adam nie czekając na potwierdzenie ruszył w kierunku narożnika, za którym zniknęli Golcowie.

– Ten deszcz, mrok, faceci w garniturkach... – sapnął Młody. – Scena jak z finału pieprzonego „Matrixa”, nie?

* * *

– O co chodzi z tym bratem? – zapytał Lis, ledwie ruszyli. – O co w ogóle chodzi?

– Nie mówiłem ci, wiem, przepraszam – odparł Lewiński, wycierając rękami głowę. – Nie byłem pewien, czy jestem na właściwym tropie. Po programie o „aniołach stróżach” dostałem sporo ciekawych informacji, które świadczyły albo o boskiej interwencji, albo o istnieniu jednoroźca.

Sabina spojrzała na niego z wyraźnym zdziwieniem.

– Tak, moja droga – Adam uśmiechnął się do niej – jeśli się nie mylę, jesteś tak samo rzadkim i cudownym zjawiskiem, jak rzeczony jednorożec. W każdym razie – odwrócił się do Lisa – sprawdzając doniesienia z terenu, zyskałem pewność, że to nie dzieło przypadku. Poszukiwania trwały długo, a ja świadom zdolności Sabiny zdawałem sobie sprawę, że mogę potrzebować lat na jej znalezienie. Ale mieliśmy trochę fartu. Oficer ABW nadzorujący jeden ze szpitali zameldował, że na oddział onkologiczny trafił chłopczyk odpowiadający rozesłanemu przez nas rysopisowi. Przyproceedziła go wprowadzić dziewczyna, która z kolei nie bardzo pasowała do opisu, nie zgadzały się kolor i długość włosów, ale jak wiesz, akurat ten element wyglądu daje się dość łatwo zmienić. Po bliższym przyjrzeniu się zapisom z kamer przemysłowych, zyskałem pewność, że trafiliśmy w końcu na jednoroźca. Zajęliśmy się chłopcem. Zabraliśmy go ze szpitala, a Sabinie zostawiłem informację, gdzie mnie znajdzie.

– Dlaczego nie zdjęliście jej w szpitalu?

– Przy tylu świadkach? – Lewiński zaśmiał się kpiąco. – Może jeszcze telewizję powinniśmy zaprosić, co?

– Chwileczkę, to się nie trzyma kupy. jeśli naprawdę jesteś prekognitką, powinnaś wiedzieć, czym skończy się oddanie brata do szpitala.

– A ty pozwoliłbyś umrzeć jedynej osobie, którą kochasz? – odezwała się ponuro Sabina.

Lis spojrzał jej prosto w oczy. Cały czas próbował przebić się przez chaos panujący w głowie dziewczyny. Wyseparował z wiru wizji wiele osobistych myśli.

Mimo to nadal nie wiedział prawie nic o jej przeszłości.

Ale nawet w tamtej chwili nie wątpił w jej gorącą miłość do brata.

– Prawdę mówiąc nasz jednorożec znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony mógł zachować wolność, ale musiałby poświęcić życie ukochanej osoby, z drugiej strony ocalenie Piotrusia oznaczało... – Adam zawahał się, chciał powiedzieć: pracę dla nas, ale wybrał bardziej dyplomatyczne określenie – ... poświęcenie własnej wolności.

– Proszę mnie tak nie nazywać, nie jestem przedmiotem ani zwierzęciem. Mam imię i nazwisko – obruszyła się dziewczyna, słysząc po raz kolejny kryptonim, jaki jej nadano.

– Oczywiście, przepraszam, Sabinko. Nie chciałem cię urazić. To taki nasz żargon... Powiedz mi, dar, który posiadasz, pozwala ci widzieć przyszłość?

– Tak.

– Znakomicie. Zadam ci teraz kilka pytań. Postaraj się odpowiadać możliwie jak najprościej i najdokładniej. To bardzo ważne.

– Dobrze. – Dziewczyna spojrzała na Lisa, jakby wiedziała, że telepata skupia się na odbiorze jej myśli.

– Czy te wizje mają jakąś regularność?

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o to, jak widzisz przyszłość. Czy są to wyrwane z kontekstu obrazy czy raczej... szerszy ogląd sytuacji? Czy możesz je wywołać, czy same przychodzą?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu, ale Lis, mimo chaosu nadal panującego w jej głowie, poznał odpowiedź, zanim została zwerbalizowana.

– Nie mam nad tym kontroli. Czasem coś widzę, czasem nie. Widzenia przychodzą nagle, bez ostrzeżenia.

Raz jest to nieruchomy obraz przypominający zdjęcie, kiedy indziej dłuższa scena, lecz zawsze dotyczą miejsca, w którym akurat jestem.

Nie powiedziała dokładnie tego, co chwilę wcześniej odebrał Lis. Najwyraźniej nie chciała wyjawić całej prawdy. Nie dziwił się. Sam ukrywał swój dar jak mógł najdłużej.

– Prosiłem, Sabinko – powiedział Lewiński – żebyś postarała się odpowiadać naprawdę szczegółowo, od tego zależy... – Przerwał, gdy zobaczył, że jej twarz szarzeje.

Lis nie mógł tego widzieć, ale wizja, jaką odebrał w tej samej chwili, zmusiła go do odwrotu. Umysł prekognitki zamienił się w tygiel milionów obrazów zmieniających się tak szybko, że powodowały niemal fizyczny ból.

– Zaufałam ci! – W podniesionym głosie dziewczyny dało się wyczuć zdenerwowanie. – Teraz ty mi zaufaj. Każ mu zwolnić. – Wskazała kierującego samochodem Norberta.

– Słucham? – Lewiński wydawał się zaskoczony.

– Każ mu zwolnić! – krzyknęła Sabina.

– Dlaczego? – Adam nadal nie rozumiał, do czego prekognitka zmierza. A może wyczuwał jakiś podstęp. – Norbi, zwolnij trochę...

Golec lekko przyhamował.

– Jeszcze! – zawołała dziewczyna.

– Dlaczego...

– Zwolnij! – wrzasnęła Sabina tak przeraźliwie, że Golec natychmiast zareagował, mimo iż Adam nie wydał mu polecenia.

Ruch na dwupasmówce nie był wielki. W polu widzenia mieli zaledwie dwa wozy osobowe i zdezelowanego jelcza z przyczepą wyładowaną po brzegi ziemniakami. Gwałtownie hamującym na śliskiej jezdni mercedesem zarzuciło w koleinie, jadący za nim drugi wóz zespołu z trudem uniknął zderzenia, w ostatniej chwili zjeżdżając na pas zieleni.

– Co jest, do kur... – Lewińskim, mimo zapiętych pasów, rzuciło jak kukłą.

Lis nie był zapięty; poleciał na przednie siedzenie, uderzając boleśnie obojczykiem o zagłówek.

Przyczepa jelcza zatańczyła po jezdni, ciągnąc cały zestaw najpierw na pobocze, potem w drugą stronę. Kierowca stracił panowanie nad wozem i dwudziestotonowa ciężarówka sunęła przez sekundę bokiem do kierunku jazdy, by w końcu przewrócić się jak na zwolnionym filmie. Przyczepa wypięła się z głośnym trzaskiem i wjechała do rowu.

– Jeżu malusieńki... – wymamrotał Golec, zatrzymując samochód kilka metrów od chmury pyłu, w której zniknął dachujący jelcz.

Sabina pochyliła się do wciąż oszołomionego Lewińskiego.

– Nie zapomnij, że też zawdzięczasz mi życie... – szepnęła na tyle głośno, by wszyscy w wozie usłyszeli.

* * *

Słońce, leżaczek na plaży, zimne piwo w dłoni. Od kilku dni Lis rozkoszował się urokami mazurskiego ustronia. Lewiński skupił się na pracy z Sabiną do tego stopnia, że odwołał wszystkie akcje. Czekali tylko na zlecenia ze strony Komitetu. A tych jak na złość – a może na szczęście – nie było. Choć trudno w to uwierzyć, politycy, zupełnie jak ludzie, zrobili sobie wakacje.

– Nie przeszkadzam?

Lis aż podskoczył na dźwięk głosu, omal nie rozlewając przy tym piwa.

– Sabina? – zdziwił się, podnosząc rondo słomkowego kapelusza. – Co ty tu robisz? Myślałem, że...

Dziewczyna zdjęła chodaki, położyła ręcznik na deskach i przysiadła na skraju mola.

– Doktorek pojechał do Warszawy. Wróci dopiero wieczorem.

– Temu to dobrze. A jak tam Piotruś?

– Wczoraj odleciał do prywatnej kliniki w Szwajcarii. Wszystko zostało opłacone z góry. Za tydzień przejdzie operację przeszczepienia szpiku. Teraz wszystko w rękach Boga.

– Zobaczysz, będzie dobrze.

– Widziałeś „Lśnienie”? – zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki Sabina.

– Nie widziałem – odparł zdziwiony zmianą tematu Lis.

– Ale książkę czytałeś chyba?

Telepata ułożył się wygodnie na leżaku i opuścił kapelusz, kryjąc oczy w cieniu. Oczekiwał ciągu dalszego, ale dziewczyna milczała. Zdziwiło go to nie mniej niż pytanie o jego, było nie było, ulubiony tytuł Kinga. Dlatego ostrożnie zapuścił się w jej umysł, choć Adam wyraźnie zabronił mu to robić poza sesjami. Tam czekało go kolejne zdziwienie. Ogromny wir wizji, jaki zapamiętał z poprzednich wizyt, był ledwie wyczuwalny. W mglistej białej pustce widział za to dwa wyraźne słowa.

Jakby ktoś napisał je na tablicy.

– *Odbierasz mnie'?*

Były skierowane do niego. Z pewnością.

– Tak – powiedział na głos.

– *Me mów, lśnij* – napis płynnie zmienił się w następny.

– *Powoli...*

- *W czym problem?*
- *Jeszcze nigdy w taki sposób nie rozmawiałem.*
- *Przecież jesteś telepatę.*
- *Jedynym w tym gronie.*
- *Nie rozumiem.*
- *Nikt nie widział moich myśli... – z trudem formował odpowiedzi. –*

Odbierałem obrazy, wizje... Nikt nie odbierał mnie.

- *OK. Zatem będę się streszczać.*
- *Dlaczego... lśnimy?*
- *Bo jesteśmy podsłuchiwani.*
- *O czym ty mówisz?*

Zamiast pisemnej odpowiedzi zobaczył obraz. Niewielkie pomieszczenie pełne monitorów, jakiejś aparatury. Dwóch żołnierzy obsługujących terminale. Skupił się na obrazie przekazywanym przez kamery. Zobaczył znajome wnętrza, twarze. Młodego, który obżerał się chipsami i czytał komiksy. Siedzącego na sedesie w rodinowskiej pozie doktora Jekylla. Grających w karty z wartownikami Golców. Na największym monitorze Lewiński i para lekarzy stali skupieni wokół stołu, na którym spoczywało nagie ciało ponętnej dziewczyny. Sabiny, rzecz jasna.

- *Co to jest? – zapytał Mundeck.*
- *Wizja.*
- *Przyszłość?*
- *Teraz już nie.*
- *Kurwa mać...*
- *Też kobieta.*
- *Przepraszam – zmitygował się telepata. – To nie może być prawda.*
- *Ale jest.*
- *Sprawdzałem umysły strażników.*
- *Tych na bramie? Oni o niczym nie wiedzą.*
- *To jakaś paranoja... jeśli nie oni, to kto?*
- *„Kto będzie pilnował strażników... ” – odparła znanym mu cytatem.*
- *A, chyba że tak...*

Lis się wycofał. Pociągnął spory łyk piwa. Komitet płacił, ale i wymagał. I jak widać, zabezpieczał się na wszystkie strony. Ciekawe, czy Lewiński o tym wiedział... Wszedł w Sabinę raz jeszcze.

– *Doktor o tym wie?*

– *Me mam pojęcia* – odparła natychmiast.

– *Szlag...* – Wizja Okrasy rozmyślającego na kibelku może i była zabawna, ale oznaczała, że są totalnie inwigilowani.

– *Inwigilacja to mniej istotna sprawa* – załśniła.

– *A co jest istotne?*

– *Plany Lewińskiego.*

– *Jakie plany?*

Znowu wizja. Dom, przeciętny sześcian, jakich tysiące powstawało przed laty na przedmieściach i wsiach. Za domem niewielki zaniedbany ogród, w nim altana. Dym. Jakby się coś paliło. Ludzie wbiegają do środka. Słysząc przeraźliwe krzyki. Kobieta stojąca obok Mundka mdleje. We wnętrzu altany leży martwy mężczyzna. Teraz Lis widzi go wyraźnie. Twarz wykrzywiona w grymasie przerażenia albo bólu. Flanelowa koszula, spodnie robocze. Dość czyste. Tylko jedno psuje ten obraz. Noga od połowy łydki niemal do pachwiny jest spalona na węgiel, ale kilka centymetrów dalej materiał spodni wciąż wydaje się nietknięty ogniem, nawet nie osmalony. Podobnie sosnowa podłoga wokół ciała. Deski pod zwęgloną nogą wyglądają jak resztki polan z ogniska, sąsiednich ogień nie tknął w ogóle.

– *Spontaniczny samozapłon* – mruknął Lis.

– *Lewiński chce ten proces kontrolować.*

– *Jak?*

– *Tego nie wiem.*

– *Nikt tego nie wie...*

– *Nawet ci, którzy mają taką moc.*

– *Tak.* – Lis mimowolnie się uśmiechnął. – *Zwłaszcza oni...*

– *Odkrywając swój dar, umierają.*

– *Dlatego Adam chce użyć prekognicji.*

– *Tak, mam zlokalizować to wydarzenie.*

– *A my przejdziemy człowieka, zanim się spali.*

– *I poznamy naturę tego zjawiska.*

– *Zupełnie jak w „Podpalacze”.*

– *W czym?* – zdziwiła się Sabina.

– *Stephen King. Powieść, film* – wyjaśnił.

– *„Firestarter”?*

- *Chyba tak.*
- *Ta wizja, które widziałeś...* – Napis skończył się nagle, w pół zdania.
- *Tak?*
- *To stanie się jutro.*
- *Kaszka z mlekiem.*
- *Nie rozumiesz.*
- *A czego tu można nie zrozumieć?*
- *Zastanów się, po co Adamowi firestarter?* – odpowiedziała pytaniem na

pytanie.

- *A po co jednorożec? Telepata?*
- *To co innego.*
- *Niby dlaczego?* – zapytał szybko.
- *Nasze dary nie służą do niszczenia...* – Dziewczyna chyba się zdenerwowała.

Zauważył, że w napisie zabrakło jednej litery. – *Przynajmniej nie bezpośrednio.*

- *No, fakt... Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.*
- *Obyś się nie mylił.*
- *Co masz na myśli?*

Nie odpowiedziała.

- *Jeśli masz jakieś podejrzenia...*
- *Wiesz, dlaczego z tobą rozmawiam?* – Sabina nagle zmieniła temat.
- *Nie.*
- *Bo... jesteś inny.*
- *Co znaczy: inny?*
- *Inny niż Lewiński.*
- *Dlaczego tak uważasz?*
- *W samochodzie...* – Napis zniknął, ale zanim Mundeł zdążył zareagować,

pojawiła się jego kontynuacja. – *Wiedziałeś, że skłamałam.*

- *Kiedy?*
- *Tuż przed wypadkiem.*
- *Noo...* – zawahał się.
- *Ale mnie nie wydałeś.*
- *Tego nie wiesz...* – uśmiechnął się pod rondem kapelusza.
- *Wiem.*
- *Skąd? Przecież nie jesteś telepataką.*

- *Widziałam przyszłość.*
- *No tak...* – Znów uświadomiła mu, że posiada nad nim przewagę, i to istotną.
- *To dobrze o tobie świadczy.*
- *Skoro tak mówisz :-)* – Dodał do swojego napisu smileya. Jak na czacie.
- *Potrafię widzieć to, co chcę.*
- *Wiem.*
- *Potrafię widzieć wtedy, kiedy chcę.*
- *Mów dalej.*
- *Nie.*
- *Dlaczego?*
- *Sam zobacz...*

Biel zniknęła w ułamku sekundy, jak zdmuchnięta. Stał w mrocznym, wąskim korytarzu za plecami trzech mężczyzn. Musiał przywyknąć do braku światła, zupełnie jak w realu. Trwało to chwilę. Sylwetki dwóch wyższych wydały mu się znajome mimo ciemności. Tak, to bliźniacy, ale kim jest ten trzeci? Nie kojarzył faceta, chociaż... Dałby sobie rękę uciąć, że kiedyś już go widział. Szedł za całą trójką do załomu, potem po schodach na półpiętro. Tutaj Golcowie zostali z tyłu, a nieznajomy podszedł do okna i otworzył je na oścież. Usiadł na parapecie i założył okulary przeciwsłoneczne. Ułożył plakietkę identyfikacyjną funkcjonariusza ABW zawieszoną na pomarańczowej smyczy, by była jak najlepiej widoczna na tle czarnego półgolfu. Z pewnością w tej chwili sprawdzał go jakiś agent z lornetką albo snajper.

Lis wyrzął zza pleców mężczyzny na zatłoczoną ulicę. Nie wiedział, jakie to miasto, nie dostrzegał żadnego charakterystycznego budynku, pomnika, nic. Ale jedno było pewne, to Polska. I dzień świąteczny. Wzdłuż jezdni ustawił się szpaler ludzi, co kilka metrów stali policjanci. W tłumie i na ścianach roіło się od flag. Rozległ się dźwięk policyjnego koguta. Środkiem ulicy przemknął radiowóz. W oddali sunęła kawalkada limuzyn. Samochody zbliżały się powoli, otoczone kordonem motocyklistów. Spojrzał na faceta w oknie. Siedział z założonymi rękami, jak setki widzów wokoło, w sąsiednich oknach, na balkonach. Tylko że oni nie mieli zaciśniętych kurczowo szczęk, nabiegłych krwią oczu i pulsujących żył na skroniach. Mundek znów popatrzył na ulicę. Jadące na czele kolumny czarne opancerzone bmw było już o kilkanaście metrów do bramy, w której niedawno stali. Nagle wóz eksplodował. Nie było strzału, rzuconego granatu. Obraz zwolnił w tym momencie, jak gdyby zadziałała adrenalina, jakby to on sam brał udział w wypadku; widział wszystko

wyraźnie. Samochód przysiadł, pancerne szyby i dach opierały się fali uderzeniowej wybuchu przez ułamki sekund, wyginając i pęczniejąc. A potem z wnętrza, miejsce po miejscu, przez rosnące szczeliny i pęknięcia, zaczęły wydobywać się płomienie. Z obramowań okien, spod maski. Korek wlewu paliwa wystrzelił jak pocisk prosto w oniemiały tłum. Za nim trysnął strumień płonącej benzyny. W okamgnieniu samochód zamienił się w kulę jasnopomarańczowego ognia. Mężczyzna siedzący na parapecie odwrócił się z uśmiechem i wtedy Lis przypomniał sobie, gdzie go wcześniej widział...

– *I jak?* – zapytała napisem Sabina, gdy obraz zniknął.

– *Kto to był?*

– *Firestarter Adama. Niejaki Kowalczyk.*

– *Pytałem o cel.*

– *Nowo wybrany prezydent.*

– *Kurwa mać...* – zaklął, ale dziewczyna nie zwróciła na to uwagi.

– *Musimy go powstrzymać.*

– *Jak?* – zaśnił w odpowiedzi.

– *Me wiem... ale musimy coś zrobić.*

Lis rozważał kolejne pomysły. W końcu wydało mu się, że ma odpowiednie rozwiązanie.

– *Me możesz mu powiedzieć o tym firestarterze.*

– *Za późno.*

– *Co znaczy: za późno?!*

– *Wizja przyszła po tym, jak go poinformowałam...*

Nie odpowiedział. Wszedł z Sabiny i sięgnął po piwo.

Wlał w gardło potężny łyk i natychmiast wszystko wypłuł. Nektar bogów za długo stał na słońcu. Był ciepły jak mocz niemowlaka. I tak też smakował.

* * *

Fasada domu wyglądała dokładnie tak jak w wizji Sabiny. Tyle że teraz było jeszcze ciemno. Słońce dopiero wstawało, gdy Norbert zatrzymał ML-a na skraju zagajnika, kilkadziesiąt metrów od posesji Kowalczyków.

Lewiński był bardzo pobudzony, mimo tak wczesnej pory. Przygryzał nerwowo górną wargę i pocierał kciukami o palce wskazujące.

Lis nie dziwił się zachowaniu szefa. Po latach niepowodzeń wreszcie zaczynał

odnosić sukcesy. Jednorożec przyniósł mu szczęście – przynajmniej tak mógł teraz myśleć.

– Chłopaki z Komitetu muszą być wniebowzięci – powiedział telepata. On też trzymał się swojego planu. Sprawdzał.

– Chłopaki z Komitetu jeszcze nic nie wiedzą. – Adam nie patrzył w jego stronę. W napięciu przyglądał się zabudowaniom.

– Nie pochwaliłeś się takim sukcesem?

– Na wszystko przyjdzie pora. – Lewiński nie przerywał obserwacji. – Która godzina?

– Za kwadrans piąta – zameldował Golec.

– Czwarta czterdzieści pięć... – Lis uśmiechnął się do swoich myśli. – O tej godzinie Niemcy zaatakowali Polskę, rozpoczynając drugą wojnę światową.

– Mylisz się, dziadzia. – Młody poprawił go, zanim przełknął ostatni kęs kanapki. – Kwadrans wcześniej zaczęli bombardować Wieluń, Walim, a może Wałcz. Podręczniki kłamią, a szkoła zasysa.

– Tak, wiem. A Westerplatte trzymało się, bo Dąbrowski zamknął Sucharskiego w bunkrze. W kółko to powtarzasz.

– Bo to prawda. – Młody oblizał się i sięgnął po kolejną kanapkę. – Historia jest, panie roztelepany, wciąż zakłamywana.

– Zamknijcie się wreszcie! – Adam oderwał wzrok od okna i spojrzał na zegarek. – Za sześć minut wchodzimy. Wszyscy wiedzą, co do nich należy?

Potwierdzili skinieniami głowy. Lis wyjął z torby spore nożyce do metalu.

– Zostaw te kalorie. – Rzucił narzędzie na kolana Młodego. – Jest robota do zrobienia.

– Ty miałeś ciąć siatkę... – zdziwił się bioenergoterapeuta.

– Właśnie – dołączył się Lewiński. – O co ci chodzi, Mundek?

– Zwichnąłem wczoraj nadgarstek. – Lis pokazał obwiązaną bandażem elastycznym rękę. – A parówkarzowi przyda się trochę ruchu.

– Wal się... – Młody wyraźnie nie miał ochoty na wysiłek.

– Żadne wal się. Biegiem! – uciął dyskusję Lewiński. Konieczny spojrzał spode łba na telepatę, schował do kieszeni kanapkę i wziął z kolan nożyce. Z trudem wygramolił się z samochodu. Pochylony ruszył truchtem w kierunku porośniętego winoroślą ogrodzenia. Wyglądało to komicznie – jakby wieloryb po wyrzuceniu na brzeg usiłował ukryć się w trawie. Na dodatek w połowie drogi zaczął gubić kanapki

poupychane w zbyt płytkich kieszeniach kurtki.

– Mundek, pomóż temu pajacowi... – Lewiński wyprzedził o sekundę propozycję Lisa.

– Jasne! – Telepata szybko wyskoczył z wozu, zatrzęsął za sobą drzwiczki i nie oglądając się, pobiegł za Młodym.

Nawet gdyby Lewiński miał sokoli wzrok albo lornetkę, nie mógłby zauważyć niewielkiego przedmiotu, który Lis ścisnął w dłoni. Nie mógł też widzieć, jak bezgłośnie odlicza sekundy. Gdy doszedł do dziewięciu, skoczył. Nie zdążył upaść. Fala uderzeniowa wybuchu cisnęła nim o płot. Zawleczka wyleciała mu z dłoni. Bolało jak szlag, ale na szczęście nie dostał żadnym z odłamków. Sekundę później drugi wybuch podrzucił płonący wrak samochodu w górę. To eksplodował bak.

Konieczny leżał dwa kroki dalej, nie miał tyle szczęścia, dostał odłamkiem granatu w głowę. Jeszcze oddychał, ale kałuża krwi wypływającej z rany na potylicy, była już całkiem spora. Mundek wszedł w niego i poczuł zimny dreszcz. Świadomość bioenergoterapeuty powoli gasła. To było dziwne, wręcz przerażające uczucie, jakby umysł Młodego zapadał się sam w siebie. Lis przełknął ciężko ślinę. Po raz pierwszy odczytywał ostatnie myśli konającego człowieka.

– Szlag by to... – Nie mógł mu pomóc. A gdyby nawet mógł, miał teraz na głowie większy problem.

Drzwi drugiego wozu otworzyły się i wypadł z nich Robert. Z pistoletem w rękę pędził w kierunku wraku, rozglądając się na wszystkie strony. Lisowi zależało na tym, by nie skojarzył wybuchu z jego osobą. Nie miał broni, zresztą na otwartym terenie nie uciekłyby przed doskonale wyszkoloną maszyną do zabijania. Biegł więc z powrotem do wraku, jakby nie miał z eksplozją nic wspólnego.

Golec już był przy płonącej stercie złomu. Zniknął za strzelającymi w niebo płomieniami, zupełnie irracjonalnie próbując ratować brata. Lis zatrzymał się raptownie. Nawet tutaj, kilka metrów od źródła ognia żar był trudny do wytrzymania. Spojrzał w stronę Młodego, ale ten się nie ruszał. Stracił już przytomność, nie zostało mu wiele czasu. W każdym razie nie komplikował rozgrywki. Mundek rzucił okiem na dom, dziwne, ale w żadnym oknie nie zapaliło się jeszcze światło. Sprawdził, co robi reszta załogi drugiego wozu. Sabina stała wciąż przy otwartych drzwiach samochodu. Doktor Okrasa biegł, o ile można to nazwać biegiem, w kierunku wraku.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem... Tylko skąd ten ból, który przeszył nagle ramię, a chwilę później brzuch. Lis odwrócił się do wraku i zobaczył barczystą

sylwetkę w pozycji strzeleckiej. Golec się zorientował?! – przemknęło mu przez głowę, gdy osuwał się na ziemię. Ale jak?

Upadł na plecy. Choć z przerażeniem odkrył, że nie może się poruszyć, zachował pełną świadomość. Widział, jak podbiega do niego Okrasa, jak pochyła się, kładzie obok torbę. Ciepła krew, która chlapnęła na twarz Mundka, z pewnością należała do kogoś innego. Ale przecież jedyną osobą w pobliżu był stary doktor Jekyll, toaletowy rodinowski myśliciel.

– Ty skurwielu! – Lis usłyszał te słowa, jakby dobiegały z wielkiej odległości. Nie poczuł kopnięcia, które przesunęło jego bezwładne ciało. Nie widział twarzy Roberta. Dostrzegał tylko jego rozmazaną sylwetkę. Oprawca kopnął go raz jeszcze, po tym chyba przyklęknął.

– Niece... rozuu... miesz – wyszeptał Mundek, wkładając w te dwa słowa wszystkie siły, gdy zobaczył nad sobą dziwnie zniekształconą, ale wciąż znajomą twarz.

– Mylisz się, śmieciu, doskonale rozumiem – wychrypiał ochroniarz. – Ona mi wszystko wytłumaczyła. – Przyłożył chłodną lufę wypieszczonego HK do czoła Lisa. – Do zobaczenia w pie... – tyle zdążył powiedzieć, zanim nagle zniknął z pola widzenia.

Kolejna struga ciepłej krwi załała twarz i oczy telepaty. Wszystko zrobiło się czerwone. Ale nadal widział chmury, drzewa... Umarłem... pomyślał. Ale dlaczego wszystko ma kolor krwi, dlaczego nie widzę jasności? Z coraz większym trudem kojarzył, dlatego dopiero teraz dotarł do niego sens wypowiedzianych przed chwilą słów. Ona wszystko wytłumaczyła? Kto? Sabina?

Znów ktoś nad nim stanął. Nie widział kto, to był tylko niewyraźny cień we wszechobecnym szkarłacie. Chciał coś powiedzieć, ale z zalewanych krwią ust wydobyło się jedynie chrypienie. I bąbelki krwawej piany.

– *Sabina?* – spróbował odszukać jej jaźń. – *Sabina!*

– *Jestem tutaj* – odpowiedź przyszła szybko.

– *Co... poszło... nie tak?*

– *Mc* – odparła spokojnie. – *Wszystko idzie zgodnie z planem.*

– *Przecież... ja umieram...*

– *Bo tak miało być.*

– *Ale... dlaczego?*

Wir obrazów tak charakterystyczny dla umysłu prekognitki wdarł się do jego świadomości. Tym razem porozumiewała się z nim zupełnie inaczej. Nadawała. Nie

jakieś tam napisy, ale normalnie w pełnym paśmie.

Była telepatką.

Naprawdę dobrą telepatką.

– *Me jestem tym, za kogo mnie masz. Twój szef zaczął tworzyć zespół esperów – u nas, w FSB, też tak nazywamy ludzi posiadających zdolności ponadnaturalne. Zorientowaliśmy się, że nad tym pracujecie, gdy zostałeś wprowadzony przez jednego z członków Komitetu na obrady komisji międzyrządowej w marcu. Pamiętasz?*

Nie pamiętał, więc mu przypomniała. Rosyjsko-polskie obrady na temat współpracy gospodarczej. Nic nie znaczący epizod. Mundek miał sprawdzić intencje negocjatorów, co też uczynił. I kontrakty na kilkaset milionów dolarów szlag trafił...

– *Rozmowy nadzorował mój ojciec. Wspaniały człowiek i wielki telepata. Nie byłeś w stanie wykryć jego obecności w swoim umyśle. A on czytał w tobie, jak w otwartej księdze. Dowiedział się, że zaczynacie korzystać z esperów, jak my. Stanowiliście zbyt wielkie zagrożenie dla naszej sprawy. Nie mogliśmy pozwolić na utratę strategicznej przewagi. Przywracanie kontroli nad dawnymi strefami naszych wpływów potrwa jeszcze ładnych parę lat. Dlatego podjęliśmy odpowiednie kroki.*

– *O czym... ty mówisz... ?*

– *Najpierw chcieliśmy załatwić sprawę przez waszych mocodawców, ale okazali się już uodpornieni na telepatię. Ten wasz Lewiński był niezły. Jego metoda zabezpieczania przed odczytem myśli jest nie tylko nowatorska, ale również bardzo skuteczna. Zyskalibyście ogromne przewagę, gdyby udało mu się zrealizować plany zabezpieczenia całego rządu. Na szczęście ludzie z Komitetu nazbyt bali się ujawnienia sekretu i utraty wpływów. I dlatego za parę godzin my przejmemy cały wasz dorobek razem z ośrodkiem.*

– *Nie, rozumiem... jesteś przecież preko...*

– *Nie ma prekognitów, głupcze. Daliście się podpuścić. Od początku do końca. Cuda, wizje, ten pusty dom na odludziu. Nawet granat, jak widzisz, nieprzypadkowo znalazł się wtedy w mojej ręce.*

– *Przecież...*

– *Co: przecież? Nadal nie rozumiesz? Wszystkie te cudowne ocalenia były ukartowane. Wiedzieliśmy, że Lewiński szuka, jak to poetycko ujęliście, jednorożca. Jego wielkim błędem było pozostawienie części ludzi z zespołu bez blokady. Kiedy biegałeś z grubasem po kasynach, skanowaliśmy wasze myśli wiele razy. Centrala uznała, że skoro tak wam zależy na prekognicje, to go dostaniecie. Nie wiesz nawet,*

jak łatwo można upozorować cudowne ocalenia. Zwłaszcza gdy pracuję nad tym prawdziwi zawodowcy. Elita.

– Ale... wypadek...

– Kierowca ciężarówki miał proste zadanie: wykonać manewr skrętu w chwili, gdy wasz wóz zacznie hamować. Nie wcześniej. Do tego nie trzeba być nawet esperem. Gdybym nie zdążyła przekonać Lewińskiego, po prostu przejechalibyśmy obok niego.

– A... Pio... ?

– Biedny dzieciak. Skanowałeś go wiele razy, ale nie zauważyłeś, jak go przerobiono. Jesteśmy w tym naprawdę dobrzy. Wyszukałam go na Śląsku. Matka alkoholiczka, ojciec w kiciu, jeden z trzynastorga rodzeństwa. Dobry wujek ze stolicy zaopiekował się chorym Piotrusiem. A potem poczekaliśmy, aż choroba rozwinie się do tego stopnia, żeby legenda jednorożca wyglądała naprawdę dobrze. I wystawiłam się na strzał we Wrocławiu. Bingo.

– Ale ja... widziałem... w twoich...

– Widziałeś to, co chciałam, żebyś widział. Wiesz doskonale, jak trudno oddzielić prawdziwe myśli od fikcji, zwłaszcza gdy cel sam nie wie, co jest prawdą, a co urojeniem. Gdyby nie to, Komitet dysponowałby już władzą absolutną. Jesteś zdolnym telepatą, Edmundzie, ale surowym jak diament, natomiast ja jestem brylantem pierwszej wody. Gdyby dano ci szansę na otrzymanie takiego szlif, być może przerósłbyś mnie o głowę. Ale tak się nie stanie, twój los dopełni się dzisiaj, tutaj, na tej wsi. Przykro mi, że tak się kończy nasza znajomość, ale to nic osobistego... Tak musiało być. – Przerwała na chwilę, wir jej myśli zniknął, ale zanim Mundek zdołał zarejestrować nastanie pustki, ponownie zaślniła. – Ty zlikwidowałeś zespół numer jeden. Robert był na tyle miły, że zatroszczył się, by nie było świadków tej awantury. A ja zatroszczyłam się w rewanżu o niego. W zasadzie powinnam mu pozwolić, żeby cię dobił, ale... nie pozwoliłam. To i tak niczego już nie zmieni... Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, religijnym. Tak jak ja. Dlatego dam ci tych kilka dodatkowych minut. To kompletne odludzie. Nikt nie będzie ci przeszkadzał, jeśli zechcesz pojednać się ze swoim Bogiem. Żegnaj, kotku, muszę już lecieć. Jest jeszcze tyle do zrobienia.

Mglista biel zniknęła, niebo znów stało się czerwone od krwi zalewającej oczy Lisa. A potem czerwień powoli ciemniała, aż stała się absolutną czernią.

Część I

Przebudzenie

Czerwień powoli ciemniała, aż stała się absolutną czernią... Mundeck wyczuł delikatny powiew chłodu, który musnął mu palce u stóp i zniknął tak nagle, jak się pojawił. Ale tylko na moment. Gdy powrócił, był chłodniejszy, bardziej intensywny i nic nie wskazywało na to, że ma zamiar ponownie odejść. Zimny, ale jakże aksamitny dotyk nicości przesuwiał się równie wolno, jak nieubłagane, sunąc nie tylko po cierpnącej skórze, ale i wewnątrz ciała, wzdłuż mięśni, ścięgien i kości, niczym fala eterycznego przypływu.

Z czym zetknął się chłód, to przestawało istnieć dla umęczonego bólem umysłu. Znikało odrętwienie, ale znikał też ból. I chociaż Lis doskonale wiedział, z czym ma do czynienia, nie czuł już lęku. Kościste, ale delikatne jak aksamit palce Śmierci niosły ukojenie, uwalniały od męki niewysłowionego cierpienia.

Lodowaty dotyk sięgnął już kolan, pochłonął uda, potem dotarł do pasa. Sunął dalej, nie zwalnając, wyczuwalny zarówno na plecach, brzuchu, jak i we wnętrzu ciała. Zmierzał nieuchronnie ku coraz słabiej bijącemu sercu. Telepata właśnie zdał sobie sprawę, że głuche i coraz mniej regularne uderzenia, towarzyszące każdemu skurczowi obumierającego mięśnia, są jedynymi dźwiękami zakłócającymi spokój tego miejsca. O ile stan, w jakim się teraz znajdował, można było określić mianem miejsca.

Jeszcze jeden spazm, może dwa i ustanie odległe dudnienie, wyczerpie się życiodajny płyn tłoczony przez rozdarte arterie. Zapadnie cisza...

Absolutna czerń i kompletna cisza.

Nicość.

To nie tak miało być, zdążył jeszcze pomyśleć Lis, nie tak... Gdyby tylko mógł krzyknąć, ten jeden, jedyny, ostatni raz. Wygarnąłby Stwórcy, Szatanowi, komukolwiek, kto słuchał, że nie tak miało być... Wiedział, że nie ma już władzy nad ciałem, wiedział, iż świadomość istnienia została zredukowana do impulsu, zanikającego z wolna elektrycznego ładunku krążącego pomiędzy miliardami obumierających neuronów. Wiedział o tym wszystkim, ale nie byłby sobą, gdyby nie

spróbował, zanim jego cholerny, trwający w świadomości końca umysł nie zgaśnie. I w rzeczy samej, zanim przebrzmiało kolejne, jakże już słabe uderzenie serca, zanim lodowaty uchwyt Śmierci pochłonął ostatni fragment żołądka, Edmund Lis zawył niczym zwierzę obdzierane żywcem ze skóry. Nieziemski blask wybuchł tuż przed jego oczami, nieomal rozrywając przywykłe już do bezdennej czerni źrenice.

– Kurwa by cię mać! – Nie tymi słowy pragnął pożegnać się ze światem, ale stare przyzwyczajenia były silniejsze od pragnień, nawet w obliczu śmierci.

Wraz z jasnością powrócił ból. Ukłucie miliona rozgrzanych do białości igieł zmusiło Lisa do zaciśnięcia powiek – zrobił to instynktownie, broniąc się przed ogniem piekielnym. Czym innym bowiem mogła być taka tortura? Zadziało... Zadziało! Ku wielkiemu zdziwieniu telepaty ból z każdą sekundą malał. Nie czuł już żaru, nie smagały go płomienie, aczkolwiek wszechogarniająca biel ustępowała zbyt wolno.

Minęła dłuższa chwila, nim wciąż oszołomiony Mundek zdecydował się unieść powieki. Wiedział, co zaraz zobaczy. Świetlisty tunel, na którego końcu będzie stała postać w zwiewnej szacie, zapraszająca go rozpostartymi ramionami do świata, gdzie nic, co miało jakąkolwiek wartość na ziemi, już się nie liczy. Tak być powinno... Nie zobaczył jednak żadnego tunelu, nie było też znajomej sylwetki na jego krańcu. Nikt nie rozłożył ramion w geście powitania. Rozgrzana słońcem butelka piwa wysunęła się z dłoni telepaty. Spadła na poszarzałe deski pomostu, głuchym uderzeniem ostatecznie przywołując Lisa do rzeczywistości. Teraz słyszał już wyraźnie skrzypienie zbutwiałego drewna, krzyk spłoszonego ptaka, chlupot wody gdzieś poniżej. Poderwał się z leżaka i nerwowo przesunął dłońmi po miejscach, które przeszły kule. Skóra była gładka, nie miał blizn ani nawet zgrubień, jakie zwykle pozostają po dawno zagojonych ranach! Jakby nigdy nic jej nie przebiło...

Blask, który ranił mu oczy, utracił nagle nadnaturalny wymiar. Każdy, kto spojrział prosto w słońce, zwłaszcza stojące w zenicie, musiał poczuć się tak samo jak on przed chwilą. Mundek uśmiechnął się najpierw pod nosem, by moment później wybuchnąć głośnym rykiem.

Ułuda, wizja, nieprawda, wszystko nieprawda!

To nie kościste szpony Śmierci wysysały żar życia ze stygnącego ciała, tylko chłodny mazurski wiatr, ciągnący od jeziora, owiewał spocone nogi i docierał do pleców przez szpary w leżaku. Ten sam wiatr, który zerwał Lisowi z głowy słomkowy kapelusz, chroniący do tej pory twarz przed słońcem.

Mundek zacisnął powieki jeszcze mocniej niż przed chwilą. Gdy minutę, a

może całą wieczność później odważył się otworzyć załzawione oczy, ujrzał pofalowaną taflę jeziora, chwiejące się na wietrze szuwary, deski moła, a nad tym wszystkim wszechobecny, choć lekko wyblakły błękit nieba. Ponownie oparł plecy na wilgotnym od potu płótnie.

– A niech cię, Sabina... – wyszeptał, raz jeszcze przesuwając dłonią po brzuchu w miejscu, które spenetrowała kula wystrzelona przez Golca. – Wydawało mi się, że nie ma takiej siły na Ziemi, która jest w stanie mnie przestraszyć, ale tobie się udało... – przerwał, spoglądając, wciąż przez mgłę, tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała Rosjanka. – Sabina?

Na moło nie było nikogo, prócz niego samego. Telepata dopiero teraz zauważył, że nie wyczuwa jej umysłu. Mrużąc oczy spojrzał na butelkę, która wypadła przed chwilą z jego dłoni. Żółty płyn nadal wylewał się z szyjki, piana pokrywała już całkiem sporą powierzchnię desek. Lis usiadł na leżaku okrakiem. Wzrok wciąż płatał mu figle, ale z każdą chwilą dostrzegał coraz więcej szczegółów otoczenia. Widział już, choć nie całkiem wyraźnie, sosny na skarpie, za nimi rdzawy, dwukondygnacyjny budynek ośrodka. I sylwetkę człowieka, który siedł wyłożonym betonowymi płytami chodnikiem.

– Hej! – Mundek z tej odległości nie potrafił go zidentyfikować, nawet gdy przetarł oczy.

– Siemka, Mulderku. – Głos brzmiał dość znajomo, był niewyraźny, jakby rozmówca miał pełne usta, ale przezwisko... tak, to musiał być Młody.

– Piotruś, mam pytanie. – Lis wstał z leżaka i schylił się po piwo, które przed chwilą upuścił. – Nie widziałeś przypadkiem Sabiny?

Zamazana sylwetka z każdym krokiem stawała się wyraźniejsza – teraz nie ulegało już wątpliwości, że przypomina wielorybie cielsko Młodego.

– Kogo?

– No... Sabiny. Tej laski... – Lis, zaskoczony, szukał właściwego określenia. – Jednorożca. Wiesz przecież, o kim mówię.

– Jeez, dziadzia, nie powinieneś siedzieć tyle czasu na słońcu bez kapelutka. – Młody wybuchnął śmiechem i natychmiast się zakrztusił. – Coś ci się chyba z Krzyżakami popierdoliło – dodał, gdy odkaslnął.

– Przystań się zgrywać. – Mundek usiłował zogniskować wzrok na wciąż rozmytej twarzy rozmówcy. – Ta zdzira zafundowała mi właśnie taki odjazd, że mało nie narobiłem w gacie...

Młody spojrział na piniącą się kałużę pod stopami Mundka i westchnął.

– Ta zdzira! – powiedział domyślnie, z trudem tłumiąc chichot. – Trzeba było tak od razu. Ale wiesz, nie wydaje mi się, żeby sklepowa z Pomianic dodawała prochów do tych szczyn. Nie wyszłaby na swoje, nawet gdyby sypała najpodlejszą gandzię. No i, o ile mnie pamięć nie myli, ma na imię Zenobia czy jakoś tak, a nie Sabina... – Kolejny gryz unicestwił sporą część wielgachnego batona, który bioenergoterapeuta trzymał w dłoni.

– Skończ! – przerwał mu Lis. – I przestań mnie wkurzać, bo inaczej następnego Hellmana będziesz musiał sobie sam narysować.

– Wyluzuj, Mulderku... – zachnął się Młody, przełykając spory kawał maximarsa. – Gadasz od rzeczy. Nie znam i nigdy nie znałem żadnej Sabiny. Miałeś zły sen albo ci słońce na tym pomoście suche zwoje do reszty zlasowało. jednorożec... dobre sobie. A groźby to sobie w niespecjalnie wąski rulonik zwiń i zamaszycie wsadź. W sam środek zwiędłego dupska. Ten zeszytek, który mi w zeszłym miesiącu przywiozłeś, był ostatni z cyklu. Mignola zakończył serię. Kolejnego „Hellboya”, czytaj z moich ust: Hellboya, faktycznie sam będę musiał sobie narysować, nawet bez twoich gróźb.

Lis po raz kolejny zacisnął powieki. Gdy je otworzył, widział już całkiem wyraźnie, choć przed oczyma wciąż latały mu mrocзки. Głównie tam, gdzie próbował zogniskować wzrok, czyli na twarzy bioenergoterapeuty, co było naprawdę irytujące i dekoncentrowało.

– Młody, co ty pieprzysz? – zapytał po kilku sekundach, kiedy już przestał walczyć z czarnymi kręgami. – Przecież dopiero co byliśmy razem na akcji we Wrocławiu. Dziewczyna z braciszkiem. Pojawiali się przed katastrofami, ostrzegając ludzi, Lewiński namierzył ich przez...

Piotrek położył na ramieniu Lisa wielką jak bochen chleba dłoń. Tę bez batona.

– Nie wiem, stary, co bierzesz, ale musisz mi odpalić działkę – powiedział, oblizawszy resztki czekolady z warg. – Piwo nie mogło dać ci aż takiego kopa.

Klepnął Mundka w ucho i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę kamiennych stopni prowadzących na skarpe. Lis w pierwszym odruchu chciał go zatrzymać, ale zrezygnował. Sięgnął za to do umysłu bioenergoterapeuty.

– Mulderku, bądź tak łaskawy i wypierdalaj z mojej głowy, bo jak ja ci wejdem w twoją, za pomocą pożyczonej specjalnie na tę okazję i niezwykle poręcznej łyżki do opon... – Papierek z batonika zatoczył piękny łuk i wpadł w szuwały, budząc żywe

zainteresowanie paru kaczek, a dłoń, która go rzuciła, zamknęła się w charakterystycznym geście.

Lis posłuchał rady, bo niby po co miałby dalej czytać w umyśle Młodego. Już wiedział, że bioenergoterapeuta nie robił sobie z niego jaj, co jednak oznaczało... Zaraz, spokojnie. To trzeba usystematyzować.

Usiadł na leżaku, usiłując przypomnieć sobie dokładny przebieg ostatnich wydarzeń. Wizyta w białostockim kościele, podróż z Lewińskim, akcja we Wrocławiu... „Ten deszcz, mrok, faceci w garniturkach, scena zupełnie jak z Matrixa” – w głowie zabrzmiał mu tekst wypowiedziany przez Młodego. Za dużo szczegółów pamiętam, obrazy są zbyt realne. To musiało się wydarzyć, na sto procent. A może jednak nie... Nie. Cholera, nie! Ja tam, do kurwy nędzy, byłem!

Sabina posiadała o wiele większą moc, niż przypuszczał. Wpuściła go do swojego umysłu, tu, na tej plaży. Pokazała wizję domniemanej przyszłości, firestartera, zamach, ale dopiero potem naprawdę zrobiła go w konia. Nie wyszedł z niej, tylko leżał nadal na molo wierząc, że planują wspólnie spisek, ruszają na akcję i... Znów poczuł, jak lodowate paluchy zaczynają pełznąć w górę pleców. To wspomnienie też było bardzo realne.

Musi istnieć logiczne wytłumaczenie, pomyślał, żadna tam fantastyka i mistyka. Drogą eliminacji zawsze dojdiesz do jedyne go prawdziwego rozwiązania, powiadają eksperci kryminalistyki, przynajmniej ci na filmach. Zatem eliminujmy. Krok po kroku. Czy to możliwe, żeby mnie tak omamiła? Przecież podczas wizji firestartera i zamachu cały czas wiedziałem, że goszczę w jej myślach. Zaraz... był taki film z Tomem Cruise'em, cholera, jaki miał tytuł... Facet ginie w wypadku, a potem żyje w wirtualnej rzeczywistości, zupełnie tego nieświadom. Nie... Niemożliwe, toż to bujda na resorach. Czysta fantastyka. No dobrze, ale co z tego? Czy telepatia nie jest przypadkiem czystym science fiction... ?

Życie to nie film, a ja nie zginąłem, no bo niby jak, skoro strzelanina była fałszem wszczepionym przez Sabinę wprost do mojego mózgu? Chyba że wtedy, we Wrocławiu, jednak użyła granatu... Nie, bzdura, przecież sama by zginęła. I Młody musiałby zapamiętać to zdarzenie, a dopiero co go przeczytałem. Ale jeśli go skasowała... Jasne! Młody nie ma blokady. Aby poznać prawdę, trzeba sprawdzić innych.

– Szlag by cię, ruska franco... Prędzej czy później wpadniesz w moje ręce... – MundeK przerwał, zdekoncentrował go kolejny podmuch zimnego wiatru, niosący

wiadome skojarzenie.

Uśmiechnął się. Podniósł butelkę do ust. Bursztynowy płyn spływający do gardła był ciepły jak szczyzny niemowlaka. I szczerze mówiąc, smakował tak samo. Telepata spojrział na nalepkę. Piast, co za gówniane piwo... Piast?! Cholera, skąd na tym mazurskim zadupiu lokalne wrocławskie piwo? Musiałem być we Wrocławiu! Nie. Nie pasuje. Bez sensu. To musiało zdarzyć się tutaj. Moment przełomowy nastąpił podczas wizji, podczas wizyty w jej umyśle. A to znaczy, że...

* * *

– Posłuchaj mnie, Młody – Lis chwycił rękę Piotrka, zatrzymując widelec z naprawdę sporym kawałkiem steku w połowie drogi do ust – wiem, co sobie myślisz, ale...

– Stary... – Spojrzenie grubasa utkwione w końcu widelca, było bardziej żalodne niż pamiętny wyraz oczu kota ze „Shreka”. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ja teraz je m.

– Pieprz te ochłapy, człowieku – zachnął się Mundek. – Ktoś wypalił ci dziurę wielkości księżycy w pamięci, a ty w kółko nawijasz o jedzeniu.

– Mulder, wal się na chudy ryj, jestem głodny, cholernie głodny, nie miałem nic w ustach od szesnastej i staram się zjeść tę oto, skromną kolację... – powiedział Młody, tym razem z wyczuwalnym rozdrażnieniem.

Lis puścił przedramię bioenergoterapeuty. Rozżalony zerknął na ekran telewizora, z którego właśnie odjeżdżał „Teleekspres”.

– Człowieku, mówię, że tobie i zapewne wszystkim innym ludziom z naszej grupy wymazano pamięć, a ty masz mnie w dupie i ślinisz się, jakbyś nie jadł od tygodnia... – przerwał na moment, rozejrzał się po pustym pokoju stołowym i zapytał: – A tak na marginesie, gdzie się wszyscy podziali?

– Poekali na achają. – Ledwie zrozumiał odpowiedź wydobywającą się spomiędzy miażdżonych zębami kawałów chrząstki i mięsa.

– I zostawili nas? – zdziwił się Lis.

– Fo to fiefszy rasz – sapnął Młody, sięgając po kompot.

Racja, nie zawsze jeździli na akcję w komplecie, ale... zazwyczaj zostawiali Młodego. Lis był jedynym telepata w zespole. Nie pamiętał przypadku, żeby ominął go wyjazd.

– Rozumiem, że wzięli Jekylla zamiast ciebie, ale ja... Ja nawet na odprawie nie byłem.

– Co ty pieprzysz? – powiedział Młody, odetchnął i natychmiast wpakował do ust następny kawał średnio wypieczonego mięsa.

– Dobra, żuj tego zwęglonego trupa, skoro musisz, ale przynajmniej mnie wysłuchaj, worze zbędnego tłuszczu. – Lis nachylił się i wyszeptał kolejne zdanie: – Wczoraj mieliśmy w ręku jednoroźca. Mam na to dowód.

Zapadła denerwująca cisza, przerywana wyłącznie mlaskaniem.

– Ja bym nie nazwał tego, co miałem wczoraj w ręku, jednoroźcem – odpowiedział Piotrek, ledwie przełknął, i natychmiast wgrzył się w kolejny ochłap.

– Młody, nie wkurwiał mnie – ostrzegł go Mundek. Przeżuwający mięso grubas wzruszył ramionami.

– Masz mnie za pojeba? – zapytał Lis, nachylając się jeszcze mocniej.

Minimalny ruch głowy w poziomie można było od biedy uznać za przeczenie.

– Wiesz, że potrafisz czytać w myślach ludzi?

Tym razem bioenergoterapeuta skinął głową.

– A możesz w prostocie umysłu pantofelka-żarłacza założyć, że są ludzie potrafiący robić bardziej skomplikowane sztuczki?

Szeroko otwarte oczy Koniecznego świadczyły o jego zaskoczeniu – bądź o tym, że pospiesznie przełykany kawał steku właśnie przeszedł do kontraktaku.

– Szyli szo? – mówienie z pełnymi ustami nadal niespecjalnie wychodziło Młodemu, chociaż praktyka ponoć czyni mistrza.

– Czyli to, że na przykład wleżą ci do łba i wmówią, że nie istnieli albo, i to jest chyba lepszy przykład, że mięcho, które wcinasz, jest prasowanym kozim gównem w śmietanie.

– Fszestań, nie fiszisz, sze jem... – wybuchnął Piotrek, pryskając śliną na rozmówcę.

– Możesz to sobie wyobrazić? – Mundek podniósł widelec i nadział na niego jedną frytkę. – Mówię ci, frajerze, złapaliśmy jednoroźca, a on zrobił nam, a raczej wam, wodę z mózgu, a potem zwiął.

– Mochę, fefnie, sze mochę... – Młody gwałtownie przełknął kolejny, nie całkiem przeżuty kawałek mięsa – ... ale przecież szukamy gnoja od dawna i chyba coś bym wiedział, gdyby...

– Nie masz ekranu – przerwał mu Lis stukając się widelcem w skroń. – Byle

esper może cię przenicować jak stare gacie.

– Fszenisować? – Bioenergoterapeuta spojrział podejrzliwie na Lisa. – A so fo snaszy?

– Namieszać ci we łbie anal... fabeto.

– Fakt – Młody oblizał wargi i zaczął odkrawać kolejny kawałek steku.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – zirytował się Lis. – Jestem pieprzonym telepatą.

Wszedłem w nią...

– Sadsisz.

– W jej umysł, erotomanie porypany. Wszedłem w jej umysł, tam nad wodą, i...

– Lis przerwał, szukając właściwego określenia na to, co stało się podczas rozmowy z Sabiną. – Pamiętam rzeczy naprawdę straszne.

– Aha... – Grubas lubieżnie patrzył na wielki stek.

– Mógłbyś już skończyć to żarcie! – Lis czuł, że wybuchnie, jeśli zobaczy jeszcze jeden kawał miecha znikający w paszczy rozmówcy.

– Lepiej nawijaj, co widziałeś. – Młody zgarniał chlebem resztki sosu, pucując talerz do czysta.

– Akcję przejścia firestartera... – zaczął Mundek, ale natychmiast urwał. – Jak tyś to zrobił?

– Co? – zdziwił się Młody, ręka z chlebem zamarła mu w połowie drogi do ust.

– Przed momentem miałeś na talerzu co najmniej połowę tej nieszczęsnej krowy.

– Ty gadasz, ja jem, co w tym dziwnego? – Skórka od chleba momentalnie zniknęła w gargantuicznych ustach bioenergoterapeuty.

– Ale nie kilogram w pięć sekund.

– Nie przeginaj, Mulder, znowu miałeś odjazd. Jak tak dalej pójdzie, w ogóle nie da się z tobą gadać. No, opowiadaj, co z tym firestarterem, bo chcę jeszcze deser wziąć. Zaraz zaczyna się „Skaner”, a ja mam niewysłowioną ochotę, żeby go obejrzeć. Oni tak pięknie się biją o nic.

Lis zagryzł nerwowo wargę, zanim odpowiedział.

– Widziałem cholerną akcję, podczas której zginął ty, Lewiński, Golcowie, Jekyll i co najbardziej wkurwiające, ja!

– Zabili cię i uciekłeś, ciekawe... – Młody wybuchnął śmiechem. – Wprawdzie mógłbym iść o zakład, że gdyby George Romero zobaczył twoje zdjęcie, wróciłby do

kręcenia filmów o zombie, nie pamiętam jednak...

– Bo ci ktoś wyczyścił ten pusty łeb, tłusta świnió! – nie wytrzymał Lis. –

Gdybym potrafił przekazywać wizje jak ta dziwka, zobaczyłbyś...

– Gdyby babcia wąsy miała, toby nimi dziadka po nabiale smyrała – odciął się Młody.

– Debil.

– Chcesz mi powiedzieć – Młody uśmiechnął się, ocierając usta serwetką – że wszyscy nagle zapomnieliśmy o jakiejś superlasce i tylko tyją pamiętasz?

– Tak. W sumie to właśnie chciałem ci powiedzieć – powiedział Lis sięgając do torby, którą przyniósł z pomostu. – A jeśli się twoim zdaniem myślę, wytłumacz mi, misiu powłóczył, jak na tej wiosze, w sklepiku twojej wysnionej królowy, pani Zenobii Konopnej, pojawił się wrocławski piast?

Młody obejrzał zaprezentowaną butelkę bez większego zainteresowania.

– To jest według ciebie piast? – zapytał, odwracając ją tak, żeby Lis zobaczył nalepkę.

– Wojak? W dupę jeża... – jęknął Mundek, zagładając do wnętrza torby, z której przed momentem wyciągnął swój koronny dowód.

Wysypał na stół cały stos śmieci wypełniających przepastną teczkę. Za cholere nie mógł sobie przypomnieć, czym są te pomięte papierzyska i badziewne przedmioty, a nade wszystko po co je ze sobą nosi. Młody zasłonił ramieniem talerz z ledwie napoczętym stekiem i spojrzał na Mundka z wyrzutem.

– Idź pomęczyć kogoś innego – poprosił telepatę, pochylając się nad soczystym mięsem. – Ja naprawdę jestem głodny.

* * *

Po długim locie butelka wpadła do wody z cichym chlupnięciem. Krótkie bulgotanie i znów było słycać tylko szum tataraku. Lis zapalił papierosa i nerwowo przygryzając wargę, spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta. Na wyblakłym niebie nie było widać ani jednej chmurki, ale i tarcza słoneczna gdzieś zniknęła. Jak na tę porę letniego dnia było zdecydowanie za ciemno. W taką pogodę świat naprawdę zdawał się tracić kolory. W oddali bura tafla wody płynnie przechodziła w ścianę równie bezbarwnej mgły, która przed paroma dniami pochłonięła drugi brzeg jeziora. Dobrze, że przynajmniej nie było mocnego wiatru...

Ile to już dni?... Szlag, będzie ze dwa tygodnie, a może... A zresztą, kogo to obchodzi. Odkąd Mundek wrócił do rzeczywistości, wciąż nie potrafił poskładać do kupy fragmentów łamigłówki jednorożca. I nadal spędzał niemal cały czas, usiłując odkryć tajemnicę Sabiny. Młody omijał go szerokim łukiem, nawet jadał o innych porach albo w swoim pokoju, byle nie słuchać kolejnych teorii, a te mnożyły się w głowie Lisa niczym przysłowiowi krewni i znajomi Królika. Te wszystkie beczynne dni są tak do siebie podobne, myślał telepata. No i dlaczego cholerny Lewiński nie wraca z akcji? Jeszcze nigdy nie wyjeżdżał na tak długo. Tylko on może potwierdzić moje słowa...

Wyjął z ust papierosa i pociągnął łyk piwa. Cholera, za ciepłe, skrzywił się, odruchowo spoglądając na nalepkę. Czy piwo w tej zaszrannej okolicy zawsze musi być takie ciepłe? Szlag, nie ma do kogo ust otworzyć. Gdyby nie chłopcy z wartowni, robiący obchody ośrodka, mógłbym zapomnieć, jak wyglądają ludzie... Tylko jak do nich zagadać, sami służbiści, trzymają się z daleka, znikają, gdy tylko chcesz do nich podejść, no i zamknęli na głucho wejście do wartowni.

Mundek pociągnął mały łyżeczek zimnego piwa. Kropelki roszące szkło przyjemnie chłodziły dłoń. Zaciągnął się papierosem i spojrzał raz jeszcze w stronę jeziora. O, kolejny służbista wyruszył na obchód, pomyślał na widok maszerującej leniwie postaci w mundurze. Żołnierz szedł niespiesznie po tafli jeziora, kierując się w stronę przystani. Kolejny łyk piwa spłynął do gardła Lisa i natychmiast je opuścił. Telepata zakrztusił się ożywczo zimną, musującą cieczą, gdy dotarło do niego, co widzi.

Człowiek nie może chodzić po wodzie! Znaczący... był jeden taki, ale od co najmniej dwóch tysięcy lat nie widziano go w okolicy.

– Ej, ty! – ryknął Lis, omal nie wypalając sobie oka i nie wybijając uzębienia, gdy przyłożył dłoń do ust.

W połowie wypalony papieros i niemal pełna butelka piwa poleciały na deski moło. Wartownik słysząc wołanie obrócił głowę w stronę Mundka, ale się nie zatrzymał. Szedł nadal, swobodnym acz odmierzoną krokiem, a przy każdym zetknięciu jego buta z wodą powstawały niewielkie fale.

– Kurwa mać, to się nie dzieje naprawdę... – Zdezorientowany Lis nie wiedział, co robić. Czy biec do Młodego, zanim żołnierz dotrze do brzegu, czy na przystań, by tam osobiście dopaść Jezusika z ABW. Z każdą chwilą panikował coraz bardziej. – Coś ty zrobiła z moim umysłem, dziuro jedna? – wyszeptał, dokonując wreszcie

wyboru. – Kiedyś cię za to zabiję! Będę darł pasy z jedwabistego dupska, cycki naciągnę jak gumkę i na supeł na plecach zawiążę, oczy przez nos wydłubię łyżeczką do herbaty...

* * *

Młody mieszkał na drugim piętrze, okna jego nory wychodziły na jezioro.

Oby tylko był w swoim pokoju, myślał Mundek wpadając na schody. Wyciągał nogi, biorąc po dwa wysokie, granitowe stopnie na raz, dopóki się nie zadyszał. Czując ogień w płucach zmniejszył tempo, lecz to wcale nie wydłużyło oddechu godnego starego palacza. Musiał zatrzymać się przed kolejnym półpięciem. Pieprzone schody, pomyślał, trzeba było wziąć windę, no ale kto jeździ windą na drugie piętro? Schylony w pół, ociekając potem, dyszał niczym zgoniony zwierz, wsłuchując się w pulsującą w skroniach krew i szamotaninę serca, wałącego jak oszalałe.

– Jeszcze mi tylko zawału brakuje – wysapał, opierając się ramieniem o balustradę.

Spojrzał w górę. Puste, białe ściany, zielona lamperia, kolejne stopnie i półpiętro tuż przed nim. Zaraz... Szybki rzut oka za plecy uświadomił mu, że stoi na siódmym, może ósmym stopniu pierwszego ciągu schodów.

– Jeżu malusieńki, co się ze mną dzieje... – jęknął.

Serce nadal mu biło w piersi jak szalone, pot rosił czoło strumieniami, a w płucach czuł tylko żar. Po ośmiu parszywych schodkach? Trzeba stanowczo rzucić palenie, uznał. Później ruszył ostrożnie i tym razem dotarł do drzwi oznaczonych krzywo odmalowaną dwójką bez dodatkowych atrakcji.

* * *

Nie zawracał sobie głowy pukaniem, potraktowane kopniakiem drzwi odbiły się od ściany i nieomal rozkważyły mu nos. Otworzył je raz jeszcze, już spokojniej. W pokoju było ciemno jak w krypcie, a mimo to Młody nie pofatygował się, żeby włączyć światło. Blask jarzeniówki, padający z korytarza, oświetlał przez chwilę część biurka, na którym stał talerz z nie napoczętym kotлетem schabowym i prawdziwym Everestem puree. Mundek nie zważając na protesty, wyrwał sztucę z rąk modlącego się do posiłku bioenergoterapeuty i pociągnął go za kołnierz w kierunku okna.

– Chodź, książę ciemności i ciemniaków. Chodź, popatrz, teraz mam dowód, że mi nie odpieprzyło! – wykrzyczał prosto w twarz Piotrka i rozsunał ciężkie zasłony.

Wcale nie zrobiło się jaśniej. Na dworze najwyraźniej panowała noc. Albo niebo było bardzo zachmurzone. A może szyby zbyt brudne. W każdym razie dało się jedynie dostrzec rozmyte zarysy kilku gałęzi i widmowy pień drzewa rosnącego najbliżej budynku.

– Cholera by cię... – zasapany Mundek puścił Młodego i ciężko opadł na łóżko.
– To jakaś paranoja. Co się ze mną dzieje?

Drzwi wejściowe zamknęły się z lekkim trzaskiem zaskakującego zamka. W pokoju na powrót zapanowały egipskie ciemności. I wszechobecna cisza.

Absolutna czerń i kompletna cisza. Tylko jeszcze pełzającego chłodu brakowało...

– Słyszysz mnie, Mulder? – nagle do ucha telepaty dotarł cichy szept.

– Pewnie, że słyszę... – Lis odpowiedział automatycznie, ale sam zdziwił się brzmieniem swojego głosu. To było raczej warknięcie niż poprawnie wymówione słowa, charkot zakończony spazmatycznym atakiem kaszlu. Ktoś położył mu dłoń na ustach, jakby go uciszał. Mdły zapach piżma podrażnił nos, na ustach wyczuł słony smak potu. Chciał zerwać się z łóżka, ale z przestachem zauważył, że zupełnie nie czuje nóg, ręce też zawiodły. Wydawało mu się, że leży na czymś, co było chyba kupą skłębionych i na dodatek cuchnących szmat. W tej ciemnicy nie sposób było rozpoznać niczego.

– Dzięki Bogu... – Ten sam głos, nie całkiem nieznany, choć trudny do identyfikacji, zabrzmiał teraz z drugiej strony. – Już się bałem, że cię stracę.

Mundek raz jeszcze zebrał siły, by wstać, i tym razem wyraźnie poczuł, że ktoś go podtrzymuje. Zdołał usiąść.

– Kim jesteś? Dlaczego tu jest tak... – rzucił pytanie w ciemność, słowa przeszły mu przez gardło już bardziej gładko. Nie rozkasłał się, ale złowrogie drapanie w krtani zmusiło go do urwania w pół kwestii.

– Spokojnie. – Telepata znów poczuł czyjąś rękę na ramieniu. – To tylko ja.

Lis nadal nie rozpoznawał tego głosu, aczkolwiek wiedział, że już go kiedyś słyszał.

– Czytaj we mnie... – odpowiedział szept znad ucha.

No tak, z tego wszystkiego Mundek zupełnie zapomniał o swoim darze, przekleństwie, jakkolwiek to zwać. Po co komu własne oczy, skoro może widzieć

cudzymi. Spróbował sięgnąć do umysłu człowieka, który przebywał z nim w pomieszczeniu. Bał się, gdy do niego wnikał, ale dopiero wizja, którą odebrał, wprawiła go w prawdziwe przerażenie.

* * *

– Trzy dni... – Mundek pokręcił z niedowierzaniem głową. – Wydawało mi się, że upłynęły całe tygodnie.

– Tam, gdzie byłeś, zapewne nie istnieje pojęcie czasu – odparł filozoficznie Młody. – Szczerze mówiąc, wolałbym nigdy się nie dowiedzieć, jak tam jest naprawdę.

Do dupy, po prostu do dupy, pomyślał Mundek, ale tutaj wcale nie jest lepiej.

– To prawda, tutaj wcale nie jest lepiej – odpowiedział machinalnie bioenergoterapeuta.

Lisa zatkaną.

– Słyszałeś, co pomyślałem? – zapytał po dłuższej chwili.

– Słyszałem – odparł Młody. – Prawdę mówiąc, ostatnio słyszę twoje myśli aż za często.

– Jak? Nie możesz mnie odbierać. Przecież... nie byłeś telepatą.

– Nie byłem i nie jestem. – Piotr roześmiał się gdzieś w ciemności. – Możesz być tego pewien, dziadzia. Za to ty zostałeś upgrade'owany do fazy Nexus.

– Up... co? – zdziwił się Mundek.

– Nieważne, Mulderku, i tak nie skumasz. Powiedzmy inaczej. Level ci się podniósł, jak w grze. Masz więcej HP, więcej manny i punktów mocy. Zresztą ja chyba również się na coś podobnego załapałem, tyle że w swojej branży...

– O czym ty mówisz?

– Zyskałeś, chłopie, parę nowych zdolności. Musisz tylko nad nimi zapanować, bo czasem nadajesz jak Radio Maryja, nieprzerwanie i na wszystkich częstotliwościach.

– Niesamowite...

– Niebezpieczne – przerwał mu bezceremonialnie Młody. – Nie możemy opuścić tego miejsca, dopóki nie nauczysz się trzymać swoich myśli na wodzy. Wyobraź sobie, że wracamy do miasta, między ludzi, a ty nadajesz w tramwaju bezpośrednią transmisję z miejsca zbrodni albo wspominasz miłe ostatnią noc z dziewczynką, chłopaczkiem czy co tam lubisz...

– A czy tutaj nie... – zaniepokoił się Lis.

– Tutaj nic nam nie grozi – wtrącił Młody, po raz drugi nie dając Mundkowi skończyć zdania. – Na szczęście nie masz tak mocnego nadajnika, jak Rydzyk. Albo te mury dobrze ekranują. W każdym razie tam – zapewne słowom towarzyszył jakiś gest wskazujący kierunek, ale tego w ciemności nie było widać – da się wytrzymać. I szczęście od Boga, mogłem się chociaż na chwilę zdrzemnąć między seansami uzdrawiania. – Szlag...

Lis musiał przyznać rację Piotrkowi, czytanie myśli innych ludzi to nie przyjemnego, zwłaszcza jeśli nie umiesz powstrzymać albo przynajmniej filtrować natłoku napływających bodźców. Wiedział o tym aż za dobrze. Lata praktyki. Stracone lata... Ciekawe, czyjego blokada zadziała w drugą stronę? Zobaczmy, trzeba tylko odrobinę skupienia...

Bioenergoterapeuta westchnął głęboko gdzieś w ciemności. Niestety nie odezwał się ani słowem, dlatego Lis nie był pewien, czy to efekt uwolnienia od obecności cudzych myśli w głowie czy zwykły objaw przygnębienia.

Pocieszało go jedno: wyrwał się z koszmaru. Przeżył. A wszystko dzięki Młodemu. Kilka sekund bytności w umyśle Piotrka uświadomiło telepacie, jak wiele się zmieniło od czasu, gdy kule przeszły jego ciało. Chłopak zdawał już sobie sprawę z przemiany, jaką przeszedł, ale wciąż nie wiedział, że była ona ostatecznym i niepodważalnym rozwiązaniem tajemnicy, którą od tylu lat starał się zgłębić Lewiński. Tutaj i teraz odkryte zostało brakujące ogniwo łączące normalnych ludzi i esperów. Tutaj i teraz Lis poznał mechanizm pozwalający na wyzwolenie w człowieku naprawdę potężnej, wręcz boskiej mocy.

Jak zwykle było to tak proste, że aż genialne. Nagle wszystko stało się jasne. Wystarczy postawić potencjalnego espera na granicy życia i śmierci, a prysną wszelkie bariery hamujące jego moce. To właśnie musiało się dzieć z ofiarami pirokinezy. Moment nieuwagi, drzemka, zbyt sugestywna wizja, wyimaginowane zagrożenie. Zwykły człowiek budzi się z krzykiem, ale ten, kto potrafi wzniecić siłą umysłu ogień, choć jeszcze tego nie wie...

Kluczem do boskości jest strach, nie ten zwykły, towarzyszący nam codziennie, ale zwierzęce, atawistyczne wręcz przerażenie, które ogarnia człowieka tuż przed śmiercią. Przerażenie nakazujące skoczyć w najgłębszą przepaść, jeśli istnieje choć milionowa część procenta szansy na ocalenie. Oto chwila, kiedy ujawniają się wszystkie, dotąd ukryte zdolności paranormalne. Oto droga do niesamowitej potęgi.

Dla tych, którzy ją posiadają... i przeżyją moment próby.

Lis zrozumiał tę prawdę kilka sekund po tym, jak wchłonął – tak, dosłownie wchłonął – niesamowitą ilość informacji z umysłu kolegi. Nie czytał jego bieżących myśli, jak kiedyś, ale sięgnął tam, gdzie do tej pory nie miał wstępu. Do najdalszych zakamarków pamięci, do zapomnianych obrazów krążących pomiędzy neuronami w najgłębszych peryferiach świadomości. Znalazł także wiadomości, których mózg bioenergoterapeuty jeszcze nie zdążył – bądź nie był w stanie – skojarzyć... Mundek nie tracił czasu na skupianie się na pojedynczych strumieniach, chłonał wszystko niemalże hurtowo, jakby zgrywał informacje na twardej dysku przez najszybsze łącze świata. I co najciekawsze, nie musiał niczego przyswajać. Ta wiedza po prostu pojawiała się w jego głowie, jakby była tam od zarania. Także ta jej część, której telepata nawet nie chciał znać...

Upajające wrażenie bardzo szybko minęło, kilkanaście sekund później Mundek padając na łóżko, poczuł, że świat wiruje mu przed oczami, zupełnie jak po ostrej popijawie. Nawet przez zamknięte powieki czuł, iż wpada w niekończący się wir szalejącego błędniaka. Zrobiło mu się niedobrze, z trudem zwalczył odruch wymiotny. Zaciśnął zęby i nerwowo przetykał ślinę, aby choć odrobinę zmniejszyć gorycz w gardle. Dopiero po dłuższej chwili był w stanie powrócić do analizy sytuacji.

Sabina spieprzyła robotę. Była pewna, że gasnący umysł bioenergoterapeuty świadczy o jego rychłej śmierci. Może nawet zarejestrowała jego desperackie próby ocalenia siebie, ale zlekceważyła je, źle interpretując słabnące sygnały. To, że zamiast wpakować im po kulce, zostawiła konających i odjechała, nie czekając na fizyczne potwierdzenie śmierci, było jej najpoważniejszym błędem. Czysto ludzkim odruchem – zgoda, ale jednak tragiczną dla niej w skutkach pomyłką. Zanim zdołała dotrzeć do najbliższej szosy, na łące opodal płonącego wraku wydarzył się bowiem cud.

Młody, pomimo ciężkich ran, wcale nie umierał. Słabnąca aktywność mózgu nie oznaczała, że jego umysł pogrąży się w niebycie. Proces ten zwiastował coś wręcz przeciwnego. Śmiertelne zagrożenie, w którego obliczu stanął organizm bioenergoterapeuty, wyzwoliło jego moc. Tę prawdziwą, skrywaną dotychczas przed nim samym. Z poczwarki zamienił się w dorosłego... No nie, telepata uśmiechnął się pod nosem, to byłaby gruba przesada; kogo jak kogo, ale opasłego Koniecznego z pewnością nie można było nazwać motylem.

Lis odszukał moment przemiany w głębi podświadomości Piotrka, wielokrotnie go analizując, nieomal uczestniczył w nim fizycznie. Kiedy chłopak zdał sobie sprawę,

że nadchodzi koniec, poczuł to samo co Mundeck. Lęk, zwierzęcy strach, którego nie da się z niczym porównać. Zamiast poddać się losowi, zapragnął z nim walczyć. Przeżyć za wszelką cenę. I właśnie wtedy to nastąpiło. Jakby nagle pękła tama, przez którą do tej pory leniwie sączyła się zdolność uzdrawiania. Moc, której nie można było porównać z boską, lecz na pewno po stokroć potężniejsza od tej, jaką chłopak dysponował przed wypadkiem, wypełniła jego ciało. Wystarczyło zaledwie kilka chwil, aby zasklepiły się wszystkie rany i zregenerowały uszkodzone tkanki. Gdyby ktoś ujrział ten proces na własne oczy, choćby nawet był ateistą, uwierzyłby, iż jest świadkiem cudu, takiego samego, jaki stał u zarania niemal wszystkich kultów.

Przemiana miała jednak swoją cenę, niezmiernie wysoką cenę. Proces samouzdrawiania wyczerpał siły uzdrowiciela, zarówno mentalne, jak i fizyczne, niemal do kresu możliwości. Ale to wcale nie był koniec, zaledwie preludium prawdziwego dramatu. Obok, na oczach Piotrka, konał partner z zespołu. Bioenergoterapeuta był świadom, że próba ocalenia Lisa może zakończyć się śmiercią ich obu. Musiał wybierać pomiędzy odpoczynkiem i regeneracją własnych sił a ryzykiem związanym z ich dalszą utratą podczas uzdrawiania telepaty. Musiał wybierać – i wybrał. Po pierwszym seansie z trudem zaciągnął rannego do domu, który niedawno był ich celem, i w pozbawionej okien piwnicy przez następną dobę nieustannie walczył o jego życie.

To był najbardziej wyczerpujący dzień w życiu Młodego. Gdyby nie skrajne wyczerpanie, zapewne postawiłby Lisa na nogi w godzinę, może nawet szybciej. Jednakże doprowadzenie własnego ciała do porządku kosztowało go tyle energii, że jechał już wyłącznie na rezerwie. Musiał zatem umiejętnie rozłożyć resztki sił. Często odpoczywał, gromadził odrobinę energii i przekazywał ją konającemu koledze, nie pozostawiając sobie praktycznie nic. To był prawdziwy wyścig ze śmiercią. I – zda się – czyste marnotrawstwo uzdrowicielskiej energii, jako że czas potrzebny na jej uzupełnienie prowadził do kolejnego załamania funkcji życiowych Lisa, w wyniku czego wracali do punktu wyjścia. Lecz nie to stanowiło największy problem dla Młodego. Najbardziej wyczerpywało go nasłuchiwanie każdego dźwięku, najlżejszego nawet szmeru. Paniczny strach przed utratą zdobytego w takich okolicznościach daru rozpraszał go do tego stopnia, że z trudem koncentrował się na procesie leczenia, po wielokroć marnotrawiąc cenną energię.

Wiedział, że Rosjanie w każdej chwili mogą wrócić na miejsce kaźni. Choćby tylko po to, żeby zatrzeć ślady. Każdy wywiad tak działa. Nawet ABW miała swoich

czyścicieli – kilkakrotnie musieli „sprzątać” po mniej udanych akcjach zespołu Lewińskiego. Gdyby ktokolwiek się pojawił w tej enklawie, cały trud Młodego poszedłby na marne. Nie zdołałby ocalić na wpół martwego kolegi i sam także musiałby zginąć.

Najwyraźniej jednak Ruscy z nieznanых przyczyn nie zamierzali sprzątać po sobie...

Pierwszy poważny kryzys przyszedł w nocy, gdy skrajnie wyczerpany bioenergoterapeuta zapadł w nerwowy sen. To chyba właśnie wtedy pozostawiony bez opieki Mundek poczuł skradającą się Śmierć. Tak przynajmniej uważał teraz, nie mając możliwości skorelowania obu wydarzeń w czasie. W każdym razie późną nocą, przed upływem dwudziestej godziny reanimacji, nastąpił przełom. Ciało leżące na rękach śpiącego Piotrka drgnęło konwulsyjnie, raz, drugi, potem zwiotczało. We wciąż zamroczonym snem umyśle Młodego nagle, bez jednego ostrzeżenia wybuchła kakofonia dźwięków, pojawił się także rój chaotycznych obrazów, jakby ktoś wewnątrz jego głowy włączył na cały regulator sto telewizorów. Towarzyszył temu wszystkiemu nieopisany wręcz ból, który natychmiast odebrał mu przytomność.

Właśnie wtedy tamy powstrzymujące dar Lisa ustąpiły pod naporem zimnych paluchów kostuchy. Niekontrolowane uderzenie uwolnionego strumienia podświadomości telepaty mogło spowodować, w nieprzygotowanym do jego odbioru umyśle, nieodwracalne straty. Najłagodniejszym z wyroków w takim przypadku jest szaleństwo, śmierć może być tylko wybawieniem. Jednakże skrajnie wyczerpany Piotrek nie walczył, zgaś od razu i to uratowało ich obu.

Organizm pozbawionego przytomności uzdrowiciela regenerował się znacznie szybciej, może za sprawą tego, że wyczerpujący strach zniknął razem ze świadomością. Kiedy Młody przebudził się, na powrót zdjęty lękiem o własne bezpieczeństwo oraz wyrzucając sobie, że ta odrobina snu była wyrokiem śmierci dla Lisa, miał już w sobie wystarczająco wiele energii, by ustabilizować stan telepaty. I zdążył, dosłownie w ostatniej chwili. Aura umierającego z początku była niemal niewyczuwalna, ale już kwadrans później Młody poczuł pod palcami znajome mrowienie i wiedział, że wygrał tę walkę. A w każdym razie jej pierwszą, ale jakże ważną rundę.

Mundek powrócił z dalekiej podróży, nie wiedząc, że to dopiero początek prawdziwej drogi przez mękę, podczas której – pogrążony w śpiączce – będzie powoli odzyskiwał siły i zdrowie. Kolejne dwa dni i dwie noce Młody spędził marząc jedynie o

czymś do zjedzenia i o przebudzeniu Lisa. Nauczył się też do pewnego stopnia neutralizować kolejne uderzenia wrzącego wciąż umysłu telepaty. Przekaz, na całe szczęście, nie był już tak intensywny jak za pierwszym razem. Za to trwał o wiele dłużej, z czasem stając się nieprzerwaną transmisją świadomości. Przyspieszała ona chwilami tak, że niczego nie dało się zrozumieć. W innych momentach wszystko zdawało się uspokajać, zwalniać niemal do bezruchu, dając Piotrowi nieliczne momenty wytchnienia.

Młody starał się regenerować siły, kiedy tylko było to możliwe, poza tym z wolna uczył się, jak je wykrzesać z zapasów zgromadzonych we własnym ciele. Zrozumiał, że musi wyciszać zmysły, aby zintensyfikować regenerację, i odkrył, jak to robić. W normalnych warunkach postawienie na nogi telepaty byłoby czystą formalnością, lecz wygłodniały, przerażony, wciąż wyczerpany uzdrowiciel nie był niczego pewien i wolał nie ryzykować. Zwłaszcza że Lis, na którego ciele nie było już żadnych widocznych obrażeń, pomimo czystej, zdrowej aury wciąż nie wychodził ze śpiączki. Tkwił w pułapce swojego umysłu, w wewnętrznym świecie, do którego Młody miał wyłącznie fragmentaryczny dostęp, gdy bieg myśli telepaty zwalniał do znośnego tempa. W jednym z takich momentów wreszcie udało się bioenergoterapeucie nawiązać z nim kontakt. Bolesne marzenie o schabowym i górze puree było ostatnią myślą uzdrowiciela przed przebudzeniem Mundka.

Telepata także zapamiętał tę wizję.

Młody w niczym nie przypominał już zwalistego, otłuszczonego chłopaka, który od pewnego pechowego bohatera serialu „Lost” różnił się tylko fryzurą. Lis nie wiedział, ile bioenergoterapeuta stracił na wadze przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny, ale sądząc po tym, jak luźne zrobiło się jego ubranie, było tego sporo. Naprawdę sporo.

Dość rozpamiętywania, pomyślał Lis, czas zająć się przyszłością.

Młody milczał.

– Słyszałeś, co pomyślałem? – zapytał na głos telepata.

– Nie – odparł po chwili chłopak. – A powinienem? Odpowiedział mu suchy śmiech Lisa zakończony atakiem kaszlu. Cóż, nawet bogowie mają swoje ograniczenia.

* * *

– Zwolnij trochę – poprosił Młody.

Zatrzymał się i oparł dłonią o wilgotny pień sosny. Dyszał ciężko, pochylony, jakby właśnie ukończył morderczy bieg, choć tak naprawdę przeszli dopiero dwieście, może trzysta metrów.

Lis nalegał, by opuścili piwnicę wieczorem, tuż po zachodzie słońca. Nie chciał narażać oczu, przywykłych przez te kilka dni do mroku, ale głównym powodem jego decyzji była chęć uniknięcia zbyt wielu ciekawskich spojrzeń. Noc zacierała ślady, ciemność skrywała szczegóły. Przy odrobinie szczęścia mieli spore szanse na wydostanie się z pułapki bez napotkania żywej duszy. Z tego co zapamiętał, do szosy mieli nie więcej niż półtora kilometra, najwyżej dwa. Jadąc tutaj, nie zwracał uwagi na takie szczegóły, ale po chwili koncentracji i zaledwie kilku nieudanych próbach dotarł do odpowiedniego fragmentu własnej pamięci i odtworzył go jak stare nagranie.

Znów był w samochodzie i choć ze swojego miejsca nie widział zegarów na desce rozdzielczej, potrafił ocenić długość trasy po czasie jazdy, który oszacował na cztery minuty z kawałkiem. Na leśnym trakcie służbowe ML-e nie rozwijały większej prędkości niż trzydzieści, czterdzieści kilometrów na godzinę. Terenowe maszyny z napędem na cztery koła mogły wprawdzie pędzić przez las znacznie szybciej, ale na pewno nie w czasie akcji. Musieli zachować pełną ostrożność, działać skrycie, by nie spłoszyć celu – Lewiński osobiście dopilnował, żeby wykonano jego polecenia. Zatem dwa kilometry wydawały się Lisowi najpewniejszym wynikiem. Jeśli nawet pomylił się w obliczeniach, spacer nie powinien być o wiele dłuższy.

Mundek stanął obok dyszącego Młodego i sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy. Zapalił jednego, zużywając chyba pół pudełka zawilgoconych zapalek, i wreszcie zaciągnął się łapczywie. Kiedy dym po dłuższej chwili opuścił jego płuca, spojrzał badawczo na bioenergoterapeutę. W ciemności piwnicy nie było tego dokładnie widać, ale tutaj, na otwartej przestrzeni, w jasną księżycową noc mógł wreszcie ocenić, że chłopak stracił w ciągu trzech dni najmniej pięćdziesiąt kilogramów wagi, jeśli nie więcej. Wyglądał teraz jak Flip przebrany w garnitur Flapa. Wręcz ślapstickowo. Spodnie trzymały się na nim tylko dlatego, że wcześniej nosił szelki. Lisowi wystarczyło jednak rzucić okiem na wymęczoną twarz Piotra, a ochota na śmiech zaraz go odeszła.

Splunął pod nogi, dym papierosowy po tak długiej przerwie spowodował u niego prawdziwy ślinotok.

– Zdejmij marynarkę – powiedział.

Młody podniósł głowę.

– Po co? – odpowiedział cedząc słowa pomiędzy kolejnymi płytkimi oddechami. – Tylko zmarznę i...

– Zamienimy się – przerwał mu Lis po kolejnym sztachnięciu. – Dam ci moją. W tym stroju za bardzo zwracasz na siebie uwagę. A musimy złapać okazję.

Bioenergoterapeuta parsknął, chciał się pewnie roześmiać, ale niespecjalnie mu to wyszło.

– Doprawdy? Z gustownymi dziurami po kulach i skorupą skrzepniętej krwi na kłacie będę... – mówił powoli, lecz zbyt długie zdanie i tak zakończyło się atakiem kaszlu.

– Chciałem tylko pomóc – mruknął telepata.

– Wiem – powiedział cicho Młody, prostując się z trudem. Oddech wciąż miał szybki. Zbyt szybki i za płytki. – Dzięki. Odpocznę jeszcze chwilę i możemy iść dalej.

– A nie mógłbyś... – Lis szukał przez moment odpowiedniego sformułowania – sam siebie, no wiesz, podrasować?

– Mogę, dziadzia... Pewnie, że mogę, ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić.

– Cokolwiek powiesz. – Mundeck spojrzał na niego z zainteresowaniem, ale w tej właśnie chwili księżyc zniknął za chmurami i zrobiło się znacznie ciemniej.

– Rozpal ognisko, obetnij sobie nogę i upiecz ją na rożnie, ale wiesz, tak porządnie, jak lubię... – I znów zbyt długa przemowa zakończyła się spazmatycznym atakiem kaszlu, który aż przygiął Młodego do ziemi.

– Nie ma sprawy, a od firmy dodam ci jeszcze wątróbkę z rusztu, znakomicie skruszała w alkoholu, mój ty Hannibalu – odparł zirytowany Lis.

– Wiesz, jak mnie zadowolić, Mulderku. – Chłopak otarł usta ze śliny, potem usiadł ciężko pod drzewem, nie bacząc na mokrą trawę.

– Chcę ci pomóc – zachnął się Mundeck – a ty jaja sobie ze mnie robisz.

– Nie, dziadzia, ja nie żartuję. Wyczerpałem całą energię, jaką miałem. Jestem pusty jak przestrzeń pomiędzy uszami blondynki. Jeśli nie dostanę zaraz czegoś do zjedzenia, to się normalnie przekreślę. Dopóki siedziałem bez ruchu, jakoś wytrzymałem, ale teraz, sam widzisz, każdy wysiłek... Chcesz wiedzieć, jak mnie ssie w żołądku?

Lis splunął raz jeszcze, słuchając kolejnych zdań wypowiedzianych przez uzdrowiciela pomiędzy głębokimi oddechami i kaszlnięciami. Niewiele mógł poradzić. Zbieranie po nocy jagód czy grzybów nie wchodziło w grę, a zwierząt w pobliskim

lesie raczej nie było. Chyba że bracia mniejsi faktycznie nie posiadali umysłów na tyle rozwiniętych, by je mógł namierzyć, albo byli odporni na wpływ telepatii. Tak czy inaczej, żadnego zwierzaka nie rejestrował, a do własnych nóg był zbyt przywiązany, żeby poważnie rozważyć propozycję Młodego.

– No to mamy problem. – Mundek rzucił okiem na wyboistą drogę przed nimi, potem spojrzął w tył, na wypalony wrak samochodu i ciemną bryłę opuszczonego domu, ledwie odcinającą się od czerni nocnego nieba. Nagle powiedział: – Zaczekaj tutaj. Odpoczywaj i nigdzie się nie ruszaj. Zaraz wrócę.

Przez sekundę zastanawiał się, czy rzucić papierosa, ale przeważył instynkt palacza. Ukrył żarzącego się pall maila w przymkniętej dłoni i ruszył biegiem w kierunku zabudowań. Dopadł do furtki, przez którą wyszli kilkanaście minut temu, ale nie wszedł do budynku, tylko wzdłuż jego ściany przedostał się na drugą stronę posesji. Jeśli wylądowali na pieprzonej wiosze, to w przyzagrodowym ogródku powinien coś znaleźć. Choćby kilka zdziczałych samosiejek. Młody wyjątkowo nie powinien narzekać na mało wyszukany smak potraw.

– Wyłaż, stary draniu – mruknął Lis zadzierając głowę.

W świetle księżyca miałyby większe szanse. Niestety gęsta zasłona chmur nie tylko zwiastowała ciemności, ale zapowiadała nadchodzącą burzę. Niebawem grube, tłuste krople zaczęły spadać z nieba, najpierw niemrawo i z rzadka, niemniej cichy syk, z jakim pierwsza z nich zgasła żar papierosa, którym właśnie się zaciągał, wkurzył Mundka do reszty. Jak pech, to pech. Wypluł zmoczony niedopałek i ruszył przez poletko ograniczone płotem, ostrożnie przeczesując rękami zarośla.

Po pięciu minutach zyskał pewność, że swoją teorię o samosiejkach może o kant dupy potłuc. Albo tubylcy nie mieli czasu na takie pierdoły, jak uprawianie jarzyn na swoje potrzeby, albo warzywa nie potrafiły przeżyć kilku sezonów bez ręki gospodarza. Za to pokrzywy i inne kolczaste cholerstwa uznały to miejsce za prawdziwy raj. Mundek zatrzymał się przy ogrodzeniu, żeby pomyśleć. Bieganie po całej okolicy niewiele da, jeśli się nie wie, czego i gdzie szukać. A Lis nie miał najmniejszego pojęcia, co jadalnego mogłoby się znaleźć na tym odludziu.

Nagle poczuł znajomy chłód na plecach. Silniejszy powiew wiatru rozkołysał szczyty drzew i łąny wysokiej trawy... Trawy? Mundek rzucił okiem na drugą stronę ogrodzenia, ten szelest był dziwny, zbyt suchy... Wyteżył wzrok, potem przebiegł parę kroków do miejsca, w którym wysokie łądygi nieomal dotykały siatki.

Pokonał przeszkodę kilkoma ruchami, jak niegdyś w młodości przerzucając

nogi nad górną krawędzią płotu, i wylądował w samym środku łąki dzikiego zboża. Kłosa były duże, ciężkie, napęczniałe, a łodygi suche. Złamał jedną i rozkruszył ziarniak w dłoniach, nie zważając na coraz gęstszy deszcz. Dmuchał raz i drugi, roztarł dokładniej resztki, po czym wsypał kanciaste ziarenka do ust. Były twarde i mało smaczne, ale z pewnością wystarczająco dojrzałe. Może szanujący się rolnik nie rozpocząłby jeszcze żniw na tym polu, ale Lis był z miasta, czego chwilowo nie było po nim widać, słysząc ani czuć.

Rwał garściami same kłosa, upychał je po kieszeniach, a te, które miały dłuższe łodygi, układał na ziemi, tworząc z nich spory snopek. Kwadrans później, z wielkim naręczem zerwanego zboża, popędził prosto na ścianę lasu, nie zważając na strugi letniego ciepłego deszczu.

* * *

Przysiedli na sporym pniaku, tuż obok traktu, i kruszyli kolejne kłosa. Mundeck robił to spokojnie, potrafił kontrolować głód siłą woli, ale Młody nie miał żadnych hamulców. Pochłaniał ziarenka zachłannie, plując i parszając, gdy łupinki z każdej garści znikającej pomiędzy spierzchniętymi wargami drażniły wyschnięte gardło. Ale w końcu nawet on miał już dość. Zaskakująco szybko, zważywszy na dokonania, którymi epatował wszystkich na stołowie w ośrodku.

Zanim skończyli jeść, deszcz przestał padać. Zza chmur wyrżał księżyc, ale wcale nie zrobiło się wiele jaśniej. Mundeck zajrzał do niemiłosiernie zmiętej paczki papierosów. Nie pomogło grzebanie palcem. Tego wieczoru nie będzie już dymka.

– Pojadłeś? – zapytał cmokającego uzdrowiciela.

– Tak jakby. – Młody poklepał się po brzuchu. – Zapal sobie, telepku, i daj mi kwadransik na reinkarnację.

Paczka po pall mailach poszybowała długim łobem w krzaki.

– Tyle w temacie palenia – powiedział Mundeck, sięgając po kolejny kłos.

– Sorry, dziadzia, oddałbym ci swoje fajki, ale wiesz, że nie palę.

– Nic nie szkodzi – odparł Lis wstając. – Palenie to najmniejszy z naszych problemów.

– Fakt – przytaknął Młody. – Musimy jak najszybciej dostać się do ośrodka, a w takich ciuchach...

– Jeśli ośrodek jeszcze istnieje... – wtrącił Mundeck.

– Wypluj te słowa – oburzył się uzdrowiciel. – Naprawdę uważasz, że ta zdzira mogła namieszać i na Mazurach?

– Ja bym namieszał – odparł telepata zimno. – Skoro Ruscy chcieli zlikwidować nasz projekt, powinni dostać się do ośrodka, przejąć wyniki badań, a dopiero na odchodnym rozpieprzyć wszystko w drobny mak. Pomyśl, Sabina była z nami w ośrodku, Lewiński traktował ją jak członka ekipy, z pewnością zdążył już wyrobić jej stałą przepustkę. Zabrała nasz wóz służbowy. Aby przedostać się na teren ośrodka, musiała jedynie wymyślić sensowny kit dla strażników. Jak ją znam, poradziła sobie z tym bez najmniejszego problemu. Chłopaków z abwery nie ekranowano, żeby sprawa się nie wydała. Tym sposobem nasi przyjaciele Moskale mają kilka spokojnych dni na wyciągnięcie z doktora Karewicza wszystkiego o programie ekranowania.

– Tak... – Młody wsadził do ust słomkę i żuł ją przez chwilę, wpatrując się w ścianę drzew. – Zatem Mazury odpadają.

– Odpadają – zgodził się Lis.

Zapadła cisza, którą przerwał daleki odgłos gromu.

– W takim razie co robimy? – zapytał uzdrowiciel, wrywając się z odrętwienia.

– Nie wiem, muszę się zastanowić. W tych strojach nie możemy pokazać się wśród ludzi bez wzbudzania podejrzeń. Zespół nie istnieje, ośrodek najprawdopodobniej przejęli Rosjanie, a Lewiński aktualnie bawi w zaświatach. Nie mamy kasy, dokumentów, nawet zapasowych gaci... – Telepata pokręcił głową. – Jedyne, co możemy zrobić w tej sytuacji, to uderzyć prosto do Komitetu. Tak... – przerwał zaskoczony tą myślą. – W zamian za ostrzeżenie przed esperami z FSB dostaniemy pełną ochronę. Jeśli dobrze to rozegramy, centrala pozwoli nam przejąć i odbudować projekt Lewińskiego. To może się udać, ale póki co zero używania mocy. Musimy za wszelką cenę uniknąć namierzenia. Założę się, że Ruscy nie olali sprawy. Może i nie mieli czasu na osobistą interwencję, ale z pewnością monitorują wiadomości z tej okolicy. Najmniejsza wzmianka o takich cudakach jak my, a znów będziemy ich mieli na karku.

– Komitet... – prychnął Młody. – Nie żartuj. Gdzie go szukać? Dla mnie jest równie mityczny, jak Shangri-la.

– Spokojnie. – Lis machnął lekceważąco ręką. – Wiem, kto należy do tego szacownego grona.

– Sadsisz. – Uzdrowiciel spojrzął na Mundka z niedowierzaniem w oczach.

– Nie sadzę. Dawno temu spotkałem się z nimi wszystkimi w pewnym lokalu. Jak myślisz, kto ich przekonał, żeby sfinansowali ci długie wakacje nad jeziorkiem przed planowaną wiwisekcją?

– No tak...

– Wypocząłeś? – zapytał Mundek, przyglądając się bacznie twarzy uzdrowiciela. – Musimy dostać się do szosy i złapać stopa, zanim rozpada się na dobre...

– Naprawdę wierzysz, że ktoś przy zdrowych zmysłach zatrzyma się w samym środku nocy w tej głuszy, widząc tak oryginalną parę autostopowiczów? Gościa żywcem przeniesionego z kart „Thinnera” i zombie, który urwał się z planu „Residenta”...

* * *

Na trasie biegnącej przez las, o północy, w strugach deszczu i scenerii godnej najmroczniejszych oper Wagnera, faktycznie mógł się zatrzymać tylko ciężki idiota. W ciągu pół godziny Lis machał na przejeżdżające pojazdy czterokrotnie, zawsze z tym samym skutkiem. Kierowcy zapewne nie byli w stanie dostrzec tak drobnych szczegółów, jak dziury po kulach czy plamy krwi na przemoczonej do suchej nitki marynarce, ale mieli tyle instynktu samozachowawczego, żeby na widok dwóch mężczyzn w samym środku lasu dodać gazu.

– Żebyś tak, fiucie na kaczych łapach, cztery gumy naraz złapał! – Mundek przemoknięty, zmarznięty i na dodatek ochlapany błotem przez kolejny samochód zrobił zamaszysty gest Kozakiewicza w stronę znikających w ciemności świateł pozycyjnych starego lublina.

– Daj spokój, Mulderku, sam byś się tu nie zatrzymał. – Młody przysiadł na betonowym słupku kilometrowym i nadal żuł przemokniętą słomkę. Już po samym brzmieniu głosu poznać było, że wraca do sił.

– Nie po to wywinęliśmy się kostusze, żeby nas teraz piorun wysłał do piachu! – odparował Lis, wskazując głową nawałnicę zbliżającą się od wschodu.

Jakby dla podkreślenia wagi jego słów oślepił ich jaskrawy blask i rozległ się ogłuszający huk. Blisko, o wiele za blisko. Lis zaklął pod nosem. Następny wóz po prostu muszą zatrzymać. W oddali jak na zawołanie pojawiły się dwa kręgi reflektorów. Mundek zatarł ręce i stanął na asfalcie, na samym środku pasa ruchu.

– Oszalałeś?! – Młody poderwał się ze słupka. – Przy takiej ulewie...

– *Siedź, parówkarzu* – nadał mu Lis. – *Wiem, co robię.*

Przez chwilę nic się nie działo, światła zbliżały się, a potem nagle zatańczyły i zniknęły.

– Szlag by go... – jęknął Lis.

– Co się stało? – Młody wybiegł na asfalt i stanął obok telepaty. – Coś ty, porypie wytelepany, zrobił?

– Nic – bąknął zdumiony telepata. – Chciałem opanować kierowcę, zmusić go, żeby się zatrzymał.

– I? – Lis nie odpowiadał, więc Młody szarpnął go za ramiona. – I co... ?

– Pojęcia nie mam. – Telepata wyrwał się z niezbyt mocnego uścisku. – Wlałem w drania bez problemu, kazałem mu zdjąć nogę z gazu, depnąć drugą na hamulec, jak podczas pieprzonego egzaminu na prawko... no i sam widziałeś. Fiknął jak foka w cyrku.

– Idioto, dopiero co przekonywałeś mnie, że pod żadnym pozorem nie możemy używać naszych mocy, a teraz roztelepałeś jakiegoś człowieka o drzewo! –

Uzdrowiciel spojrzał na Mundka ze złością, ale ten wydawał się wcale nie słuchać jego tyrad. – Tam mogły być dzieci! Słyszysz, Mulder!?! Kobiety, dzieci!...

– Zamknij się – warknął Lis. – I patrz...

Opodal miejsca, w którym zniknęły światła wozu, pojawiły się dwa czerwone punkty. Młody dostrzegł je i zamarł z uniesioną ręką. Palec wskazujący skierowany oskarżycielskim gestem na telepatę zaczął się powoli zniżać. Chłopak z otwartymi ustami obserwował snop jasnego światła, który omiótł ścianę drzew, a potem nieomal oślepił ich obu.

Najwyraźniej kierowca wozu nie zginął i właśnie, po włączeniu świateł długich, a nawet przeciwmgielnych, usiłował wydostać się z pobocza na szosę. Samochodem zarzuciło raz i drugi na wertepach, a kilka sekund później łuna nagle została zredukowana do dwóch znajomych kręgów.

– Zastrany amerykan... – Telepata splunął na asfalt.

– Co?

Nie było czasu na dalsze wyjaśnienia, nadjeżdżający pojazd był już blisko. Młody ruszył na pobocze, chwytając Lisa za rękaw, ale ten oswobodził się jednym ruchem. Głośny ryk silnika, zupełnie niepodobny do tych, jakie słyszeli dotąd, nagle zmienił klang, stawał się wolniejszy i cichszy. Wkrótce basowy pomruk przeszedł w

rytmiczny warkot, nieco przypominający charakterystyczną pracę tłoków harleya. Kierowca zwalniał. Młody – stojąc już na poboczu – spojrzał ze zdziwieniem na skupioną twarz Lisa, potem na widoczną całkiem wyraźnie sportową sylwetkę nadjeżdżającego samochodu.

Czerwony ford shelby GT-500 podtoczył się do miejsca, w którym stali; szyba od strony pasażera z cichym brzęczeniem zsunęła się w dół. Światło w kabinie było wyłączone, ale kierowca pochylił się w stronę otwartego okna na tyle mocno, że obaj zobaczyli jego twarz. Miał trzydzieści, góra trzydzieści pięć lat, zaczesane do tyłu, natarte żelazem włosy, ewidentnie tlenione. Rudawą, krótko strzyżoną hiszpańską bródkę, przy tak skąpym oświetleniu i na mocno opalanej twarzy, łatwo było przeoczyć.

– Siemka, laseczki – zagaił. – Macie ochotę na ostrą jazdę w moim ognistym ptaszku?

Mówił z zaśpiewem charakterystycznym dla wschodnich regionów kraju, mocno akcentując początek każdego słowa.

– Jasne. – Lis pociągnął Młodego za rękaw i pchnął go w kierunku otwierających się drzwi. Zdębiały uzdrowiciel ani drgnął.

– *Rusz dupę, parówkarzu, ale nie otwieraj gęby* – nadał Mundek, popychając kolegę bardziej zdecydowanie. – *I zdejmuj marynarkę.*

– Po...

– *Zamknijże tego ryja!* – Telepatyczny odpowiednik krzyku dotarł wreszcie do świadomości adresata. – *Myśl, tylko myśl... Zero słów.*

– *Po co ci moja marynarka?* – zapytał uzdrowiciel, ale posłusznie wykonał polecenie. Wielka jak namiot płachta materiału zsunęła się z jego ramion.

– *A jak myślisz?* – Lis znowu popchnął go w stronę wozu.

– Blondyna siada z przodu – rzucił radośnie kierowca.

Zdezorientowany tym tekstem Młody zawahał się i spojrzał przez ramię na Lisa.

– *Blondyna to ja* – wyjaśnił mu szybko telepata. – *Ty jesteś ta ruda. Pakuj się do tyłu i gęba na kłódkę. Pierwszy raz to robię, więc nie wiem, na ile jestem w stanie mieć jego zmysły.*

– *Rozumiem. Ja pragnienie, ty sprite...* Całkiem cię posrało – mruknął pod nosem Piotrek, odwrócił się w stronę wozu i obdarzył tlenionego szerokim uśmiechem. Tak na wszelki wypadek.

– Ruchy na sprzęcie – ponaglił go kierowca. – Koleżance już kuciapka całkiem przemokła na tym deszczu.

Lis wykorzystał moment, w którym Młody niezdarnie gramolił się na tylne siedzenie, i zdjął zakrwawioną marynarkę. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie wyrzucić jej do rowu, ale uznał, że mogłaby przyciągnąć czyjąś uwagę, a oni rozgłosu z pewnością nie potrzebowali. Dlatego zwinął ją ciasno i wsunął pod pachę. Marynarkę Piotrka rozłożył lewą stroną na czarno-czerwonym fotelu, żeby nie zostawić zbyt wielu zabrudzeń. Był pewien, że posiada pełną kontrolę nad umysłem kierowcy, ale nie wiedział, czy iluzje, jakimi go karmi, okażą się trwałe. Zwłaszcza gdy facet znajdzie nazajutrz plamy zaschniętej krwi na lśniącej skórze wypięszczonej tapicerki. Szok może mu uzmysłwić, że wcale nie zabrał dzierlatek wyrwanych z wyblakłego plakatu duetu Tatu, do którego latami wzdychał Młody, tylko dwóch sponiewieranych facetów wyglądających jak postacie z tandetnego horroru. Strzyżonego Bozia strzyże, jak mówi stare przysłowie, dlatego Lis wołał dmuchać na zimne.

– *Mulder, co ty do kurwy nędzy wyprawiasz?* – zaśnił z tylnego siedzenia Młody.

– *Zalatywam nam transport* – odparł telepata. – *Ale nie znam progę swoich możliwości, więc nie wcinaj się z łaski swojej i siedź tak, żeby cię nie widział w lusterku. Nie jestem pewien, czy iluzja działa także na odbicia. Lepiej, żeby nie zobaczył twojej paskudnej mordy. Nie chciałbyś chyba, żeby nasz tleniony kolega nagle zorientował się, że nie jesteś niesamowicie ponętne laskę z wielkim biustem, tylko odchudzonym ekspresowo samcem wieloryba.*

– *Wal się w kant mankietu...* – Młody opadł na oparcie, wciskając się jak najdalej w kąt.

Kierowca zamierzał pochylić się, żeby sięgnąć po pas bezpieczeństwa wiszący przy drzwiach pasażera, ale Lis go uprzedził.

– Pasy, dziunia, pa... – Tleniony uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy idealnie białych i zadziwiająco równych zębów, a potem zapytał, lubieżnie modulując głos: – Hej, laseczka, dlaczego czytasz mi w myślach?

Piotrek zamarł, słysząc te słowa. Lis nie odpowiedział, prawdę mówiąc też spanikował. Poczuł, jak szamoczące się serce podchodzi mu do gardła. Czyżby zaczynał tracić kontrolę nad iluzją? Nie, nie może do tego dopuścić! Za nic!

Tleniony zamarł nagle, wychylony w stronę telepaty, jakby czas przestał dla

niego istnieć.

– Co jest? – Piotrek tym razem nie ograniczył się do myśli, ale MundeK był zbyt spięty, aby to zauważyć. – Coś ty mu zrobił?

– Kurwa, nie wiem, po prostu nie wiem... – Telepata także nie przestrzegał narzuconej uzdrowicielowi zasady, rzucił jedno zdanie, zapadł się w fotel i zamilkł.

– Czego nie wiesz?

– Piotrek, to wszystko jest dla mnie takie nowe. Nigdy wcześniej nie sterowałem umysłami innych ludzi, byłem pieprzonym odbiornikiem, ktoś coś pomyślał, ja skupiałem się i odbierałem treść przekazu. Zwykle słowa, czasem obrazy, rzadko coś bardziej skomplikowanego, ale teraz... Po prostu nie wiem, jak daleko mogę się posunąć.

– Powiedziałeś a, musisz powiedzieć b – poinstruował go uzdrowiciel. – Teraz nie możemy się cofnąć.

– Kurwa, człowieku – zachnął się MundeK – to jest jak pilotowanie samolotu pasażerskiego bez instrukcji obsługi. Sto zegarów, na które trzeba cały czas patrzeć, wajchy, lewarki, przyciski. Jeden fałszywy ruch i spadasz na pysk z dziesięciu kilometrów.

– Nie będę się powtarzał. – Młody zapiął pas bezpieczeństwa i usadowił się wygodniej. – Skoro zdecydowałeś się na taki ruch, doprowadź go do końca. Wlazłeś mu pod czapkę z takiej odległości, co prawda z wiadomym skutkiem...

– Z jakim skutkiem?! – ryknął Lis. – Nie widzisz? – Trzepnął dłonią w manetkę zmiany biegów, miała kształt litery T. – To posrany automat, a ja kazałem gościowi nacisnąć hamulec lewą nogą...

– I co z tego?

– Nic, zrobisz kiedyś prawko, zrozumiesz. Słuchaj, Piotrek, wydaje mi się, że mogę nim kierować jak kukiełką, ale wszystko co robię, jest dla mnie nowe... Nie chcę przegiąć. Nie chcę, żeby komukolwiek stała się krzywda.

– To trzeba było go puścić – odparował Młody.

– I co, mókłybyś pod tym... – Lis nie zdążył dokończyć zdania, nagle oślepiło go ostre światło, jakby ktoś ustawił mu lampę błyskową tuż przed twarzą; ułamek sekundy później samochód zatrzęsł się od ogłuszającego ryku.

Drzewo, pod którym jeszcze przed chwilą stali, zostało dosłownie przepołowione, jakby ktoś rozciął je wzdłuż ogromnym, ognistym ostrzem. Rozszczepienie nie było równe, szło ukosem i kończyło się około trzech metrów nad

ziemią. Widzieli to wyraźnie, pomimo ulewnego deszczu listowie zajęło się bladym, acz intensywnym ogniem, który jednak dość szybko przegrał nierówną walkę z hektolitrami lejącej się na grube konary wody. Ta część dębu, która została odcięta od korzeni, chwilę jeszcze trzymała się na miejscu, ale w miarę pęknięcia ostatnich włókien, wciąż jeszcze spajających obie części pnia, zaczęła się zsuwać niczym statek po pochylni, by w końcu zaryć z potwornym trzaskiem w rozmokłą ziemię. Przez moment pasażerowie forda słyszeli tylko rytmiczne bębnienie deszczu o szklany dach, a potem coraz głośniejszy jęk, z jakim ogromne, wciąż tłące się w wielu miejscach konary zaczęły chylić się ku ziemi. Na szczęście rozłożyste gałęzie przeważały i drzewo nie padło na szosę, tylko prosto w rzędy wysmukłych sosen stanowiących czoło lasu. Koniec końców osmalone gałęzie splątały się z kilkoma pniami i ścięty gromem kolos zamarł ostatecznie. Zapachniało dymem i ozonem.

– I Bóg przemówił... – wyszeptał Młody bojaźliwie – Masz jeszcze jakieś wątpliwości? – mruknął Lis, odwracając wzrok od powalonego drzewa. – Gdyby nie ja, pokazywaliby cię we wszystkich dziennikach. Byłbyś największym skwarkiem w luźnych gaciach znalezionym na poboczu drogi w tym sezonie.

– Jedźmy stąd, proszę... – Oczy uzdrowiciela były wielkie i okrągłe jak talerze.

Telepata spojrział za okno na dogasające w deszczu drzewo, potem na zastygłą w dziwnym grymasie twarz kierowcy. Tleniony wyglądał jak własny posąg. Żaden mięsień nie drgał na jego twarzy, nawet oczy zrobiły się matowe, jakby przestały nagle odbijać światło. Idealny obraz bezruchu, tylko kropla śliny, sącząca się z kącika wygiętych nienaturalnie ust, psuła ten efekt. Mundek zacisnął dłonie i potarł nerwowo kciuki, zupełnie jak saper przed rozpoczęciem rozbijania miny. Czas wracać do rzeczywistości.

Tleniony jęknął nagle, jakby go ktoś walnął kamieniem w głowę.

– O żeż kurwa by cię w dupę mać nagła... – wyrzucił dyszkantem z szybkością karabinu maszynowego. – Moje plery!

Podparł się ręką, żeby nie upaść na twarz. Siedział ze skrzyżowanymi rękami przez minutę, może nawet dwie, w całkowitym bezruchu... To musiało zboleć. Kolejny punkt z podręcznika sterowania ludźmi do zapamiętania, westchnął w duchu Mundek.

– Lumbago – powiedział cicho, podpierając ramię kierowcy. – Przejdzie, wiem, bo też to kiedyś miałem.

– *Miałam, Mulder, zawilgły knurzy fiucie!* – załsniał Młody z tylnego siedzenia.

– *Miałam. Jesteś laską.*

Tleniony jęknął raz jeszcze na cały głos i opadł ciężko na swoje miejsce. Na szczęście skupiając się na pokonaniu bólu, nie zauważył różnicy.

– Hej, macho. – Telepata spojrział na niego z udawanym niepokojem, wciąż nie potrafił grać samym umysłem. – Jak dojedziemy do miasta, wiewióra zrobi ci masaż. Jest mistrzynią świata w tej dziedzinie.

– No to pospieszajmy. – W trzymającego kierownicę z charakterystyczną kobrą na dźwięk słowa „masaż” jakby diabeł wstąpił; tak dał po garach, że aż wcisnęło ich w fotele. Czteryście siedemdziesiąt pięć koni mechanicznych z okładem, wyciskanych z ośmiocylindrowego silnika i dających przyspieszenie do setki poniżej czterech sekund, to coś, co naprawdę warto przeżyć. Ale niekoniecznie na drodze trzeciej kategorii odśnieżania, ciemną nocą i do tego w ulewnym deszczu. Goguś usiłował zaszpanować przed dziewczynami, żeby zatrzeć niemiłe wspomnienie słabości. W jego mniemaniu – co telepata odczytywał bez trudu – jak najszybsze wyciągnięcie dwustu czterdziestu kilometrów na tej drodze było kluczem do sukcesu. Lis nie musiał widzieć twarzy Młodego, by wiedzieć, iż maluje się na niej ogromne przerażenie. Sam też był bliski narobienia w spodnie. Dlatego zaryzykował kolejną ingerencję w świadomość kierowcy. Po prostu skręcił mu licznik o dwie trzecie.

* * *

Pół godziny i czterdzieści przejechanych kilometrów. Tyle potrzebował Lis, aby jako tako zorientować się w swoich nowych umiejętnościach. Tleniony amant siedział obok, cichy jak mysz pod miotłą i spięty jak jasna cholera. Obie ręce na kierownicy, wyprostowane w łokciach, mocny chwyt, prawidłowy, za pięć trzecia, oczy lekko przymknięte, wbite w przednią szybę. Jedno mrugnięcie na każdy ruch wycieraczek. Jadąc dwieście czterdzieści na godzinę wąską zadrzewioną drogą, nie można sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Wypisz, wymaluj Robert Kubica na ostatnim okrążeniu przed zdobyciem zeszłorocznego, trzeciego już tytułu mistrzowskiego w Formule 1.

Młody zasnął już dawno, regenerując siły, a Lis skończywszy eksperymentowanie na otwartym umyśle, od kilku minut ostrożnie gmerał w pamięci kierowcy. Nie miał zamiaru przyjmować strumienia świadomości małomiasteczkowego casanowy, dlatego nie otwierał się całkowicie na dość mętny wir jego myśli. Po prostu

ćwiczył, badał nowo nabyte zdolności, może nawet bawił się nimi odrobinę, ale im dłużej przebywał w umyśle kierowcy, tym bardziej przepełniało go uczucie własnej, jakże wielkiej mocy.

Nie był już podrzędnym odbiorcą cudzych myśli. O, nie. Dopiero zaczął poznawać swój dar, a już sprzedawał iluzje nie gorsze od tych, którymi nakarmiła go nie tak dawno Sabina. Czuł też pod skórą, że to dopiero początek, wierzchołek góry lodowej, ułamek prawdziwej potęgi, która na razie czeka na odkrycie i okiełznanie. Ale na wszystko przyjdzie czas. Jak mówi stare przysłowie: małą łyżeczką człowiek naję się bardziej i szybciej niż wielką chochlą, z której większość zarcia trafi na podłogę zamiast do ust.

Teraz tylko musimy dotrzeć w jakieś cywilizowane miejsce, zdobyć nowe ubrania, trochę pieniędzy i dostać się do Warszawy, myślał Mundeck, wciąż nie wychodząc z umysłu kierowcy. Tylko dzięki Komitetowi zdołamy przetrwać...

Willa w Konstancinie, w zasadzie spory dworek. Jaka to była ulica? Lis usiłował sobie przypomnieć zarys budynku, szary tynk, winorośl wokół okien, zapuszczony ogród, reklamę wiszącą na płocie... i nagle zobaczył to wszystko bardzo wyraźnie... Obraz nasunął się na jego wspomnienia, wyparł je... Widział dom, ogrodzenie, drzewa. Nawet reklama była tam gdzie trzeba, ale to z pewnością nie był widok, który Lis zapamiętał. Na pewno nie...

Dom płonął, winorośl na ścianach dawno już się zwęgliła, z okien buchały wysokie na wiele metrów płomienie. Płaski dach nad tą częścią budynku chyba się zapadł. Gdy wiatr i strumienie wody lanej przez strażaków tłumiły na moment ogień, Lis widział w najbliższej dziurze po oknie jasny kawałek nieba.

Telepata poczuł znajome mrowienie wokół kręgosłupa. Wizja? Skąd? Nigdy czegoś takiego nie miał... Poczul narastające podniecenie. Czyżby nie tylko udoskonalił zdolność telepatii, ale także zyskał dar jasnowidzenia? Skupił się na obrazie, raz jeszcze analizując jego szczegóły, i nieoczekiwanie dla samego siebie zrozumiał, czym jest owo nałożenie, przeniknięcie raczej... Pożar wcale nie był wizją, lecz tkwił w głowie Stefana – czyli kierowcy. Lis widział jedno z zapamiętanych przez niego wspomnień; odrzucone przez mózg jako bezwartościowy szum informacyjny było przechowywane z milionami mu podobnych w sieci neuronowej, a zostało wyłowione tylko dlatego, że telepata myśląc o Komitecie podczas szperania w pamięci tlenionej, niejako sam je przyciągnął, wywołał. A skoro tak się rzeczy miały...

Mundeck sięgnął głębiej. Trochę to trwało, umysł człowieka przypomina kocioł

z wiecznie wrzącą wodą. Mózg gromadzi wszelkie dane, jakie do niego docierają, segregując je niczym wprawny magazynier. Część trafia do pamięci właściwej, tutaj przekłamania występują najrzadziej, choć też się zdarzają, zależy to od sprawności intelektualnej człowieka oraz bogactwa jego wyobraźni. Po latach wspomnienia te pozostają wciąż na swoich miejscach, tyle że przypominają już tylko wyblakłe fotografie. Raczej cienie niż obrazy dawnych wydarzeń, wyidealizowane, podretuszowane. Cała reszta, co oznacza znakomitą większość wchłoniętych informacji, jest bezwartościową sieczką. Śmieciami zgarniętymi na stos w najodleglejszym kącie magazynu, które co jakiś czas są usuwane przez mechanizmy obronne mózgu. Ale zanim to się stanie, fragmenty odrzuconych wspomnień mieszają się i scalają, niczym gnijące resztki w kompostowniku. Co ciekawe, proces ten może być naprawdę szybki. Czasem wystarczy kilka dni, żeby nic po nich nie pozostało, choć bywa, że odległe echa zdarzeń płaczą się w sieci neuronów lata po tym, jak zostały zapomniane. W wyjątkowych sytuacjach wspomnienia takie wracają do człowieka zupełnie niespodziewanie...

Obraz zapamiętany przez Stefana był bardzo dokładny, co sugerowało, że zarejestrował go niedawno. Lis postanowił dotrzeć do całości tego wspomnienia, o ile było to jeszcze możliwe. Punkt zaczepienia już miał, teraz wystarczyło się tylko dostać do właściwego „pliku” – postanowił, że tak właśnie będzie traktował ludzkie umysły: jakby były dyskami skanowanych komputerów. Piotrek strasznie zachwycał się „Matrixami”, Mundek obejrzał wszystkie cztery części kawałkami, ale za to wiele razy i teraz skorzystał z poetyki filmu, aby usystematyzować swoją wiedzę.

Dotarcie do strumienia świadomości, gdzie ukryte były obrazy pożaru, nie trwało długo. Nie zobaczył wiele, raptem kilkanaście sekund, ale wystarczyło. Stefan zapamiętał fragment dziennika telewizyjnego. Po zbliżeniu na płomień kamera zmieniła plan na znacznie szerszy, na którym młody reporter w niebieskiej kurtce z logo TVN24 relacjonował z przejściem wydarzenia sprzed dwóch dni. Lis słyszał wyraźnie, jak młodzieniec, który chyba dopiero zaczynał pracę w terenie, z euforią przemawia do mikrofonu:

– W tragicznym pożarze domu jednorodzinnego w Konstancinie, spowodowanym wybuchem zbiornika gazu, zginęło szesnaście osób, w tym... gorące laski czekają na ciebie, zadzwoń o 700 667 667... – Cholera, tleniony debil musiał przełączyć kanał w najciekawszym momencie.

Lis wyszedł błyskawicznie z umysłu kierowcy. Wybuchy gazu się zdarzają,

ale... Ale tylko kompletny debil mógł uwierzyć, że eksplozja w siedzibie Komitetu dzień po likwidacji zespołu Lewińskiego mogła być dziełem przypadku. Pytanie tylko, czy to robota kogoś z kręgu wtajemniczonych, kto w ten sposób zacierał ślady, czy też ludzie Sabiny dokonali dzieła. Odpowiedź na to pytanie kryła się w liście ofiar... A tej na próżno było szukać w głowie Stefanka. Kolejne, znacznie precyzyjniejsze skanowanie jego pamięci nie przyniosło żadnego efektu, dziennik obejrzał w willi jakiejś tłustej, starej baby, z którą urzędował przez następne czterdzieści osiem godzin, żrąc, chłając na umór, co zresztą nie było dziwne, zważywszy, że musiał potem pieprzyć obrzydliwego paszteta na wszystkie sposoby. Przy okazji wydało się, skąd miał kasę na taką furę, drogie kosmetyki i markowe ciuchy.

Mundek spojrział na zegarek, dochodziła za pięć jedenasta. Zaraz powinni nadawać wiadomości. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, każdy serwis informacyjny zacznie się od newsów dotyczących kryzysu rządowego – o ile taki nastąpił. Wszedł w Stefana jeszcze raz, po to by zorientować się w obsłudze wypasionego radia, i włączył je. Niestety wszystkie zaprogramowane stacje nadawały neodiscopolową rąbankę.

– Co jest? – Obudzony głośnymi dźwiękami uzdrowiciel rzucił się na tylnym siedzeniu.

– Problem jest – oznajmił grobowym głosem Lis.

– Też mi nowina... – mruknął Młody, usiłując na powrót wygodnie się ułożyć.

– Musiałeś mnie od razu budzić?

– *Owszem!*

Słowo powędrowało wprost pod czaszkę uzdrowiciela. Młody natychmiast zrezygnował z moszczenia sobie gniazdka.

– Co się dzieje?

– Jeszcze nie wiem, ale w głowie naszego farbowanego przyjaciela znalazłem bardzo niepokojące obrazki... – Mundek nadał sekwencję z płonącym domem.

– Jeez, aleś mnie wystraszył. – Nagłe pojawienie się wizji sprawiło, że Młody podskoczył na tyle, na ile pozwalał pas. – To twoja chata?

– Nie.

– No to w czym problem?

– Komitet. – Lis gmerając przy gałkach radia odpowiadał nader lakonicznie.

– Co: Komitet?

– W tym domu się z nimi spotkałem.

– Shitfuck! – Młody pochylił się do przodu i chwycił oburącz zagłówek. –

Ruskie?

Mundek wzruszył ramionami.

– Na zwykły wypadek mi to nie wygląda. Dlatego staram się złapać jakąś ludzką stację na tym satelitarnym złomie, zaraz powinny być wiadomości. Jeśli to tylko krótkie rączki mafii zacierały za sobą ślady, wciąż mamy szansę, ale komunikat o kryzysie rządowym będzie oznaczał...

– Shitfuck... – powtórzył Piotrek, ale już znacznie ciszej.

– A nawet fuckshit.

Minutę przed jedenastą Lisowi udało się ręcznie dostroić jakąś lokalną rozgłośnię, mimo to chciał szukać dalej, RMF-u albo Zetki, ale Młody rozsądnie poradził, żeby dał sobie spokój. Nawet na zadupiach podają najważniejsze wiadomości, a ta bez wątplenia należała do pierwszej ligi. Ledwie przebrzmiał dzingiel dziennika, wiedzieli, że nie jest dobrze.

– ... kryzys rządowy trwa – mówiła podekscytowana spikerka. – W tragicznym pożarze minionej środy zginął premier wraz z małżonką, marszałek sejmu, dwaj jego zastępcy, ministrowie spraw zagranicznych i wewnętrznych oraz dwadzieścia innych osób, wśród nich wielu prominentnych działaczy partii rządzącej. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w wydanym dzisiaj komunikacie kategorycznie oświadczyła, że wybuch gazu w willi przy ulicy Nowodworskiej nie nosi znamion zamachu terrorystycznego. Specjalna komisja śledcza nadal prowadzi dochodzenie wyjaśniające przyczyny wybuchu, ale jak dowiadujemy się z naszych źródeł, także ona potwierdza, że mamy do czynienia z tragicznym wypadkiem...

Lis wyłączył radio. Jechali w całkowitym milczeniu, równo osiemdziesiąt na godzinę, prostą jak strzała drogą, ku widocznej na horyzoncie łunie najbliższego miasta.

– Co robimy? – zapytał wreszcie łamiącym się głosem Młody, nie wytrzymując przedłużającej się ciszy.

– Po pierwsze – odezwał się głucho Mundek – musimy zdobyć nowe ciuchy i jakiś środek lokomocji. Z tym drugim będzie mniej zachodu, co widać na załączonym obrazku.

Młody wskazał na tlenioną potylicę Stefana.

– Co na to sponsor? Nie obrazi się?

– Nie sądzę...

– Wykasujesz mu pamięć?

– Nie – odparł po chwili zastanowienia Lis. – To byłoby zbyt niebezpieczne. Facet ma kupę znajomych. Zaczęłyby się pytania, sprawa mogłaby wyjść na jaw. Jak myślisz, ile trzeba, żeby skojarzono tak dziwny przypadek amnezji z faktem, że nie znaleziono naszych zwłok na miejscu egzekucji? Przecież ktoś trafi w końcu na spalonego ML-a, zwłoki Jekylla i... – Telepata przerwał, dopiero teraz dotarło do niego, że po przebudzeniu nie widział zabitych członków zespołu przy wozie. Odwrócił się i spojrzał badawczo na Młodego.

– Chyba cię pojebało! – ryknął tamten. – Co ja jestem, Hannibal Kanibal? Pochowałem ich, idioto. Ty grzałeś dupę na plaży w ośrodku, a ja między seansami leczenia zaciągnąłem ciała do najdalszej piwnicy. Dół tam był, więc przywaliłem ich tylko cegłami i przykryłem papą. Szacun się ludziom należał, a nie żeby ich szczury i wrony ogryzały na środku polnej drogi. Nie wiedziałem, że Golec do ciebie...

– Nieważne. Ale nadal pozostają ci spaleni we wraku. – Lis nie dawał za wygraną.

– Granat fosforowy, wiesz, jak to smaży? Trzy razy lepiej niż spieprzone łóżko w solarium. Wątpię, żeby zostało wystarczająco wiele szczątków do przeprowadzenia identyfikacji. – Młody wzruszył ramionami. – Jeśli nawet ktoś zgłosił glinom znalezienie wraku, pomyślą, że jakiś cwaniaczek sfajczył furę, żeby wyłudzić ubezpieczenie.

– Po numerach dojdą...

– Nie dojdą, Mulderku. Telepałeś Golcami tyle razy, ale widzę, że godność osobista nie pozwoliła ci pogadać z nimi o życiu. Wszystkie fury mieliśmy rejestrowane na słupy. Wątpię, czy ci ludzie istnieją naprawdę. Zresztą tablice też pochowałem, na wszelki wypadek leżą pod ciałami.

Lis uśmiechnął się. Młody nie jest taki głupi, na jakiego wygląda...

– Słyszałem... – dobiegło z tylnego siedzenia.

Szlag, trzeba się bardziej kontrolować, pomyślał Mundek, a głośno powiedział:

– Wracając do naszego sponsora. Facet wie, że zarwał dwie młode dupy.

Zaserwujemy mu wizję upojnej nocy z tymi laseczkami...

– My? – zdziwił się Młody – Tak, my. Wybacz, ptysiu, ale ja nie oglądam co wieczór do snu pornola, więc moja inwencja na tym polu jest mocno ograniczona.

– A skąd wiesz, co ja... – Młody zamilkł w połowie zdania, zdając sobie sprawę, skąd Lis czerpie wiedzę. – Dobra, dam mu oostrą jaazdę. – Przedrzeźnianie Stefana wyszło mu całkiem, całkiem. – Ale co potem?

– Nasz żigolo jest utrzymankiem pewnego cholernie zazdrosnego kaszalota... –
Mundek przerwał na chwilę, żeby nie strzepić sobie języka, i po prostu przesłał wizję
ostatniej nocy Stefana.

– Kuźwa, człowieku, daj se luz! – ryknął uzdrowiciel. – Wypieprzaj mi z tym
gównem z głowy.

– Dobra – telepata wycofał się z jego umysłu – dam ci bardziej softowy
kawałek.

– Ani mi się waź! Powinni ją pokazywać seksoholikom, odwyk murowany.

– Spokojnie, wybiorę moment, na którym jest jeszcze ubrana.

– Po kiego wafla? – obruszył się Młody.

– Bo pani Jadzia jest częścią naszego planu. Musi nakryć Stefcia... – Mundek
zamilkł. Właśnie zrozumiał, że to nie zadziała. – Nie, masz rację, zero pasztetki.

– Celowo to zrobiłeś, telepie. – Wizja kobiety Stefana najwyraźniej nie
opuszczała Młodego. – Co za kaszana, erekcji wstecznej można się nabawić, i to na
całe lata...

– Zapomnij o tym babonie – powiedział Lis. – Zrobimy tak. Nadajesz mu
imprezę, a na koniec odsłaniamy karty. Mówimy Stefankowi, że znamy panią Jadzię i
albo odpali nam dołę, albo sypimy go kaszalotowi. A mamy wszystko nagrane... Nie
uwierzysz, ale gościu zainstalował sobie dwie kamerki w sypialni.

– Kamerki są spoko... – Młody nagle zainteresował się tematem. – A gdzie
trzyma nagrania?

– Nie wystarczą ci filmy z osiołka? – roześmiał się Lis. – Wsiowego porno ci
się zachciewa?

– Osiołek ssie, telepie, od roku mam zhakowany soft do tunera satelity. Full
wypas HD 1080i, czterdzieści kanałów erotyki. Zwisa mi luźnym kalafiolem, co taki
wsiowy ciulik...

– Po co w takim razie pytasz? – przerwał mu Lis.

– Z zawodowej ciekawości. Wracaj, telepie, do tematu, bo się ściemnia.

– Dobra, rozwalamy lustro, zgarniamy płyty z wyczynami Stefcia
Burczymuchy, kasujemy szmal i się zmywamy.

– Zaraz, chwila... On tak po dobroci nam tę forszę odda?

Mundek zamyślił się. Faktycznie, niby czemu Stefan miałby oddawać forszę
cielęcinkom, które mógłby wciągnąć nosem przed śniadaniem.

– Może będziemy uzbrojone. – Młody podrzucił sensowne rozwiązanie.

– Cizie z giwerami? Za dużo „VIP-a” się naoglądałeś... Chociaż czekaj, pomysł jest przedni, trzeba go tylko lekko zmodyfikować. Mamy współnika, który w odpowiednim momencie wkroczy na scenę. Dwóch współników, dla pewności. Misio nie podskoczy na widok klameczki rozmiar dziewięć. Popatrz tylko na niego, fiut całe życie spędza jak nie w wyrku, to na siłowni. Ma na dupie więcej dziur po strzykawkach niż most Grunwaldzki nitów. Na szczęście nie żre tyle co ty, więc przy odrobinie szczęścia znajdziemy trochę starych, ale pasujących ciuchów. Postaram się, żeby nie zauważył ich braku. A potem odjeżdżamy w stronę zachodzącego słońca. The End.

– Cudne zakończenie, panie reżyserze – pochwalił Młody. – Ale po samochodzie będzie płakał, ten GT-500 to naprawdę rzadki okaz. Prawdziwy shelby z dwa tysiące ósmego. Edycja KR. King of the Road, jak za dawnych dobrych czasów. O ile pamiętam, zrobili ich do dwa tysiące dziesiątego nie więcej niż pięć tysięcy.

– Dlatego go nie weźmiemy, mój drogi Watsonie. – Lis ostudził zapal kolegi. – Wóz jest zbyt charakterystyczny, potrzebujemy czegoś, co nie rzuca się w oczy.

– Czym zatem pojedziemy do Warszawki, Sherlocku?

– Pociągiem, jak normalni ludzie.

– Pociągiem? – W głosie Piotrka dało się wyczuć rozczarowanie. – A nie możemy zmusić Stefana, żeby nas odwiózł?

– Powiedziałem: pojedziemy pociągiem. Jak normalni ludzie.

– Dobra, niech ci będzie. Ostatnie pytanie, ile kasujemy?

Telepata raz jeszcze sięgnął do umysłu kierowcy.

– Maksymalna stawka to dwadzieścia tysięcy. Euro. Tyle Stefcio zakitwaś na czarną godzinę. W cukrze, na pawlaczu.

Uzdrowiciel gwizdnął.

– Cudnie... Bierzemy wszystko, na dobry początek.

* * *

Mundek czuł się jak pajac. Stał w cieniu wiaty na wózki pod hipermarketem i starał się jak najmniej rzucać ludziom w oczy. Ale w lakierowanych kowbojkach z węzowej skóry, za dużych o lekko licząc dwa numery, w obcisłych czarnych spodniach ze świecącego materiału, krojem przypominających damskie biodrówki, i w nylonowej koszuli, jakiej nie powstydziliby się żaden czarnoskóry alfons w Harlemie, było to

cokolwiek trudne. Stefan okazał się wielce oryginalnym osobnikiem, zwłaszcza jeśli chodziło o ubrania. Te najnowsze były jeszcze, jeszcze – ale, niestety, za małe... Na szczęście w jednej z waliz na stryszku Lis wyszperał stare ciuchy, z czasów, kiedy tleniony romeo dopiero zaczynał robić w fachu sercowym.

Młody mimo szczyrych chęci i ogromnej utraty wagi nie zdołał wbić się w żaden strój należący do Stefana. Tylko bawełniany dres znaleziony na pawlaczu rozciągał się na tyle, że uzdrowiciel zmieścił w nim wciąż tłusty tyłek i obwisły kałdun. Niestety dres był damski i wściekle różowy, co znacznie zawężyło pole manewru.

Papieros skończył się zbyt szybko. Do otwarcia pozostało tylko paręnaście minut, ale w połowie tygodnia i o tak wczesnej porze było niewielu chętnych do robienia zakupów w leżącej na przedmieściach monstrualnej galerii handlowej. Jednakże Lisowi nawet ta niewielka jak na skalę obiektu grupa wydawała się tłumem. Zwłaszcza że przyciągał wzrok każdego, kto znalazł się po tej stronie parkingu, jakby wszystkie płomienie z ogniska na koszuli były magnesami. A może to te cholerne gołe baby z rękawów... Z początku Mundek powstrzymywał się przed jakąkolwiek ingerencją w umysły wypindrzonych babonów rzucających ukradkowe spojrzenia w jego kierunku, ale po kwadransie miał serdecznie dość ich znaczących uśmiezków i kpin, które słyszał wyraźnie, mimo że od stłoczonych przy wejściu ludzi dzieliło go kilkadziesiąt metrów otwartej przestrzeni, a żadna złośliwa uwaga nie opuściła ust w formie głośniejszej niż sceniczny szept.

Rzucił niedopałek na ziemię, wyszedł zza wiaty niedbałym krokiem i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę kładki prowadzącej na drugą stronę dwupasmowej ulicy. Czuł, jak sekunda po sekundzie zebrani tracą zainteresowanie facetem w dziwacznym stroju. I dobrze... Wszedł na schodki i stanął na skraju wyasfaltowanego łuku przejścia. Przeskanował teren za ulicą. W zasięgu wzroku, a nawet myśli, zauważył tylko jedną staruszkę. Na wszelki wypadek kazał jej przysiąść na ławce. Po co starowinka ma się przemęczać. Obejrzał się i szybko przeliczył zgromadzonych przed wejściem do centrum handlowego. Dziewięćdziesiąt trzy osoby, przeważnie starsze, emeryci grubo po sześćdziesiątce. Na parkingu dalszych siedemnaście. Tu przeważali młodszy, kierowcy nielicznych wozów zaparkowanych na olbrzymim betonowym placu. Od najbliższych stojących dzieliło Mundka około stu trzydziestu metrów. Do otwarcia pozostało dziewięć minut, jeśli obsługa ma zwyczaj otwierać o czasie. Wystarczająco wiele, jak na potrzeby telepaty.

Skupił się. *Cisza na planie!* Szmer rozmów odbieranych telepatycznie ucichły,

jak nożem uciął. Lis odprężył się. *Baczność!* Z rozbawieniem zauważył, że zareagowali wszyscy, nawet kierowcy stojący najdalej na parkingu. Ręce wyprostowane, opuszczone przepisowo wzdłuż tułowia, nogi złączone, klatki piersiowe wypięte, głowy uniesione, spojrzenie w prawo, zupełnie jak podczas musztry w wojsku.

Nie do wiary, pomyślał MundeK. Ponad sto osób na tak dużej przestrzeni... Jaka jest granica potęgi ludzkiego umysłu? Jakich niesamowitych czynów można dokonać posiadając taką moc?

Już miał wydać wszystkim komendę „spocznij” i wycofać się, gdy wpadła mu do głowy szalona myśl. Spojrzał na zegarek – jedyną oprócz bielizny i telefonu własną rzecz, jaką zdołał ocalić. Cztery minuty powinny wystarczyć... Wyjął wysłużoną nokię N95, do której czuł sentyment, mimo iż nadawała się już tylko do muzeum techniki, sprawdził, ile jest wolnego miejsca na karcie pamięci, i włączył nagrywanie.

* * *

– Jesteś porypany... – Tyle tylko wydusił z siebie Młody, zanim zakrztusił się bagietką napakowaną warzywami, szynką i serem. – Przecież tam wszędzie są kamery – dodał, gdy już odkaszlnął.

– Na zewnątrz? – MundeK wzruszył lekceważąco ramionami, ale poczuł, że po kręgosłupie pełźnie mu zimny dreszcz.

– Wewnątrz, na zewnątrz, wszędzie. – Uzdrowiciel wypluwał z siebie słowa, jakby to były fusy z zalewanej herbaty. – Markety to cholerne państwo w państwie. Policyjne państwo. Kamery w przymierzalniach, nad kasami, za regałami, w biurach, kiblach, gdzie tylko można inwigilować klienta. Mogę się założyć, że pięć minut po tym numerze – wskazał brodą na ekran komórki – zanim jeszcze otwarto drzwi, jakiś ochroniarz już kopiował całe zajście na płytkę. W najlepszym razie wstawi nagranie z jajcarskim komentarzem na YouTube, natomiast w najgorszym opchnie portalowi TVN-u albo serwisowi newsowemu Polshitu.

MundeK zerwał się z kanapy i zaklął. Przez moment wydawało się, że rzuci nokią o ścianę – powstrzymał się przed tym gestem bezsilności w ostatniej chwili. Schował telefon do kieszeni marynarki i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi.

– A ty dokąd? – zapytał Młody, odsuwając bułkę od ust.

– Wracam do sklepu. – Lis spojrział na zegarek. – Minęła dopiero godzina.

Może jeszcze nie sprawdzili zapisów z kamer.

– Wątpię... – Zęby uzdrowiciela znów wbiły się w kanapkę.
– No to może ochroniarze wciąż kombinują, komu je sprzedać.
– F czuda wieszysz? – Piotrek otarł usta wierzchem dłoni, przełknął szybko to, co wypełniało mu usta, i wstał od stołu. Widać było, że z żalem żegna się z niedojedzonym śniadaniem. – I dobrze, bo tylko wiara w cud nam pozostała, Mulderku. Zaczekaj, pójdę z tobą. Lepiej, żeby w pobliżu był ktoś, kto potrafi myśleć, a nie tylko się telepać... – Założył marynarkę, poprawił krawat przed lustrem i obdarzył promiennym uśmiechem wkurzonego telepatę. – Wszystko rozumiem, ale nigdy mi nie wytłumaczysz, po kiego kazałeś setce łamagowatych dziadyg odstawić na parkingu finałowy numer z „Gaelforce”.

* * *

Lis chciał działać na bezczelnego. Wejść do marketu, wezwać dyrektora i przedstawiając się jako agent ABW, zażądać dostępu do pomieszczeń monitoringu. Młody przypomniał mu jednak o setkach kamer, którymi naszpikowane było każde pomieszczenie centrum handlowego, i to skutecznie ostudziło zapal telepaty. Musieli postępować ostrożnie, żeby uniknąć trafienia nie tylko do telewizji, ale i w zasięg zainteresowania wiadomych służb.

Mundek milczał całą drogę, niby słuchał tyrady Młodego, czasem kiwnął machinalnie głową, ale w rzeczywistości rozpatrywał – i jeden po drugim odrzucał – dziesiątki wariantów działania. Ominięcie monitoringu wydawało się niemożliwe. Wiedział, że kamery przemysłowe rejestrują wejście każdej osoby do części biurowej – o tym, że wrednych urządzeń jest tam sporo, przekonał się, uczestnicząc w wizji lokalnej po pamiętnym skoku na halę Makro Cash and Carry w Zabrze, gdy współpracował z policją jako jasnowidz. Trzej faceci weszli na zaplecze tuż przed otwarciem skarbca, sterroryzowali personel i zgarnęli ponad milion złotych. Gliniarze początkowo uważali, że chwycili Pana Boga za nogi – rabusie paradowali w tę i we w tę przed okiem kamer, ale mimo to za kratki trafili nie ci goście co trzeba. Wówczas dla organów ścigania najbardziej liczył się szybki sukces, więc zapuszczowano trzech niewinnych mężczyzn, którym nawiasem mówiąc, po jakimś czasie wpadły solidne odszkodowania. Dochodzenie zaczęło się od nowa, ściągnięto specjalistów wszelkiej maści. Lecz po tylu latach od napadu nawet Mundek niewiele mógł zrobić, choć bardzo się starał. Sprawy nigdy więc nie wyjaśniono, prawdziwi złoczyńcy pewnie

zdążyli przepieprzyć kasę albo urządzić się w miejscu, gdzie piasek jest delikatny jak aksamit, a woda w oceanie kryształowo przejrzysta. Lis jednak naoglądał się nagrań z kamer rozmieszczonych w korytarzach, przejściach, na klatkach schodowych i przy każdych drzwiach prowadzących do byle biura, o skarbcu nie wspominając, i stąd wiedział, że wtargnięcie do pomieszczeń ochrony wiąże się z automatyczną rejestracją w co najmniej dwóch niezależnych systemach. Wyrzucał sobie teraz, że zapomniał o tak elementarnej sprawie, i równocześnie próbował zdecydować, czy powinni feralne nagrania zniszczyć na miejscu, ukraść czy też namieszać w systemie komputerowym ochrony, tak żeby zagubiły się w elektronicznym szumie. Bez ustanku dręczyła go myśl, że jeśli ktoś zdążył je skopiować i wynieść poza teren marketu, równie dobrze mogą usiąść i zapłakać...

– ... ty mnie wcale nie słuchasz, zasrany telepie! – Młody szarpnął Lisa za ramię, brutalnie przywołując go do rzeczywistości.

– Wybacz. Zamyśliłem się... – Mundek dopiero teraz zauważył, że są już na parkingu przed marketem. Setki aut odgradzały ich od kremowej ściany hali.

– Może raczysz się ze mną podzielić genialnym planem, jaki wykuł się w twych gładkich zwojach?

– Jeszcze nie dopracowałem szczegółów – mruknął Mundek na odczepnego.

– Dobra, poznaj serce bladej twarzy. – Młody stanął przed Lisem i dźgnął go palcem w klapę marynarki. – Powtórzę wszystko jeszcze raz, ale jeśli znów mnie olejesz, dalej radzisz sobie sam.

Mundek spojrzał na niego z irytacją. Już otwierał usta, żeby wygarnąć, jakie jest jego zdanie na temat odkrywczych pomysłów kolegi, ale ostatecznie postanowił wysłuchać, co uzdrowiciel ma do powiedzenia. Może jakimś cudem wpadł na lepsze rozwiązanie. Szlag, w ich położeniu każde rozwiązanie będzie lepsze...

– Wchodzimy do marketu – Młody mówił szybko i zdecydowanie, jakby zdążył wyuczyć się swojego planu na pamięć – namierzasz funkcyjnego, kierownika, biurwę, sprzętaczkę, w każdym razie kogoś z dostępem do zaplecza. Włazisz jemu, czy jej, pod czapkę, jak, to już twoja sprawa. Poćwiczyłeś na sponsorze, więc chyba wiesz, jak przekonać takiego osobnika, żeby poszedł do pomieszczenia monitoringu i sprawdził, czy powinniśmy już srać w jedwabne gacie od Scheissera...

– Schiessera. – Mundek poprawił go automatycznie.

– Na jedno wychodzi – odciął się Młody. – Grunt, że nasza kukielka dowie się tego, co chcemy wiedzieć, a ty wyciągniesz od niej informacje. Wtedy zareagujemy

zależnie od sytuacji. Jeśli mają nagranie, ale o nim nie wiedzą, musisz dotrzeć do operatora monitoringu i przekonać go, żeby zniszczył zapis. Niech płytkę zeżre, połamie, spali, cokolwiek, byle nie dała się odczytać. W ten sposób zniknie jedyny materialny dowód twojego wyskoku. A na słowo nikt w coś takiego nie uwierzy.

– Dobra, mądralo, a jeśli już zdążyli obejrzeć mnie w akcji?

– To mamy większy problem... – Młody podrapał się po brodzie. – Jeśli opchnęli płytkę jakiejś telewizji, to jeszcze pół biedy, w końcu możesz przerobić na mydło kogoś ze stacji. Ale z Netem gorsza sprawa... – Paluchy uzdrowiciela ponownie zaczęły skubać nieistniejący zarost na szczęcie. – Wiesz, dziadzia, co za dużo, to niezdrowo – wyjechał z maksymą, której jak dotąd nigdy nie hołdował, przynajmniej nie przy stole. – Resztą będziemy się martwili, kiedy już sprawdzisz, co z nagraniem.

* * *

Bułka z masłem, skwitował Młody, któremu nadal wszystko kojarzyło się z żarciem.

Po wszystkim był z siebie dumny jak paw – nie bezzasadnie. Zaproponowany przez niego sposób załatwienia sprawy okazał się strzałem w dziesiątkę. Usiedli w przytulnej kawiarence na końcu jednego z pasaży handlowych, opodal niepozornych drzwi prowadzących na zaplecze. Poza zasięgiem jakiegokolwiek kamery. Mundek właśnie zamawiał kawę, gdy z części biurowej wyszła postawna blondynka w obcisłej miniówce i śnieżnobiałej bluzce. Wejście w nią, podczas wybierania z menu, okazało się dość trudnym zadaniem. Telepata zająknął się i zamarł na moment, ze spojrzeniem wbitym w odchodzącą pasażerkę dziewczynę.

– *Oblech jeden, w dupę kopany dziadyga...* – koncentrując się, odebrał jednocześnie myśl kelnerki, która najwyraźniej zauważyła jego nieobecne spojrzenie. – *Gapi się jak sroka w gnat, staruch niedorypany, i to na co?... Na to wielkie, tłuste dupsko i cellulity...*

Tymczasem Lis już był w Marysi. Młody domyślił się tego po potknięciu, jakie lokalna seksbomba zaliczyła, gdy telepata przejmował kontrolę nad jej umysłem. Mało który facet potrafi zrozumieć od razu, na czym polega chodzenie na wysokich obcasach.

– Dla mnie cappuccino – powiedział Mundek, zaskakując kelnerkę, która wciąż pastwiła się w duchu nad dziewczyną z biura. Wyczuwał żar wielkiej nienawiści, którą

powodował wyłącznie fakt, że ofiara jest młodsza i zgrabniejsza od zgorzkniałej ropuchy w krochmalonym czepku i brudnym fartuszku.

– Widzi pani tę kobietę? – Telepata rzucił pod wpływem impulsu, wskazując na Marysię. Blondyna zatrzymała się właśnie, stała przez moment, trzymając rękę na czole, a potem zawróciła, niepewnie stawiając kroki. – Chyba zgodzi się pani ze mną – ciągnął Mundek, nie czekając na odpowiedź – że moja żona z tym swoim tłustym dupskiem i na kilometr widocznym cellulitisem powinna chodzić w spodniach, a nie w obcisłych i przykrótkich spódnicach?

Młody o mało nie pękł, tłumiąc śmiech. Stracił ręką serwetkę i zanurkował po nią pod stół, byle tylko zniknąć z oczu oniemiałej kelnerki. Stała jak słup soli, gapiąc się z opadniętą szczęką na znikającą za drzwiami blondynę.

– Cappuccino – Mundek zamknął kartę i odłożył ją na stół wystudiowanym gestem – duże. I z podwójnym cukrem. Poproszę.

– Czad, po prostu czad... – Młody wycierał załzawione oczy, starając się nie patrzeć w stronę kontuaru, za którym zniknęła wciąż zaszokowana kelnerka. – Założę się, że popieprzy zamówienia. Skąd wytrzasnąłeś taką zagajkę?

– Baby... – mruknął Lis. – Nie uwierzysz, jak te cholery są zazdrosne. Zgadnij, kto mi podrzucił ten tekst...

– Cellulit, tja.. Taki lachon, paluszki lizać... – Młody cmoknął. – Ale musisz, dziadzia, popracować jeszcze nad motoryką, o mało się nie wypieprzyła w te chabazie, jak jej płat czołowy ścisnąłeś.

– Spokojnie, spaślaku. Myślisz, że to takie proste?

– Nie, wcale tak nie myślę. Mówię tylko, że nie dopracowałeś tego elementu.

– Wal się... – Mundek usiadł wygodniej, stracił właśnie bezpośredni kontakt z Marysią. Metalowe ściany hali ekranowały jego zdolności równie skutecznie, jak siatki Lewińskiego.

– Anytime, anywhere – odparł Młody. Niewykluczone, że odpowiedź miała jakieś ukryte znaczenie, ale telepata nie zamierzał go poznawać.

Na stoliku wylądowały dwie filiżanki. Młody parsknął. W żadnej z nich nie było cappuccino. Lis spojrzał na kelnerkę, przekrzywiając lekko głowę.

– Co ja zamawiałem? – zapytał.

– Kawę... – bąknęła niepewnie.

– Jaką?

– No, ka... ka...

– Cappuccino – odpowiedział telepata, odsuwając od siebie filiżankę zamaszystym gestem. – A ta lura z pewnością jej nie przypomina. Więc z łaski swojej bierz obwisłą dupę w troki i przynieś mi to, o co grzecznie prosiłem.

Młody spojrzał na Mundka z ciekawością. Lis był wyraźnie poirytowany całą sytuacją. Nie pomyłką kelnerki, ale ciągiem wydarzeń zapoczątkowanym poranną wyprawą na zakupy. Z jednej strony telepata posiadał przeogromną moc – minutowy filmik, na którym setka przypadkowych ludzi wycina irlandzkie hołubce z gracją finalistów „Tańca z gwiazdami”, robił wrażenie. Z drugiej strony ta idiotyczna demonstracja mogła ich bardzo dużo kosztować. Nie wolno im popełnić kolejnego błędu. Nie tutaj... Po co więc Mundek próbuje wyciąć tej niezdarze jakiś numer?

– Pani wybaczy koledze. Jesteśmy lekarzami, wpadliśmy na kawę po wyczerpującym dyżurze. Proszę szybko przynieść zamówione cappuccino, a unikniemy dalszych problemów.

Kobieta zniknęła między stolikami jak duch.

– Odpuść, Mulder. – Młody pochylił się nad stolikiem i spojrzał prosto w oczy telepaty. – Skup się na zadaniu, nie kombinuj. Dość już narozrabiałeś.

– Ja tylko...

– Odpuść jej.

– OK.

Chwilę później na stole znalazł się ogromny kubek aromatycznej kawy z wielkim kapeluszem bitej śmietany, posypanym cynamonem i mieloną czekoladą. Z dwiema saszetkami cukru na spodku i ciasteczkiem. Mundek nawet nie spojrzał na kelnerkę, zamyślony wsypał cukier, po czym delikatnie zamieszał, starając się nie rozbełtać śmietanowej zawiesiny. Zaczynał się powoli odprężyć – aczkolwiek wciąż nerwowo łypał na drzwi prowadzące na zaplecze.

– Co kazałeś jej zrobić? – zapytał Młody, odstawiając na spodek pustą filiżankę.

– Kelnerce?

– Nie, blondynie.

– Ma wybadać, czy ktoś wie o nagraniu.

– Mam nadzieję, że nie zapyta wprost...

– Spokojna głowa. – Mundek uśmiechnął się zagadkowo. – Dostała wystarczająco szczegółowe instrukcje.

– Coś długo nie wraca. – Młody spojrzał na zegarek. – Nadal siedzisz jej pod

grzywką?

– Nie, wyszła z zasięgu. Za dużo tu metalu i ścian. Ale nie panikuj, to musi potrwać...

– Skoro mamy chwilę czasu – Młody po raz kolejny pochylił się nad stolikiem – może zastanowimy się, co dalej?

– Sam mówiłeś – odparł Mundek – że dopiero, jak moja Maryś wróci będziemy mogli...

– Nie chodzi mi o nagranie – przerwał mu uzdrowiciel – ale o całokształt. Rozumiesz? Co robimy po wyjściu z tego burdelu? Nie ma Komitetu, nie ma Lewińskiego, nie ma ośrodka...

– Tego jeszcze nie wiemy na pewno.

– Widziałeś, co Ruscy zrobili w Warszawie? Za długo siedzieliśmy w służbach, żeby nie wiedzieć, jak się takie sprawy załatwia. Skoro dopadli samego premiera...

– Ośrodek mogli zostawić, tam są nie tylko wszystkie dokumenty, ale i cenni dla nich ludzie, Karewicz i cały pion badawczy. Przeskoczyliśmy ich znacznie w dziedzinie ekranowania, jeśli chcą się dokładniej zorientować, jak daleko zaszliśmy, będą potrzebowali sporo czasu... – Mundek przerwał i sięgnął po kawę. – Gdybym ja był na miejscu Ruskich, nie niszczyłbym ośrodka, lecz go przejął. Wykorzystując Sabinę i to, że cały Komitet poszedł do piachu, łatwo podstawią na nasze miejsce własnych agentów. Kto ich teraz sprawdzi? W samym środku politycznego burdelu można miesiącami działać, zanim ktokolwiek o cokolwiek zapyta. Przecież nasza grupa była tak tajna, że o jej istnieniu wiedziało zaledwie parę osób, święć Panie nad ich duszami...

– Pozwól, że powtórzę pytanie. – Młody oparł się łokciami o blat. – Co robimy z tak mile rozpoczętym życiem superbohaterów?

– Ty mi to powiedz – odparł Lis. – Czuję, że masz plan.

– Mam, jasne, że mam. – Uzdrowiciel uśmiechnął się promiennie. – Wino, kobiety i śpiew.

– Ciekawe, dlaczego spodziewałem się właśnie takiej, jakże precyzyjnej i rzeczowej odpowiedzi. Chociaż nie, chwila, zadziwiająca, ale nie było nic o jedzeniu...

– Który element w moim misternym planie ci nie pasuje? – zdziwił się Młody, puszczając mimo uszu ostatni docinek. – Posiadamy zdolności, dzięki którym możemy zostać królami świata...

– Pozwól sobie przypomnieć, co wydarzyło się na pokładzie „Titanica”

niespełna pół godziny po tym, jak ktoś wypowiedział podobne słowa.

– Spoksik, dziadzia. Ty zadbasz o odpowiednią kaskę, ja o nasze zdrowie. Skrobniemy luzacko do kuferka parę milionów zielonych, a potem wypuścimy się do jakiegoś rajy podatkowego. Do rajy, kumaszczać? Bungalow przy plaży, dwudziestometrowy jachcik z załogą, zimne drinki i ciepłe okłady z młodych piersi na noc. A jak masz z tym problem... Te paluszki są lepsze niż viagra, zaręczam. Czego więcej chcieć?

– Jest coś takiego... – mruknął Lis, oblizując śmietankę z warg.

– Czyżby? Co może być lepszego?

– Słodka zemsta. – Na twarzy telepaty pojawił się uśmiech, paskudny, wredny, odrażający.

– Zemsta?! – Zaskoczony uzdrowiciel podniósł głos odrobinę za mocno.

– Nie drzyj tak tego ryja – uciszył go natychmiast Mundek. – Tak, zemsta.

Naprawdę uważasz, że jedynym zagrożeniem na tej wyśnionej plaży przed bungalowem będzie ryzyko, że Greenpeace wpieprzy twój błady kaszalotowaty odwłok do morza, ilekroć postawisz stopę na piasku?

– Odwal się! – Młody poczuł się urażony. – Kto będzie nas szukał na Karaibach?

– Ten, kto ci raczył zafundować najbardziej skuteczną kurację odchudzającą w dziejach świata.

– Dla Sabiny i jej bandy rozkładamy się właśnie w krzakach, sto trzydzieści kilometrów stąd. I tak zostanie, o ile twoja nowatorska aranżacja mongolskiego baletu na parkingu nie zrobi furory w telewizji albo Sieci, panie kiepski telepaty.

– A chcesz się założyć, że za dwa, góra trzy dni ktoś anonimowo doniesie policji o spalonym ML-u i walających się wokół trupach? Jeśli zabraknie dwóch ciał, staniemy się najbardziej poszukiwanymi ludźmi na ziemi. Wiesz może, jak wielu sypiących keszem milionerów o słowiańskich rysach pojawia się na Hawajach, Karaibach albo innych Seszelach miesięcznie?

– Nie musimy aż tak szaleć...

– Powiadasz, że mam zdobyć kasę. Niby nic trudnego, minął jeden wieczór i już mamy siedemdziesiąt kawałków w kieszeni, ale zrobienie prawdziwej forsy wiąże się z dużo większym ryzykiem. Taki zasrany market, taki mały żart, a o mało się nie przejechaliśmy...

– Ty się nie przejechałeś – przypomniał mu Młody.

– Fakt, ja – zgodził się telepata. – Tyle że jedziemy na tym samym wózku, mój gównozerny przyjacielu. Gdzie ja, tam i ty.

– Niekoniecznie.

– Chcesz się ze mną rozstać, synku? No to powodzenia... Ja mogę skrócić kasę ot, tak – Lis pstryknął palcami – ale ty będziesz musiał zdrowo kombinować. Jako kolejny, nawet kurewsko zdolny bioenergoterapeuta wiele w tym kraju nie zarobisz. Zwłaszcza bez dokumentów, bo chyba pod starym nazwiskiem nie zamierzasz występować? Kasacja kurzajki, usuwanie pryszczycy, zakłęcia na zatwardzenia, tyle tylko możesz zaoferować potencjalnemu klientowi na czarno. Żadnych spektakularnych uzdrowień, bo wiesz kto na drugi dzień będzie czekał za drzwiami...

Młody milczał. Wiedział, że Lis ma rację. Talent uzdrowiciela mógł być cenniejszy od telepatycznych zdolności, ale przy tym był obwarowany pewnymi istotnymi ograniczeniami.

– Rozumiesz już, o czym mówię? – zapytał spokojnie Mundek. Lekkie skinienie głowy wystarczyło mu za odpowiedź. – Dopadniemy tę szmatę – podjął po chwili – a potem wszystkich, którzy za nią stoją i mogą coś o nas wiedzieć...

– Ale potem trzepiemy solidną kaskę i robimy zryw pod palmy – dokończył uzdrowiciel.

– Moment...

– Co? – Miody podążył wzrokiem za spojrzeniem Lisa.

Drzwi na zaplecze były zamknięte, ale wyraz twarzy telepaty świadczył o tym, że lada chwila powinny się otworzyć. I rzeczywiście, kilka sekund później wyszła przez nie Marysia, która – choć jeszcze o tym nie wiedziała – została tymczasową żoną doktora Lisa. Pod pachą trzymała zrolowany egzemplarz jakiegoś kolorowego czasopisma, z tej odległości trudno było zauważyć coś więcej niż tylko feerię barw z lakierowanej okładki. Dziewczyna rozejrzała się po pasażu, dostrzegła siedzących w kawiarni mężczyzn i pomachała im ręką. Mundek odpowiedział zdawkowym kiwnięciem dłoni i ponownie sięgnął po kubek.

Młody obserwował kocie ruchy dziewczyny, kiedy zbliżała się do ich stolika. Albo telepata tak szybko się uczył, albo opuścił jej zwoje i sama mogła sobą kierować. W każdym razie efekt był niezły, wyzywająco kręciła dość sporym tyłkiem, w którego ocenie kelnerka niezbyt się pomyliła. Dopiero gdy podeszła bliżej, Piotrek zauważył, że blondyna ma zmierzwione włosy, zaczerwienione policzki i lekko rozmazaną szminkę. Rzucił zdziwione spojrzenie telepacie, ale ten zdawał się nie dostrzegać

takich szczegółów.

– Hej, kochanie! – Dziewczyna pochyliła się, rzuciła czasopismo na stół i oparła się łokciami o płótek dzielący teren kawiarni od pasażu. – Jak ci minął dzień? – rozciągnęła usta w zmysłowym uśmiechu, którego jednak Młody nie dojrzał, gdyż skupiał wzrok paręnaście centymetrów niżej.

– W porządku, skarbie – odparł Mundek, mrużąc oczy. – Pochyl się bardziej, masz chyba coś na brodzie...

Sięgnął po wykrochmaloną serwetkę i przejechał nią po policzku dziewczyny, tuż obok miejsca, gdzie szminka była najbardziej rozmazana. To już nie uszło uwagi Młodego. Marysia uśmiechnęła się jeszcze szerzej, choć mógłby przysiąc, że to nie będzie możliwe.

– Muszę lecieć, kotku, zobaczymy się wieczorkiem – rzuciła na odchodnym i już mknęła w stronę drzwi.

Lis pomachał jej ręką, równie sucho jak przy powitaniu, i przysunął do siebie czasopismo, które zostawiła. Spojrzał na nie i wykrzywił usta – najwyraźniej widok eksplodującego statku kosmicznego nie przypadł mu do gustu.

– Co jest grane? – zapytał uzdrowiciel, ledwie drzwi zamknęły się za Marysią. Telepata otworzył magazyn. Niewiele, akurat tyle, żeby Młody dostrzegł ukryty między nimi srebrzysty dysk.

– Mówiłeś, że ona ma tylko...

– Kłamałem. – Mundek zatrzaskał okładki czasopisma i dopił cappuccino.

– Jak...

– Czy to ważne? – Teraz Lis pochylił się nad stolikiem. – Najistotniejsze, że spisała się na medal. Możesz podać mi swoją serwetkę?

– Po co? Masz przecież swoją – zdziwił się Młody.

– Powiedzmy, że wolałbym nie wycierać ust tym, co na niej jest.

Część II

Powrót

Mundek uparł się, żeby jechali koleją. Uzdrowiciel przekonywał go, kłął i błagał na przemian, ale wszystko na próżno. Telepaty nie zniechęciło nawet to, że dotarcie w pobliże gminy Trychultowskiej będzie wymagało dwu przesiadek i niemal sześciu godzin jazdy w upale. Opracował plan – bezpieczny plan – i postanowił, że tym razem nie będzie improwizacji. Wystarczył jednak kwadrans czekania na odjazd w rozgrzanym wagonie, by stał się cud. Nieziemski skwar bijący od rozgrzanej blachy, smród wydobywający się zza przepierzenia dzielącego pierwszy przedział od toalety, zablokowane okno, wszechobecny brud pamiętający jeszcze czasy schyłkowej komuny oraz siedemdziesięcioro hałaśliwych bachorów zmierzających pod opieką zakonnic na letni obóz, zmusiły Lisa do złamania postanowienia. Zaklął szpetnie pod nosem, zdjął z wieszaka marynarkę, w której jeszcze przed chwilą krył twarz przed palącym słońcem, i stanął przed Młodym, ociekając potem, jakby go ktoś oblał kubłem wody.

– Dobra – powiedział. – Zrobimy to po twojemu. Ale nie idziemy na stopa.

Łódź to wielkie miasto, aglomeracja, jak powiadają. W książce telefonicznej adresy salonów samochodowych zajmowały sześć bitych żółtych stron, nie licząc reklam. Uzdrowiciel nie zastanawiał się długo, trzy kartki trafiły do jego kieszeni, a wezwany przez komórkę taksówkarz dokonał wstępnej selekcji celów.

Najpierw trafili na wielki wybetonowany plac pełen lśniących w słońcu wozów. Wszystko tutaj było, od pachnących szpachlą maluchów po ogromne amerykańskie ciągniki siodłowe. W niewielkim kantorku przy otwartym warsztacie, gdzie dwaj umorusani młodzieńcy grzebali w silniku leciwego merca, siedział pan Zbysiu, znudzony właściciel przybytku; wielki grubas o beznamiętnej, nalanej twarzy, na której jedynym rzucającym się w oczy punktem był kartoflowaty sinofioletowy nochal. Nie wiadomo, co bardziej zniechęcało go dzisiaj do kontaktów z klientami: wysoka temperatura czy też równie wysokie stężenie alkoholu we krwi. Jakikolwiek był powód niechęci pana Zbysia do rodzaju ludzkiego, przybyli musieli pofatygować się do

wnętrza piekarnika, jakim stało się w południe biuro, by pan i władca tego złomowiska raczył zwrócić na nich uwagę.

Piotrek przywitał się grzecznie i w kilku zdaniach wyłuszczył, czego potrzebują. Zanim jednak ogorzała twarz sprzedawcy zmieniła wyraz, wskazując na szczątkową choćby próbę przeanalizowania zagadnienia, do akcji wkroczył zniecierpliwiony Mundek. Godzinę później wyjechali z salonu siedmioletnim granatowym passatem kombi. Szybkie rozczytanie przeżartego etylem handlarza oszczędziło całych godzin zbędnych negocjacji i wciskania kitu. A co najważniejsze, sporej kwoty pieniędzy.

Nie oszukali Zbycha ani – wbrew pozorom – go nie okradli. Po prostu wypożyczyli na kilka tygodni jeden z powypadkowych samochodów, które sprowadził niedawno z Niemiec i oferował teraz do sprzedaży lub wynajmu po szybkim remoncie. Oczywiście zapłacili za wszystko z góry. Najniższą stawkę, rzecz jasna, jak dla rodziny. Wóz nie był może szczytem marzeń Młodego – ten do samego końca skłaniał się ku zakupowi jednej ze ślicznie wyeksponowanych, luksusowych niemieckich limuzyn, zwłaszcza mocno przechodzonego mercedesa CL 500 z dwa tysiące ósmego roku, przed którym ślinił się wcześniej ponad kwadrans – ale miał działającą wciąż klimatyzację, prosty system fabrycznej nawigacji z aktualną, choć piracką mapą Polski oraz badania techniczne robione zaledwie dwa miesiące wcześniej w Hanowerze. Co prawda wykonano je jeszcze przed wypadkiem, ale jakkolwiek patrzeć, otarcie bokiem o inny wóz na parkingu nie mogło zaszkodzić mechanice i konstrukcji zawieszenia. Lis zawierzył wewnętrznemu przekonaniu zapitego właściciela salonu, że oddaje wóz gwarantujący całkowitą niezawodność. Przynajmniej na krótką metę.

O piętnastej dwadzieścia, siedząc w pachnącej delikatnie wanilią i orzeźwiająco chłodnej kabinie, wydostali się z zatłoczonego miasta na ulicę Strykowską, by utknąć w gigantycznym korku spowodowanym robotami drogowymi. Sezon urlopowy od wielu już lat był sygnałem dla MZUiM-ów, że czas rozpocząć remonty tras wylotowych z wielkich miast. Od późnego Gierka nic się w tej materii nie zmieniło, a panika roku poprzedzającego mistrzostwa Europy, na które jeszcze tydzień temu mieliśmy nikłe, bo nikłe, ale zawsze szanse, tylko spotęgowała wszechobecny o tej porze roku chaos. Nawet brak rządu nie był w stanie niczego zmienić. Chociaż akurat temu Edmund Lis się nie dziwił, dwudziestoośmioprocentowa frekwencja w ostatnich wyborach dobitnie świadczyła, że tam, gdzie naród ma całą klasę polityczną, jest ciemno i bardzo śmierdzi.

Złośliwość tych, którzy musieli pracować w kurzu i upale, względem szczęśliwców zmierzających na piaszczyste plaże wybrzeża i zalesione wzgórza Szwajcarii Kaszubskiej, nie miała granic. Siedząc na poboczu rozkopanej drogi bądź wspierając się o styliska wielkich łopat, spoglądali kpiarsko na wozy, w których gotowały się całe rodziny. Lis patrzył na uśmiechnięte błogo twarze i opalone sylwetki, wiedząc, że spośród wszystkich podróżujących chyba tylko on jeden nie ma ochoty na urzeczywistnienie scen żywcem przeniesionych z plenerów „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną”. Zastanawiał się nawet, czyby nie podkręcić emocji paru najbardziej wkurzonym osobom, ale ostatecznie zrezygnował. Incydent oznaczałby jeszcze dłuższy przestój, a robotnicy... przecież to narzędzia w rękach pozbawionych wyobraźni urzędasów. W klimatyzowanym wnętrzu, z cicho grającą kojącą muzyką, nie mając na głowie upierdliwej małżonki i grymaszących bachorów, Lis mógł pozwolić sobie na odrobinę litości.

Im dalej od Łodzi, tym ruch był mniejszy. Od czasu oddania drugiej nitki na Al bezkolizyjny przelot do rozjazdu na Olsztyn liczył się w minutach, zwłaszcza jeśli nie trzymano się przepisowych prędkości. Ale Młody nie przeginał. Do wieczora było daleko, nie czuł też potrzeby szybkiego dotarcia do celu, zwłaszcza że pogoda na Mazurach po niezwykle upalnym dniu zaczęła się gwałtownie załamywać. Gdy zjeżdżali na szesnastkę, ołowiane chmury zbierały się na północy, tuż nad horyzontem. Godzinę później zrobiło się całkiem ciemno. Pierwsze, grube, wręcz tłuste krople letniego deszczu zamlaskały głośno, rozbijając się na przedniej szybie. W oddali błysnęło raz i drugi. Młody pomyślał, że lecące właśnie na RMF-ie stare dobre „Lato, lato wszędzie...” brzmi wręcz szyderczo. Lisowi było wszystko jedno, jeszcze na autostradzie zapadł w drzemkę i nadal cicho pochrapywał oparty głową o napięty pas bezpieczeństwa.

Do Mrągowa pozostało niespełna pięćdziesiąt kilometrów. Ruch w kierunku Mazur był średni, ale co ciekawe, przeciwny pas od dłuższego czasu ział pustką. Piotr nie liczył dokładnie, ale w ciągu ostatniego kwadransa z przeciwka pojawiło się najwyżej dziesięć wozów. Za to ciągle ktoś ich wyprzedzał, wykorzystując żółwie tempo, w jakim poruszał się passat. Młody nie przejmował się, szacował, że u celu będą za niespełna godzinę, co w zupełności ich urządziło. O ile nic się nie spieszy, pomyślał i niemal natychmiast tego pożałował. Jadący przed nimi opel vectra zaczęły nagle hamować, zdawać się mogło, że zupełnie bez przyczyny, ale już po kilku sekundach uzdrowiciel dojrzał powód tak gwałtownej reakcji. Na granicy widoczności

przez strugi ulewnego deszczu przebiły się czerwono-niebieskie migające światła. Radiowóz, karetka, straż? Cholera wie, przy tej pogodzie jeszcze długo nie da się tego stwierdzić.

– Otwórz swe kaprawe ślepie, stara śpiąca królewienko... – Słowem Piotra towarzyszył solidny kuksaniec w ramię telepaty.

– Czego? – zapytał zachrypnięty Mundek, nie otwierając oczu.

– Pstrego. Coś się dzieje przed nami... – Uzdrowiciel pochylił się nad kierownicą, usiłując wypatrzeć cokolwiek przez gęstą zasłonę deszczu. Zaklął, kiedy dotarło do niego, że na drodze stoi kilka samochodów z włączonymi kogutami, ciemność aż mieniła się od ich błysków.

Opel jadący z przodu zwolnił do trzydziestu na godzinę, przed nim wlokło się parę innych samochodów, nieco dalej czyjeś światła awaryjne wskazywały koniec korka. Po chwili sygnał ten przejął kolejny wóz, potem następny. Młody rzucił okiem w lusterko, w polu widzenia miał co najmniej dwa zbliżające się szybko pojazdy. Wolał nie ryzykować, jego ręka niemal mechanicznie nacisnęła klawisz z charakterystycznym trójkątem.

– Sprawdziłbyś, co tam się dzieje. – Piotrek usiadł wygodniej i spojrzał wyczekująco na telepatę. Ten jednak najwyraźniej nie miał ochoty na powrót z krainy snu.

– Pewnie wypadek... – mruknął, ledwie zatrzymali się w długiej kolumnie samochodów, niespełna dwieście metrów od migoczącej zapory. – W takim deszczu najlepszemu kierowcy może się trafić... Kurwa!

Młody podskoczył na dźwięk przekleństwa i odruchowo depnął na gaz. Na szczęście przed momentem wrzucił na luz. Gdyby nie to...

– Porypało cię, telepie! – wrzasnął. – Musisz się tak drzeć?

– Blokada! – Mundek wyprostował się w jednej chwili. – W Olsztynie był napad na bank. Czeszą wszystkie samochody...

– ... a my nie mamy nawet dokumentów. – Młody dokończył myśl telepaty i też puścił wiachę.

– Zawracaj! – W głosie Lisa nie było już śladu niedawnego zaspania.

– Jak? – Uzdrowiciel kiwnął głową w stronę okna po swojej stronie. Środkiem szosy biegł rząd betonowych elementów oddzielających pasy ruchu, najwidoczniej na tym odcinku drogi także prowadzono jakieś roboty. Lis szybko odwrócił głowę w kierunku pobocza. Tu z kolei mieli głęboki rów melioracyjny, który mogły sforsować

jedynie czołgi, a i to nie na pewno.

– Po kiego wafla mam zawracać – bardziej stwierdził, niż zapytał Młody. – Zlasuj im zwoje, jak Stefanowi. Ja ruda, ty blondyna, pamiętasz?

Mundek spojrzał na uzdrowiciela, robiąc wielkie oczy. A niech to. Dopiero co siedział z Lewińskim i Golcem w merolu, dopiero co... Zaspany i spanikowany całkiem zapomniał o swym nowym darze. Uśmiechnął się złowieszczo.

– No to po kłopotcie, jak rozumiem? – zapytał ostrożnie Młody.

– Tak jakby.

– I super. – Uzdrowiciel odprężył się, sięgnął do włącznika radia.

– Czekaj... – Telepata nagle spoważniał, odtrącił jego rękę i sięgnął do nawigacji. Pokręcił jedną gałką, potem przycisnął drugą, ale bez efektu. – Mógłbyś zrobić zbliżenie na ten odcinek drogi? – poprosił w końcu.

Młody uśmiechnął się tryumfalnie i po chwili na wyświetlaczu pojawiła się prosta jak strzała kreska.

Czerwony krąg na niej oznaczał aktualną pozycję wozu, wyliczoną przez co najmniej tuzin satelitów.

– Coś nie tak? – spojrzał na telepatę uważniej.

– Nie ma żadnego zjazdu? – dopytywał się Mundek, z coraz większą paniką w głosie. Nawet na pola?

– Zjazdy na pola w nawi, dobre sobie. Trzeba było dokupić płytę dla traktorzystów i furmanów, miałbyś nawet miedze i stodoły pooznaczane... – Śmiech zamarł mu na ustach. Niepokój Mundka musiał oznaczać coś poważnego. – Mówże wreszcie, o co chodzi!

– Nie mam dostępu... – Lis głośno przełknął ślinę.

– Co znaczy, że nie masz dostępu!?! – ryknął Młody. – Do czego nie masz dostępu?!

– Do gliniarza, który sprawdza papiery. – Telepata mówiąc te słowa, opuścił głowę. – Czytam wszystkich pozostałych, ale jego jakby nie było. Nic, pustka, czarna dziura... Nie potrafię odczytać jego myśli. Gdybym go nie widział na własne oczy, nie wiedziałbym nawet, że tam stoi.

Młody przyjrzał się badawczo grupce stojących na drodze policjantów. Wysoki, chudy jak tyczka funkcjonariusz brał właśnie w obroty następnego kierowcę. Dzielilo go od passata góra dziesięć samochodów. Mieli zatem tylko kilka, może kilkanaście minut... Jakikolwiek gwałtowny manewr odpadał. Byli zbyt blisko

kordonu, żeby nagle zawrócić czy zjechać z szosy, nie zwracając czyjejs uwagi.

– Co robimy? – Młody nerwowo bębnił palcami po kierownicy.

Lis milczał. Spoglądał w okno, oceniając szanse na przedarcie się do lasu. Czarna ściana drzew majaczyła w odległości zaledwie parunastu metrów od szosy, ale przebiegnięcie tego odcinka w takim deszczu i błocie... Nie, to nie wchodziło w grę. Zwłaszcza że tuż przy drodze stał transporter opancerzony z włączonym silnikiem, a policjanci w przeciwdeszczowych pelerynach, z ksenonowymi latarkami w rękach i psami na smyczy patrolowali spory fragment pobocza... Z ludźmi telepata dałby sobie radę, chociaż iluzja mogła zbyt szybko prysnąć przez „niewidzialnego” gliniarza, ale te wilczury... Przed chwilą zyskał pewność, że jego dar w żaden sposób nie wpływa na zwierzęta. Patrzył prosto w ślepią najbliższego owczarka, i w końcu, dopiero gdy się mocniej skupił, wyczuł jego obecność. Ulotne zakłócenie w metafizycznej ciszy, coś, na co normalnie nie zwróciłby uwagi. Coś, co umknęło mu wtedy, w lesie, gdy po raz pierwszy sondował otoczenie. Niestety, tyle tylko potrafił. Zdołał zarejestrować obecność zwierzęcia, jednakże jego umysł, jeśli w ogóle można mówić o umyśle w wypadku braci mniejszych, pozostawał szczelnie zamknięty.

– Co robimy? – powtórzył nieco głośniejszym głosem Młody. – Jeszcze tylko sześć samochodów i nasza kolej.

Nadal nie było odpowiedzi.

– Kurwa, Mulder, jeśli nic nie zrobisz, leżymy na całej linii.

– Przeszkadzasz mi... – warknął Lis, wciąż rozpaczliwie szukając sposobu.

– Stary, nie możesz odciągnąć gdzieś tego pajaca? Niech go zawołają do telefonu, cokolwiek.

– Telefon – parsknął telepata. – Tutaj. Akurat.

– No to wymyśl coś lepszego, skoro...

Lis uśmiechnął się, podniósł rękę i wyprostował palec wskazujący.

– Morda w kubeł – powiedział i przymknął oczy.

Kilka następnych sekund siedzieli w ciemności i ciszy, wsłuchując się w miarowy pomruk silnika i stukot kropel deszczu o dach. W tym czasie tyczkowaty policjant zakończył sprawdzanie papierów czerwonej mazdy i zamachał latarką na kierowcę czarnego golfa stojącego tuż przed vectra. Tuningowana maszyna podtoczyła się wolno do stanowiska kontrolnego. Funkcjonariusz zajrzał w okno pojazdu, salutując jak zwykle, i nagle odskoczył z dzikim skowytym, chwytając się obiema rękami za twarz. Cofając się gwałtownie, wpadł na zaskoczonego partnera i

popchnął go na betonową przegrodę. Kałach uderzonego zatoczył piękny łuk i upadł na sąsiedni pas ruchu, prosto pod nadjeżdżającą ciężarówkę, natomiast zdezorientowany właściciel broni wylądował na asfalcie dosłownie sekundę później. Ryk oślepiętego policjanta, pisk hamulców TIR-a, ogłuszający dźwięk klaksonu złąły się w jedno, zagłuszając zdławiony krzyk człowieka leżącego dosłownie o centymetry od ogromnej opony. W tym czasie drzwi golfa otworzyły się z impetem, krótko ostrzyżony facet z byczym karkiem w błyszczącym dresie wypadł na zewnątrz, poprawił tyczkowatemu klasycznym zidanem, posyłając go na asfalt, i przeskoczył zwinnie betonową zaporę znikając za TIR-em, nim którykolwiek z pozostałych policjantów zdążył zareagować.

To, co wydarzyło się później, przypominało raczej sceny z komedii niż rasowy pościg. Najbliżej stojący gliniarze, zamiast biec za uciekającym kierowcą volkswagena, rzucili się tłumnie na pomoc zaatakowanemu. Kilku innych, odbezpieczając broń, otoczyło czarny wóz, z którego wysiadły dwie dość skąpo, ale zarazem wyzywająco, ubrane dziewczyny. W kabinie passata nie było słychać wyraźnie, co krzyczą, ale awantura zdawała się dopiero rozkręcać. Tylko trzech gliniarzy spod transportera popędziło w mrok, strzelając w powietrze i spuszczać psy ze smyczy.

– Zajebioza... – Młody aż pochylił się do przedniej szyby, żeby lepiej widzieć całą akcję. – Aleś wrobił gościa...

– Sam się wrobił – warknął Lis. – Gdybyś był alfonsem, na dodatek handlującym dragami, też czułbyś się nieswojo... Ja mu tylko „przypomniałem”, że chyba nie wyjął po ostatniej balandze sporego wora marychy z bagażnika. Reszta to już czysta inwencja kolegi Kolby, no, może oprócz sugestii w sprawie gazu pieprzowego.

– Tak czy inaczej, chłop ma przewalone...

– Czy wspomniałem już, że to Ukrainiec i tutejszy rezydent mafii? – Mundek znów przytulił się do pasa. – Gównu mu zrobią. Jedynie pieski może mu trochę ulubiony dres poszarpią...

Sytuacja na drodze powoli wracała do normy. Tyczkowatego odprowadzono do transportera, panienki i wóz odstawiono na bok, gdzie wciąż kłóciły się z kilkoma gliniarzami, którzy wywracali do góry nogami bagażnik. Pościg jeszcze się nie skończył, mafioso miał naprawdę sprawne nogi.

Policjant, który przed chwilą fiknął koziołka przez barierę, zdążył już podnieść broń i latarkę pozostawioną przez kontrolera. Właśnie żywo gestykulował z dwoma

innymi, którzy przybiegli mu na pomoc. Najwyraźniej sugerowali, aby podjął obowiązki kontuzjowanego kolegi, na co nie miał najmniejszej ochoty. W końcu odebrali mu latarkę i wysłali na pobocze, gdzie siadł na słupku i otrzepywał się z błota, obserwując wyszczekane prostytutki.

– Pamiętasz „Gwiezdne wojny”? – zapytał nagle Młody.

– A co ma program SDI do tej sytuacji? – zdziwił się telepata.

Nowi policjanci właśnie machali latarkami na kierowcę vectry.

– Jakie SDI? Imperium, Luke Skywalker, ciemna strona mocy, jarzysz?

– Nie.

– Skup się, Mundziu, telepku kochany, pierwsza część, znaczy się czwarta...

– Co ty pieprzysz?

– No, czwarta. Ta najstarsza, oni nie po kolei kręcili, ale nie o to chodzi.

Edycja full HD remasterowana na trzydziestopięciolecie. Oglądaliśmy ten film kiedyś w ośrodku, pamiętasz?

– Ni w cholerę...

– OK. – Młody spojrzał na policjanta nachylającego się do opuszczonego okna vectry, a potem prosto w oczy telepaty. – Czytaj...

Mundek wszedł w umysł uzdrowiciela tylko na sekundę. I uśmiechnął się szeroko...

– Kumaszu już? – zapytał Młody.

– Daj spokój.

– Proszę... Proooszę!

– Dobra, już dobra.

Światło latarki zatoczyło krąg tuż przed maską ich wozu, Młody nacisnął leciutko na pedał gazu, podjeżdżając do radiowozu blokującego przejazd. Opatulony folią od stóp po czubek głowy policjant w czarnym mundurze podszedł do okna od strony kierowcy, jego partner oświetlił w tym czasie tablicę rejestracyjną, a potem wewnątrz kabiny. Chyba sprawdzał treść napisu na nalepce w rogu przedniej szyby. Kolejny gliniarz stanął przy drzwiach pasażera. Dwaj kolejni obeszlili wóz i ustawili się za bagażnikiem. Ci byli z psami. Widać wyciągnęli wnioski z niedawnego zdarzenia. Jak to mawiają: mądry Polak po szkodzie. Wszyscy mieli odbezpieczoną broń.

Snop jasnego światła raz jeszcze zalał wnętrze samochodu, a moment później ciche pukanie w szybę oznajmiło im, że nadszedł czas próby.

– Dobry wieczór, kontrola drogowa, starszy posterunkowy Wojdecki –

powiedział opatulony foliową peleryną funkcjonariusz, salutując do przemoczonego kaptura. – Prawo jazdy i papiery wozu poproszę.

Młody rzucił szybkie spojrzenie na telepatę, ale ten siedział spokojnie z charakterystycznym, szelmowskim uśmiechem na ustach.

– Pokaż panu dokumenty – polecił, wskazując schowek w desce rozdzielczej.

Młody wyjął plik papierów, które otrzymali w salonie, wygrzebał z nich pomięty dowód rejestracyjny i umowę wynajmu. Już miał wystawić je za okno, ale uświadomił sobie, że na tym deszczu w sekundę zrobią się z nich mokre szmaty. Policjant chyba też to rozumiał, pochylił się mocniej, zasłaniając tułowiem całe okno. Wsunął obie dłonie do kabiny, z foliowych rękawów na spodnie uzdrowiciela pociekły strugi zimnej wody.

– Nie tych robotów szukacie – powiedział Lis, ledwie głowa gliniarza znalazła się w polu jego widzenia, i wykonał lekki, kolisty gest dłonią.

Policjant natychmiast oddał papiery Młodemu, cofnął się i rzucił mechanicznym głosem:

– Nie tych robotów szukamy. – Machnął ręką na pozostałych gliniarzy, odwołując ich ze stanowisk. – Możecie jechać. – Dwa stuknięcia otwartą dłonią w dach i droga przed passatem stanęła otworem, blokując ją radiowóz cofnął się na pobocze.

Latarka natychmiast zaczęła wykonywać zamaszyste ruchy w stronę następnego samochodu w kolejce. Młody wcisnął lekko gaz, równocześnie zamykając okno. Chwilę później blokada została daleko w tyle.

Milczeli przez kilka sekund, spoglądając w lusterka, a potem jak na zawołanie wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Ale czad! – Młody stuknął ręką o kierownicę. – Niezły jesteś, telepie, gdybyś tylko tak nie panikował...

– Trochę czasu minie, zanim się przyzwyczaje... – Mundek ułożył się wygodniej w fotelu, szarpnął pas, potem oparł o niego głowę. – Ale pomysł miałeś przedni.

– Nie ja, tylko Lucas – odparł Młody, wciąż się śmiejąc. – Ale jaja...

– Jaja jajami, ale jak sam widzisz, bez dokumentów gliniarze mogą cię zwinąć w sekundę sześć... – Lis zamilkł, jakby zaczął się nad czymś zastanawiać. – Andrzej Karski...

– Kto? – zdziwił się Piotrek.

– Ten gliniarz tak się nazywa – odparł zamyślony Lis.

– Ten niewidzialny?

– Ten sam. Cholerna czarna dziura.

– Może to ktoś z...

– Nie. To nie był nikt z naszych, ekrany dają zupełnie inny efekt... – Na chwilę zapadła cisza, potem telepata zaczął mówić, jakby czytał jakieś akta. – Najpierw wojsko, komandosi, runda w Iraku, Afganistan, potem szkoła i siedem lat w policji. Po Szczytnie od razu trafił na służbę do anty terrorystów w Gdańsku, od roku szkoli jednostkę podległą komendzie w Olsztynie. Żadnych upomnień ani nagan. Żadnych niezwykłych wyczynów. Tyle wiedzieli o nim koledzy z oddziału. Dziwne to wszystko... – W głosie telepaty zabrzmiała nutka niepewności, a nawet strachu. Po raz pierwszy, choć pewnie nie ostatni, zetknął się z takim problemem. Facet wydawał się odporny na telepatię, jednakże inaczej niż to było w wypadku zwierząt. W końcu Lis umiał wyczuwać ich obecność, a Karski był po prostu niewidzialny dla paranormalnych zmysłów. Warto go zapamiętać...

– Czyżby twój boski dar miał ograniczenia? – zapytał Młody, nie przestając chichotać.

– Cholera wie... – odparł po dłuższej chwili Lis. – Pożyjemy, zobaczymy. Lepiej skręć w pierwszą boczną drogę, jaką pokaże nawigacja. Tak na wszelki wypadek, gdyby psom coś jednak zaświtało pod czapkami. Dopóki nie złapią tych frajerów od napadu na bank, w okolicy może być naprawdę gorąco. Musimy znaleźć coś pewniejszego niż hotel... – Telepata zamilkł na moment, a potem westchnął. – Jezu, pewnie mają wtyki w każdym okolicznym pensjonacie.

– Jak trwoga, to do Boga. – Młody rzucił mu szybkie spojrzenie.

Lis zerknął na niego z dziwnym błyskiem w oku.

– Wiesz, parówkarzu, to jest myśl...

* * *

Przy masywnych drzwiach nie było klamki ani dzwonka. Tylko wielka kołatka w kształcie lwiego łba. Młody odwrócił się i spojrzał pytająco na Lisa. Telepata wzruszył ramionami i wskazał na mosiężny krąg wystający pomiędzy żółtych kłów króla dżungli. Uderzenia zabrzmiały zadziwiająco głośno, jakby za pokrytym okleiną drewnem znajdowała się nie sień, ale ogromna pusta nawa świątyni.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Z wnętrza budynku nie dobiegł żaden szmer, wielki judasz wycelowany prosto w twarz Młodego pozostał przesłonięty.

– Chyba nikogo nie ma – powiedział uzdrowiciel.

– Są, są. Spróbuj jeszcze raz – poradził Lis i wychylając się przez barierkę, spojrzął za węgł budynku.

Na końcu krótkiej drogi wyłożonej kostką, w otwartym na oścież garażu, stał lśniący, choć nie najnowszy czarny mercedes. Zanim Piotrek zdążył podnieść kołatkę po raz wtóry, coś cicho zgrzytnęło i drzwi uchyliły się, ale szpara miała ledwie kilka centymetrów. Tyle, na ile pozwalał łańcuch. W szczelinie, z pewnością nie wyżej niż półtora metra nad progiem, pojawiło się wyłupiaste oko otoczone siatką głębokich zmarszczek.

– Cego kceta? – Sądząc z brzmienia głosu, pytanie zadała kobieta. Bardzo stara kobieta.

– Do księdza proboszcza mamy sprawę – odpowiedział Młody grzecznie, zarazem jednak odsuwając się od drzwi, jakby z obawy, że staruszka po tych słowach strzeli albo dźgnie go wielkim kuchennym nożem.

– Jakom? – Drzwi nie otworzyły się nawet na milimetr szerzej.

– Sużbowom. – Lis wyręczył pocącego się obficie kolegę, nieumyślnie przedrzeźniając starowinkę.

– Ksiunc dobrodziej terozki śtrasnie zajmnienty. – Gospodyni nie ustępowała. – Niech panowie milincjanty psyjdom późni, najlepi po msy.

– Idźcie do proboszcza, dobra kobieto, i powiedzcie mu, że... – Mundek nie podnosił głosu, starał się jednak, by jego słowa brzmiały stanowczo. Sterczenie na progu plebanii w czarnym garniturze podczas trzydziestostopniowego upału nie było niczym przyjemnym. Na szczęście nim skończył zdanie, wyczuł obecność drugiej osoby za drzwiami. Teraz wypadki potoczyły się szybko.

– Co to się dzieje, Zofio? – Oko zniknęło, ledwie usłyszeli melodyjny, ale niewątpliwie męski głos.

– Milincjanty, prose księca... – odparła posłusznie staruszka, a Lis skupił się.

– Policja, do mnie? – W głosie duchownego dało się wyczuć nutkę zdziwienia.
– Przecież dopiero co święciłem nowy posterunek w Kiejkowie...

Zgrzytnął odpinany łańcuch, drzwi otworzyły się na całą szerokość i stanął w nich postawny jegomość w sutannie. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i rzadkie siwe włosy, które zaczesywał na pożyczkę. Pod szyją, wepchnięta jednym rogami za

koloratkę, wciąż dyndała wielka serwetka. Najwidoczniej tym ważnym zajęciem, o którym wspominała gospodyni, teraz lekliwie wyglądająca zza pleców swojego pryncypała, był obiad. Otluszczona broda księdza dobrodzieja tylko potwierdzała te przypuszczenia.

– O... – zdziwił się kapłan, widząc zamiast lokalnych przedstawicieli organów bezpieczeństwa, dwóch obcych mężczyzn w nienagannie skrojonych garniturach, przywodzących raczej na myśl służby specjalne. – Panowie jesteście z policji?

– Niezupełnie... – Lis wysunął się przed Młodego. – Pani Zofia raczyła nas tak zakwalifikować, zupełnie nie wiem dlaczego. – Telepata uśmiechnął się przyjaźnie i zdjął polaryzowane raybany. Gospościa wypowiedziała na głos tylko tyle, ile kazał jej powiedzieć, co było częścią planu.

– Czemu zatem zawdzięczam panów wizytę? – Proboszcz poczuł się mniej pewnie. Dobry znak.

– Szczęść Boże – odparł Piotrek, przejmując inicjatywę, tak jak to wcześniej uzgodnili z Lisem. – Szukamy ojca Lucjana.

– Na wieki wieków. – Ksiądz badawczo przyglądał się spoconemu ponad miarę uzdrowicielowi. Po chwili, starannie ważąc słowa, rzekł: – Ojciec Lucjan, o ile wiem, nigdy nie odwiedził naszej skromnej parafii. A można wiedzieć, o co chodzi?

– Pracujemy dla kanału TVN Religia – kontynuował Młody, udając przejęcie. – Powiedziano nam, że tu właśnie go znajdziemy, mamy z nim zrobić wywiad. Wie ksiądz, szykujemy program o znanych uzdrowicielach na łonie Kościoła, a ojciec Lucjan jest chyba jednym z najlepszych wśród żyjących...

Ksiądz pokręcił głową.

– Ktoś panom redaktorom zrobił psikusa. Jestem tu proboszczem od dziesięciu lat, Zofia może zaświadczyć, ale nigdy nie spotkałem osobiście ojca Lucjana. Ani tutaj, ani w terenie. Z tego co wiem, ostatnio w ogóle nie opuszcza klasztoru. A szkoda...

– Proszę nam zatem wybaczyć najście. Niech będzie pochwalony. – Telepata założył okulary i szedł ze schodków, nie czekając na odpowiedź księdza. Uzdrowiciel uklonił się niezgrabnie i poszedł w ślady kolegi. Proboszcz patrzył za nimi jeszcze przez chwilę, potem zniknął w mroku sieni. Zofia odprowadziła gości wzrokiem aż za furtkę, potem z namaszczeniem zamknęła ciężkie drzwi.

– Masz coś? – zapytał Młody, kiedy już wsiadali do wysłużonego granatowego passata.

– Nic – mruknął Lis, ocierając chustką czoło. Wystarczył kwadrans na słońcu,

a kabina wozu zaczęła przypominać wnętrze rozgrzanego pieca. – Odpalaj, bo zaraz wypłynę nogawką z tego garniaka.

– Czysty ksiądz? – Uzdrowiciel nie był w ciemię bity. – Żadnego haka na niego nie znalazłeś?

– Same gówna... – westchnął telepata i podkreślił nawiew na pełną moc. – Nic konkretnego. W każdym razie nic takiego, co mogłoby się nam przydać na dłuższą metę.

Potrzebowali schronienia, i to na dłużej niż dzień czy dwa. Dlatego też Lis wpadł na pomysł, żeby wykorzystać jedną z okolicznych parafii. Podczas którejś roboty z policją usłyszał o oszuście, który udając zakonnika, całymi łatami ukrywał się przed organami ścigania. Gdy mu się nudziło w jednym miejscu, okradał gospodarza i ruszał na drugi koniec kraju, gdzie powtarzał numer. Ziemie kościelne, zwłaszcza na prowincji, wciąż były bardziej niedostępne dla władz świeckich niż eksterytorialne budynki ambasad. Można było na nich zniknąć jak przysłowiowa kamfora.

Mundek bynajmniej nie zamierzał okradać księży, chciał tylko zamelinować się jak najbliżej ośrodka, by opracować sensowny plan przeniknięcia na jego teren. Dlatego wyznaczył na mapie spiralę prowadzącą przez kolejne plebanie rozłożone wokół jeziora. Szukał nie tylko dogodnego miejsca, ale i gospodarza, który ma za paznokciami dość brudu, żeby można go było bez trudu zaszantażować.

Metoda była prosta – pukali do drzwi, Mundek sugerował osobom je otwierającym, aby informowały księży o przybyciu policji, i odczytywał myśli duchownych. Nic tak nie ułatwia pracy telepacie, jak otwarcie czytanego umysłu na odpowiedniej stronie. Niestety, albo te okolice były przedziwną oazą uczciwości kapłanów, albo miejscem wygnania dla tych, którzy nie potrafili zbyt sprawnie łamać przykazań. Cztery próby i cztery porażki, tak się przedstawiał dotychczasowy wynik.

– Na pewno nic nie znalazłeś na tego grubasa? – zapytał posmutniały Młody.

– Grubasa? – Zdziwiony telepata odpowiedział pytaniem na pytanie. – A co cię tak przypiliło?

– Nie czułeś tego cudownego zapachu? Golonko pieczone na miodzie...

– Grubasa... – powtórzył Lis, kręcąc głową. – Czy ty choć raz możesz pomyśleć o czymś innym niż jedzenie? Ruszaj, bo zaczną coś podejrzewać.

Młody odpalił silnik i wcisnął ostro pedał gazu. Koła passata zabuksowały na szutrze, ale kombik ruszył dostojnie, w chmurze kurzu, obsypując przydrożną kapliczkę gradem zwirowych grudek. Zupełnie nie po chrześcijańsku.

– Mogę myśleć i myślę – odciął się uzdrowiciel, gdy wjechali na nierówny asfalt. – Myślę, że przeginasz z tą ostrożnością, telepie. Trzeba było zlasować im zwoje. Ze Stefanem się nie obcinałeś...

– Jesteś jak dziecko we mgle... – mruknął telepata.

– To mnie oświeć – zjeżył się Młody. – Cały czas pieprzysz, że jesteś równy bogom, a zwykłego katabasa nie potrafisz spacyfikować.

– Nie w tym rzecz, że nie potrafię...

– A w czym?

– W tym, że nie do końca wiem, jak mój dar działa na ludzi – powiedział wolno Mundek. – Do wczoraj sądziłem, że mogę kierować każdym nieekranowanym człowiekiem. Ale pan inspektor Andrzej Karski pokazał mi dobitnie, że to wcale nie jest takie pewne. Co znaczy, że granice mojego daru są bliższe, niż myślałem. Wolę więc nie ryzykować wpadki...

– Prawie robi wielką różnicę – przyznał Młody, uśmiechając się dziwnie.

– Otóż to. – Lis nie zwrócił na jego słowa większej uwagi. – Bądźmy szczerzy, mój dar jest jedną wielką niewiadomą. Nie mogę być nawet pewien, czy Stefan nie przypomniał sobie wszystkiego, chociaż kazałem mu zapomnieć. Dlatego musimy działać ostrożnie, dopóki dokładniej nie poznam swoich ograniczeń.

– Przesadzasz...

– Nie, nie przesadzam. Jak ty sobie wyobrażasz opanowanie takiego księdza? Młody nie odpowiedział.

– No właśnie. Im więcej czynników zewnętrznych, tym większe prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak. Księża w tym rejonie mają pod opieką po kilka wiosek i przysiółków. Ten tam, grubas, jak go pieszczotliwie nazywasz, koncelebruje msze w dwóch kościołach i jeszcze w kapliczce pod Odolanami. Pełna kontrola jego poczynań okazałaby się niewykonalna.

– Dlaczego?

– Bo będziemy wyjeżdżać z tej wiochy. A z odległości kilkudziesięciu kilometrów nie dam rady nikim kierować. Pozostawiony sam sobie, może zacząć coś kojarzyć, a przecież nie wyłączę go na czas naszej nieobecności.

– Fakt... – mruknął Młody, mając przed oczami przypominającą zastygłą maskę twarz Stefana. – Masz rację, to nie wypali.

– Dlatego musimy znaleźć księdza, który wystarczająco w życiu narozrabiał, żeby bez albo z minimalną tylko ingerencją telepatii miał ochotę nas ukrywać. Nas, a

nie jakieś tam blondyny i rude. Nie będzie potrzeby kontrolowania środowiska, nie będzie problemów z wyłączaniem. Spokój, sielanka i twoje golonko w miodzie...

– Albo gówno w śmietanie... – przerwał mu Młody, przełykając nerwowo ślinę.

– Masz tak przepalone kubki smakowe, że nie zauważysz różnicy – wypalił Mundek.

– Ale przynajmniej kiedyś je miałem. – Młody zachichotał złośliwie. – Gdzie teraz?

Lis wyjął notatnik, przerzucił kilka kartek, potem włączył nawigację. – Nowitnica.

* * *

– Pozdrowienia od pułkownika Sitarza.

Poorana zmarszczkami twarz stała się w jednej sekundzie blada jak kreda, a w szeroko otwartych oczach nie było już nic prócz wszechogarniającego przerażenia.

– Nie rozumiem... – Ksiądz Tadeusz chciał powiedzieć coś więcej, ale słowa nie zdołały precyzyjnie się przez krtań.

– Rozumiesz, świerszczyku, rozumiesz – przerwał mu Lis, cytując wydobyte z zakamarków pamięci ofiary słowa esbeckiego oficera, i zdalnie zmniejszył przerażenie rozmówcy. Jeszcze chwila, a zwieracze pod sutanną mogły puścić, co stanowiłoby nieliczny problem dla wszystkich.

– Skąd... Jak... Przecież... – jękał się kapłan, który najwyraźniej nie umiał wyartykułować dręczącego go pytania.

– Twoja teczka, świerszczyku, została spalona – Lis zakończył męki jednym zdaniem – jak towarzysz pułkownik obiecał. Bo honorny był, cokolwiek o nim mówić. Nie wiedział jednak, że wasza umowa psu na budę się zdała. Wszystkie papiery departamentu, a w szczególności grupy „D” były przez cały czas jej istnienia dyskretnie kopiowane. Nawet w latach siedemdziesiątych. Możesz wierzyć lub nie, ale archiwa czwórki, wszystko, co trafiło do Wydziału Studiów i Analiz, znajduje się teraz w bezpiecznym miejscu i możemy tego w każdej chwili użyć...

– Jesteście świnię – wysyczał ksiądz nienawistnie. – Obiecaliście!

– Nie, świerszczyku, nie jesteśmy świniami i niczego ci nie obiecywaliśmy. – Lis pochylił się nad stołem i zrobił groźną minę. – Gdybyśmy byli, twoje owieczki już dawno by wiedziały, co piszczy staremu proboszczowi pod sutanną.

– Co piszczało... – Duchowny zapadł się w sobie. – To było dawno temu...

– Doprawdy, świerszczyku? – Telepata uśmiechnął się paskudnie. – A Poznań w dwa tysiące drugim, a Płock w szóstym, że wspomnę tylko ostatnie wyczyny... Pewnie siedziałbyś na ciepłej posadce w kurii do dzisiaj, gdyby patronów konkurencja ci nie uwaliła. Sitarz, oprócz tego, że był strasznym skurwysynem, miał jedną niezaprzeczalną zaletę, potrafił jak nikt inny nadawać swoim agentom idealnie charakteryzujące ich pseudonimy. A twój chyba nie jest cytatem z „Przygód Marka Piegusa”, nieprawdaż?

Ksiądz z każdym wypowiedzianym przez telepata zdaniem robił się mniejszy. Nie patrzył już w oczy interlokutora, opuścił głowę, ramiona mu obwisły, jakby ktoś zaczął spuszczać z niego powietrze.

– Czego ode mnie chcecie? – wyszeptał w końcu tak cicho, że Lis mógłby tego nie usłyszeć, gdyby cały czas nie kontrolował jego myśli. Telepata dał Młodemu umówiony znak ręką. Uzdrowiciel oderwał się od ściany i wolno podszedł do stołu umieszczonego pośrodku sporej, choć ciemnej kuchni.

– Współpracy – rzekł spokojnie. W tym przedstawieniu grał rolę dobrego gliny.

– Współpracy? – Ksiądz uśmiechnął się markotnie i powoli podniósł głowę. – Współpracy?! Czy wy nie widzicie, gdzie rozmawiamy? Od lat siedzę tutaj na wygnaniu, gównu wiem, nikogo nie znam... jestem dzisiaj operacyjnie nieprzydatny.

– To się jeszcze okaże. – Piotrek usiadł na wolnym krześle i wygładził dłonią podwiniętą ceratę.

Lis obserwował kotłowaną myśl w głowie kapłana. Wyciągnięcie na światło dzienne starych grzeszków budziło wielki strach, ale lęk przed ponowieniem współpracy z bezpieką był znacznie silniejszy. Nie to jednak najbardziej przerażało księdza Tadeusza, jego przeszłość skrywała coś jeszcze, coś, z czym do tej pory się nie zdradził. Zaciekawiony telepata zaczął sondować głębiej jego umysł. A to ciekawe, pomyślał, gdy już dotarł na samo dno.

– Mylisz się, świerszczyku, jeśli sądzisz, że wróciło stare – powiedział, siadając wygodniej, noga założona na nogę, plecy odchylone do tyłu, głowa lekko przekrzywiona na bok. Nie spuszczał oczu z wciąż bladej twarzy duchownego. – Nie jesteśmy agentami służb, tych służb – podkreślił.

Uzdrowiciel rzucił zdziwione spojrzenie Lisowi, tego nie mieli w planie, ale telepata uspokoił go lekkim skinieniem głowy.

– Nie rozumiem... – Ksiądz wyprostował się, już nie czuł obezwładniającego

lęku, raczej zaciekawienie.

Nie miał pojęcia, że tak nagłą zmianę nastroju zawdzięcza siedzącemu przed nim szczupłemu mężczyźnie z krótko przystrzyżoną bródką, nie zaś własnej odwadze. Nie przypuszczał też, jak bardzo zmieni się ton tej rozmowy, i to już za parę sekund. Mundeck z kolei usiłował się skupić, trudno bowiem zadawać pytania po otrzymaniu odpowiedzi, a te miał przed oczami już od kilku minut.

– Zrozumiesz, zaraz wszystko zrozumiesz – wtrącił Młody, choć prawdę mówiąc, sam nic nie rozumiał.

– Rzym, rok 1988 – powiedział Lis, przy każdym słowie stukając serdecznym palcem w ceratę. – 14 marca, godzina 16. 55. Apartament podsekretarza kongregacji przy Via Germanico. – Znacząco pokręcił nieistniejącym pierścieniem na palcu serdecznym.

Oczy księdza zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Skąd... Jak...

– Stąd i tak! – Lis miał nieodparte wrażenie déjà vu, słuchając ponownie tych samych kwestii. – Myślisz, że bezpieka upominałaby się o takiego nędznego robaka po tylu latach?

Ksiądz Tadeusz pokiwał głową, jakby chciał odpowiedzieć twierdząco.

– Po co im ktoś, kto jak sam mówi, gównu wie i nikogo nie zna?

– Nie wiem – bąknął kapłan.

– Aleja wiem, świerszczyku: po nic. – Lis znów pochylił się nad stołem. – Żaden z twoich przełożonych nigdy się nie dowiedział, jak dobrze układała ci się współpraca z towarzyszem pułkownikiem. Nie za te grzechy zostałeś odsunięty od żłobu i nie za nie wysłany na takie zadupie. Jesteś tutaj, bo wrzód na zdrowym ciele Kościoła, do którego byłeś od lat przyssany, przegrał kolejną rozgrywkę o wpływy z groźniejszymi nowotworami.

Oniemiały proboszcz raz jeszcze skinął głową, teraz już znacznie ostrożniej.

– To, co zaczęło się w Rzymie, będzie teraz miało ciąg dalszy. – Telepata posłał swojej ofierze spojrzenie tak twarde i zimne, na jakie tylko potrafił się zdobyć. – Rozumiesz już, świerszczyku?

– Tak – wychrypiął ksiądz Tadeusz.

– Posiadamy wszystkie mikrofilmy na temat twojej współpracy z bezpieką – kontynuował Mundeck. – Mamy także pełne dossier twoich wyskoków, zarówno pod parasolem Paetza, jak i Wielgusa. A kiedy mówię pełne, to znaczy, że wiemy o nich

tyle, ile ty, a nawet więcej. Nazwiska, daty, godziny. Nawet to, że wciąż chodzi ci po głowie ten nowy ministrant, chłopak Marcinkowej.

Ksiądz przeżegnał się i zerwał z krzesła, jakby zamierzał uciekać, ale jeden gest Lisa osadził go z powrotem na miejscu.

– Tylko od ciebie, świerszczyku, zależy, czy ich użyjemy. – Telepata zakończył szybko przemowę, czując, że przedobrzył. – Rozumiesz?

– Tak. Zrobię wszystko, wszystko. Przysięgam na Święty Krzyż!

Akurat, pomyślał Lis, uśmiechając się z satysfakcją. Przez całe życie w dupie miałeś wiarę, Kościół i wszystko, co z nimi związane. Sutanna była tylko przepustką do łatwego i występnego życia. Taziu, ty nawet w Boga tak naprawdę nie wierzysz.

– Daruj sobie. – Mundek wstał i rozprostował nogi. – Bóg ma dość problemów, żeby dorzucić Mu twoje krzywoprzysięstwo. Kapitan Konieczny wyjaśni ci, czego od ciebie oczekujemy.

Młody nie od razu załapał, że o nim mowa. Rozmowa Lisa z księdzem potoczyła się inaczej, niż się spodziewał. Błedego pojęcia nie miał, co wydarzyło się w Rzymie przed jego urodzeniem.

– *O co biega z tym spotkaniem?* – załśnił Młody do Lisa, zamiast zwrócić się do skołowanego księdza.

– *Nasz przyjaciel raczył był sprzedać się Stasi* – szybko odpowiedział Lis.

– *Kumam.*

– *Me kumaj, tylko nawijaj!*

– Znasz księdza z Pomianic? – zapytał uzdrowiciel po kilku sekundach ciszy.

– W Pomianicach nie ma parafii – odparł ksiądz Tadeusz, zdziwiony brakiem orientacji u agentów.

– Kapitanowi nie chodzi o proboszcza tej pipidowy, tylko o księdza, który ma ją pod swoją opieką – wtrącił Lis, posyłając Młodemu zabójcze spojrzenie. – A jego pytanie było czysto retoryczne.

– Znam, jasne, że znam. Nazywa się...

– Wiemy, jak się nazywa – przerwał mu Młody. – Potrzebne nam są pewne informacje, które ten człowiek pomoże ci zdobyć. Słuchaj uważnie. Poprosisz go, żeby wybrał się na wycieczkę w okolice ośrodka wypoczynkowego MSW nad jeziorem. A dokładniej, żeby porozmawiał z kimś z kierownictwa albo przynajmniej z wartownikami, jeśli nie zostanie wpuszczony na teren, co jest bardzo prawdopodobne. Ma wypytać o możliwość umieszczenia tam dwudziestu seminarzystów z Poznania na

turnus we wrzeźniu...

– A jeśli zapyta, dlaczego ja sam...

– Powiesz mu – Lis przerwał mu w pół słowa – że twój dawny protektor zwrócił się do ciebie z taką dyskretną, podkreślam, dyskretną prośbą. Zasugeruj, że być może sam Bigus Dickus pojawi się z tą grupą. A czemu nie chcesz niczego załatwiać osobiście? Na pewno coś wymyślisz. Z tego co wiemy, byłeś kiedyś bardzo kreatywny.

– Może... – ojciec Tadeusz zastanawiał się przez chwilę – może powiem, że mam na karku pismaków z „Nowej Koszerniej”. Oni wiecznie węszą sensację...

Lis skinął krótko głową; gdyby nie umiejętność czytania w myślach, nie wiedziałby nawet, o czym mowa.

Kapłan uśmiechnął się radośnie. Po takim wstępie spodziewał się o wiele trudniejszego zadania.

– Po co angażować księdza Antoniego? – spytał przymilnie. – Dowiem się wszystkiego swoimi kanałami...

– Głupcze! – Lis walnął pięścią w stół, aż zabrzęczały sztucce ukryte w szufladzie. – Skoro mówimy, że ten człowiek pójdzie osobiście do ośrodka, to znaczy, iż zrobisz wszystko, żeby tak właśnie się stało. Masz zaaranżować tę sprawę tak, żeby mu nawet przez myśl nie przeszło, iż działasz z innych pobudek. Możesz mi wierzyć, dowiemy się, jeśli będzie inaczej. Podejdiesz do tego zadania tak ostrożnie i delikatnie, jakby zależało od tego twoje życie... – Lis przerwał na moment. – I to nie jest żart, od wyniku tej misji naprawdę zależy, czy nadal będziesz cieszył się swoją parafią czy zostaniesz powołany do królestwa niebieskiego. Zrozumiano?

– Tak.

– I jeszcze jedno, nie będziesz czekał na księdza Antoniego w Pomianicach. Poprosisz go, żeby przyjechał tutaj, na plebanię.

– Ale...

– Co: ale?

– Zobaczysz was...

– Nie twoje zmartwienie – warknął Lis, lecz szybko się opanował. – Na czas waszego spotkania pójdziemy z kolegą na spacer. Zostawimy tu tylko sprzęt do nagrywania.

– Tak, tak, oczywiście – ucieszył się ksiądz Tadeusz. Metody pracy wywiadowczej nie były mu obce. – Rozumiem.

– Rozumiesz, świetnie. W takim razie spie... – Mundek z trudem powstrzymał przekleństwo – ... sz do Pomianic, świerszczyku!

* * *

Ksiądz Antoni opuścił plebanię dopiero po dziewiątej wieczorem. Gospodarz, chociaż minęło tyle lat od ostatniej roboty dla SB, nie wyszedł z wprawy. Owinął sobie kolegę po fachu wokół palca bez najmniejszego wysiłku. Trzy butelki mszalnego, które pękły przy tej okazji, dodatkowo rozwiązały język wiekowemu gościowi. Ale cały ten ponad trzygodzinny bełkot nie był Lisowi do niczego potrzebny. Dowiedział się wszystkiego w kilka minut po przyjeździe srebrnego mitsubishi, zanim jeszcze obaj księża otworzyli pierwszą butelczynę.

Chwilę przed pojawieniem się gościa, telepata przywołał Młodego do stodoły, która zwykle służyła za garaż.

Teraz stał w niej gotowy do odjazdu passat. Uzdrowiciel siadł za kierownicą, Mundek obok, nawet zapiął pas bezpieczeństwa. Skupił się, sprawdzając, czy za księdzem Antonim nie podążają inni, mniej pożądani goście. Ale las wydawał się pusty, nie wyczuł żadnego śladu ekranów.

Jeden zero, pomyślał Lis. Jeśli nawet komuś w ośrodku wizyta duchownego wydała się podejrzana, powinien wyczytać z jego umysłu tylko tyle, ile przekazał mu ksiądz Tadeusz. Czyli nic interesującego. Nic, co wiązałoby gościa z niedobitkami grupy Lewińskiego.

Teraz przyszedła pora na najbardziej interesującą część. Lis wszedł ostrożnie w starego księdza i przekonał się, że ten jest bardzo prosty do sczytania, głównie dlatego, że nie myślał o niczym innym, jak tylko o powierzonych misji. Uczestniczył przecież w wydarzeniu roku, jeśli nie całego dziesięciolecia. Za takie bowiem musiało w tej okolicy uchodzić przybycie byłego, bo byłego, ale jednak arcybiskupa i grupy jego faworytów. A on, skromny proboszcz, miał mieć w tym wielkim dziele swój istotny udział. Lis prosił Boga, żeby ksiądz nie okazał się zbytnim konfabulatorem.

– No, co się dzieje? – Młody trącił telepatę łokciem, wrywając go z transu.

– Siedź na dupie i myśl o kolacji – warknął rozzłoszczony Mundek. – Daj mi się skupić, to potrwa góra kwadrans.

– Spoksik...

Zanim Lis wrócił do analizy obrazów z umysłu księdza, raz jeszcze omiół las,

wychwycił dwa słabe sygnały, daleko, prawie na granicy odbioru. Poświęcił im kilkanaście sekund, tyle wystarczyło, żeby odkryć przyziemny powód, dla którego para udała się w ustronie. Mundek westchnął. Inni, zwykli szarzy ludzie mogli żyć pełną gębą, a on, istota obdarzona taką mocą... Ech, szkoda gadać. Skupił się ponownie na księżach.

Młody tymczasem, z braku lepszego zajęcia, kontemlował pająka tkającego sieć pomiędzy lusterkiem passata a błotnikiem. Zanim stawonóg zdołał rozpiąć dwie nici, uzdrowiciel poczuł lekkiego kuksańca. Spojrzał na Lisa i poczuł chłodny dreszcz wspinający się po kręgosłupie. Sięgnął do kluczyka tkwiącego przezornie w stacyjce, ale telepata przytrzymał jego rękę.

– Coś jest nie tak – powiedział Mundek.

– Gość ma ogon?

– Nie. – Lis znów, dla pewności, omiótł okolicę od strony lasu, ale nie usłyszał nic prócz jęków pary zakochanych. – Chodzi o ośrodek.

– Nawijaj, dziadzia, nawijaj – ponaglił Młody.

– Na bramie stali ludzie, których nie potrafiłem rozpoznać, chyba jacyś nowi. Wpuścili klechę po rutynowym wpisaniu do księgi wejść. – Młody zrobił głupią minę, też nie mógł w to uwierzyć, co nie uszło uwagi Lisa. – Słuchaj dalej. Nikt go nie eskortował, więc zrobił sobie rundkę nad brzegiem jeziora, zajrzał do stołówki, potem dopiero poszedł do biura. I wiesz co? Kierowniczką ośrodka... słyszysz, co mówię?... kierowniczką ośrodka, pani... Wanda Rozmus, obiecała, że porozmawia z ministerstwem o możliwości przyjęcia grupy seminarzystów. Potem oprowadziła ojczulka po budynkach, pokazując mu pokoje, siłownię i bungalowy.

– Nie kumam... Skąd tam nagle wzięła się kierowniczką?

– Dobrze postawione pytanie. – Mundek uśmiechnął się blade. – Babon zachowywał się, jakby prowadził ten interes od zawsze.

– A co z naszymi biurami, laboratorium... ?

– Nie ma, przepadły. Jak kamień w wodę, albo lepiej, ulotniły się jak kamfora. Rozmusowa zaprowadziła czarnucha do części medyczo-rehabilitacyjnej w piwnicy. Wszystko wygląda tak, jak w prospekcie, który oglądaliśmy razem z Lewińskim, kiedy wybieraliśmy obiekty nadające się na bazę. Wszędzie standardowe wyposażenie, poobijane metalowe drzwi z aluminiowymi klamkami.

– To niemożliwe. – Młody przejechał dłonią po nagle zwilgotniałym czole.

To skrzydło budynku przystosowano do potrzeb zespołu za grube miliony.

Nawet w razie ewakuacji nie usuwano by takiego wyposażenia, jak wzmocnione drzwi z systemem zamków elektronicznych. A zresztą gdyby ktoś się uparł, żeby je zabrać, nie wstawiano by na ich miejsce antycznych konstrukcji. Plastik był o wiele tańszy, bardziej funkcjonalny i zwyczajnie ładniejszy.

– Też tak uważam – zgodził się telepata, a Młody nie wiedział, czy chodzi o to, co przed chwilą mówił, czy o ostatnią myśl.

– Mundziu, na mój gust księżulo wciska nam kit.

– Owszem – telepata pokiwał głową – tyle że jest to kit, który ktoś mu wcześniej umiejętnie sprzedał.

– Co oznacza...

– ... że ośrodek przejęli Ruscy, tak jak podejrzewałem – dokończył zdecydowanie Lis. – Ostrożność popłaca, jak widzisz.

Młody przytaknął. Kiedy Mundek wymyślił piętrową intrygę, mającą im pozwolić na sprawdzenie ośrodka, był zdania, że to oznaka paranoi. Jak zwykle optował za prostszym rozwiązaniem. Na przykład powinni najnormalniej w świecie przejechać obok wejścia i spróbować skanowania wartowników z marszu albo sięgnąć do osób znajdujących się za ogrodzeniem, o ile takie by się pojawiły. Telepata twierdził jednak, że to by groziło dekonspiracją, jeśli rosyjscy telepaci rzeczywiście pilnowali interesu. A że pilnowali, i to dobrze, nie mieli już teraz wątpliwości.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze? – zapytał nagle Mundek.

– Wał.

– Na terenie ośrodka przebywa kilkoro gości.

– Gości?

– Zdaje się, że nasi telepani przyjaciele urządzili tam sobie bazę wypadową. – Mundek roześmiał się na głos. – Pamiętasz, jak ci mówiłem, że ja bym nie niszczył ośrodka, tylko przejął go z całym dobrodziejstwem inwentarza? Przecież w burdelu, jaki zapanował w stolicy po zamachu na premiera i jego przydupasów, nikt przez całe miesiące nie zapyta, co się tu dzieje. Lewiński miał prawdziwy dar do ukrywania inwestycji, więc ośrodek może nawet nie figurować w spisie ministerialnych nieruchomości.

– A nasi przyjaciele w tym czasie spokojnie wyciągną wszystko z doktora Karewicza i poczekają na każdego małego robaczka, który był związany z programem i niefortunnie zapuści się w te rejony... – Młody zaczął bębnić palcami po kierownicy.

– O nas jeszcze nie wiedzą, to pewne – powiedział Lis. – Chyba że któryś z

nich kopnął się na miejsce akcji, tak na wszelki wypadek.

– O to akurat byłbym spokojny – odparł Młody. – Istnieje spore prawdopodobieństwo, że dojdą do korzystnych dla nas wniosków. Mogą na przykład pomyśleć, że nasi sprzątacze ich uprzedzili.

– Może tak pomyślą, a może nie pomyślą.

– Ja bym pomyślał.

– Człowieku, mamy do czynienia z zawodowcami. Z prawdziwymi, zahartowanymi w boju zawodowcami, ludźmi posiadającymi od lat moce, których ja dopiero się uczę.

– Co nie zmienia faktu, że Sabina była z nami zbyt krótko, żeby dowiedzieć się wszystkiego. – Młody uśmiechnął się tryumfująco. – Lewiński na pewno niczego jej nie wyśpiewał, a nawet w nieekranowanych nie mogła wejść bez pukania. Takie coś da się wyczuć...

– Coś ci pokażę – przerwał mu Lis.

Uzdrowiciel spojrział na niego z ciekawością, czekając na wizję albo jakikolwiek inny przekaz. Po chwili jego palce podjęły przerwane wystukiwanie rytmu melodii na kierownicy.

– No? – powiedział niecierpliwie. – Co z tym pokazem?

Mundek wskazał głową na jego krocze. Młody spojrział w dół i... szczeka mu opadła.

– Przecież ja nie...

– Ty nie – potwierdził telepata. – Ja to zrobiłem. Sprawilem, że rozpiąłeś sobie spodnie, nawet o tym nie wiedząc.

– Ale jak... Przedtem zawsze czułem, kiedy grzebałeś mi pod deklek.

– Przed przemianą.

– Nie tylko, później też... – Młody zawahał się. Od momentu gdy Lis zaczął kontrolować swoje myśli, ani razu nie naruszył jego prywatności, przynajmniej tak mu się do tej pory wydawało.

– Dziwka podczas pobytu w ośrodku mogła wyczytać z ciebie wszystko, co wiedziałeś na temat programu i zespołu – podsumował Mundek. – Nie byłeś ekranowany.

– A co ja tam wiedziałem.

– Zdziwiłbyś się. – Lis podłożył ręce pod kark. – Mózg rejestruje tyle śmiecia, o którym nie masz nawet pojęcia, że wprawny selekcjoner może wydobyć z niego

masę potrzebnych informacji. To tylko kwestia czasu. Ja na przykład dogrzebałem się przed chwilą do rozkładu jazdy autobusów z dworca w Grójcu. Masz go w głowie od siedmiu lat, jak i setki tajnych dokumentów, które wisiały na tablicy podczas kolejnych odpraw u Lewińskiego, do tego wszystkie rozmowy z Golcami, ploty z wartowni. Do wyboru, do koloru.

– O fuck... – jęknął Młody, a Lis roześmiał się na głos. Kochankowie z lasu doszli właśnie w tej chwili.

* * *

Zacienione podwórze widoczne po drugiej stronie przechodniej bramy kusiło chłodem i kolorowymi parasolami ozdobionymi logo miejscowego browaru. Mundek spojrzął na zegarek, miał jeszcze godzinę do spotkania, a ledwie czuł nogi. Spacerowanie po brukowanych uliczkach w takim skwarze, nawet pod rondem kapelusza i w przewiewnej koszuli z krótkim rękawem, nie należało do przyjemności. Zwłaszcza w lekkich jak piórko cholernych włoskich butach za dwa i pół tysiąca. Ich lekkość oznaczała wszakże i to, że podeszwy miały grubość arkusza bibuły i taką też twardość. Mundek czuł każdą nierówność średniowiecznych uliczek, jakby stąpał po nich bosymi stopami. Nawet teraz, kiedy stał, nie było lepiej. Widok kelnerki zmierzającej z naręczem kufli do jednej z ław zaważył na jego decyzji. Czas na chwilę odprężenia.

Usiadł przy wolnym stoliku na prawo od wejścia do niewielkiego lokalu. O tej porze, blisko południa, w ustronnym ogródku piwnym nie było jeszcze wielkiego ruchu. Jedna z trzech dłuższych ław była pusta; przy drugiej, najdalszej z perspektywy Mundka, siedziało sześciu mężczyzn o twarzach noszących liczne ślady nierównej walki z nałogiem – właśnie wznosili kolejny toast wielkimi kufkami. Przy najbliższej ławie kilka lekko już wstawionych osób rozmawiało hałaśliwie. Lis zamówił u przebiegającej kelnerki dużego żywca, do tego sałatkę caprese, niestety w menu nie było nic bardziej sensownego, a gdy dziewczyna zniknęła w mrocznej sali, usiadł wygodniej i zapalił papierosa.

Obserwował przez dym zgrabną blondynkę w różowej bluzeczce i obcisłych biodrówkach, która wręcz otwarcie śliniła się do młodego, ubranego na czarno Cygana. Chłopak był naprawdę przystojny, nawet Lis musiał to przyznać. Ciemna karnacja, czarne, żelowane włosy, szczupły, ale jednocześnie barczysty. Typowy

małomiasteczkowy casanova, zupełnie jak Stefan. Mundek nie musiał sięgać do umysłu amanta, żeby wiedzieć, co w tej chwili chodzi mu po głowie. Mężczyzna zazwyczaj patrzy kobiecie w oczy, Cygan tymczasem nie odrywał spojrzenia od sporego dekoltu, z trudem ukrywającego jędrne piersi dziewczyny.

Naprzeciw tej pary siedział ponury facet, zapewne ojciec, a może ojczym blondyny. Na oko zdrowo po sześćdziesiątce, chociaż sądząc po liczbie kieliszków stojących wokół niego i zważywszy na stosunkowo wczesną porę, niewykluczone, że był znacznie młodszy, niż wyglądał. Obojętnie śledził przebieg romansu rozgrywającego się przed jego oczami, co jakiś czas rozprawiając się z kolejnym wściekłym psem. Za to siedząca obok niego kobieta, lekko nadgryziona zębem czasu damulka, wciąż pozująca na nastolatkę, przyglądała się z lubością namiętym pocałunkom, jakimi Cygan obdarzał dziewczynę pomiędzy łykami taniego wina – dopiero teraz Mundek zauważył, że wszyscy troje piją najpodlejszą sophię.

Całości obrazu dopełniała mała dziewczynka, wierna kopia seksownej mamusi, która biegała wokół ławy jak nakręcona.

Kiedy Mundek zaczął drugie piwo, sześciopak alkoholików oddalił się zgodnie, aczkolwiek bardzo chwiejnie, w kierunku rozgrzanej słońcem ulicy. Idąc ławą, o mało nie stratowali niskiego chłopaka w bejsbolówce i towarzyszącego mu otyłego faceta, którzy właśnie skręcali w bramę.

– O kurwa!

Przekleństwo, wbrew pozorom, nie dobiegło z zacienionego przejścia, wypowiedziała je blondyna, wyplątując się z namiętnego uścisku smągłego zalotnika. Nie wyglądała przy tym na przestraszoną, co najwyżej biła od niej złość. Jej córka, obiegająca chyba po raz setny ławę, z głośnym wrzaskiem rzuciła się w kierunku nadchodzącego knypka. Grubas gdzieś zniknął, chyba poszedł za pijakami.

– Filipek! – zapiszczała dziewczynka, skacząc na wyciągnięte ręce dresiarza. Została tam, trzymając go za szyję, kiedy podchodził do siedzących.

– Siadaj, Filip. – Starsza pani zrobiła mu miejsce. – Ja muszę odholować Zygmunta.

Z wyrazu jej oczu nie wynikało jednak wcale, że ma ochotę kończyć zabawę. Zygmunt także nie dawał się oderwać od siedzenia i kolejnego wściekłego psa, nawet pomimo wysiłków żony. Młodzieniec zignorował oboje, postawił dziecko na ziemi i spojrzał z wyrzutem na blondynę.

– Marta, co ty robisz? – zapytał łamiącym się głosem, zbyt nisko, żeby umknęło

to uwadze Cygana.

– Nic nie robię – odwarknęła dziewczyna, przytulając się do swojego nowego księcia. – O co ci chodzi?

– Kim jest ten facet?

Cygan uśmiechnął się promiennie, Mundek zauważył przy tym, że brakuje mu sporo zębów, choć te, które zostały, były wciąż śnieżnobiałe.

– Siadaj, bracie – powiedział miękko – i wyluzuj.

Filip spojrzał na niego spode łba, ale o dziwo usiadł na miejscu opuszczonym przed kilkoma sekundami przez napranego Zygmunta. Widać było, że cała ta sytuacja boli go jak cholera. Zwłaszcza że blondyna nie przestawała mizdrzyć się do nowego adoratora, robiąc z tego istną pokazówkę.

– Możesz mi wyjaśnić – poprosił w końcu chłopak – dlaczego lepsz się do tego... faceta?

– Kharaw Romek – wtrącił Cygan, siadając wygodniej, a blondyna wpiła się w niego jeszcze mocniej.

– Co?

– Ten facet właśnie ci zakomunikował, że ma na imię Romek – przetłumaczyła.

– Napij się, pogadajmy... – Cygan przysunął do Filipa kieliszek, z którego piła do tej pory starsza kobieta, i nalał do niego ciepłej sophii. Dresiarz spojrzał krzywo na rubinową zawartość kieliszka, potem z wyraźną nienawiścią na swojego rywala, bo chyba taki status zdążył zyskać w jego oczach.

– To jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego się do niego lepsz!

– Daj mi spokój, Filip! – Blondyna wyprostowała się. – Nie jestem twoją żoną.

– Ale... – Chłopak chciał zaprotestować, lecz natychmiast wpadła mu w słowo.

– Zaprowadź Martynkę do domu i nie rób numerów – sięgnęła pod ławę i po chwili postawiła na niej torbę sportową, pewnie z rzeczami dziecka.

– Chyba cię pogięło! – Oczy w cieniu daszka bejsbolówki załśniły złowrogo.

– Luz, człowieku, daj se luz, bo wino rozlewasz. – Cygan znów się wyszczerzył, ale nie był to szczery ani ładny uśmiech.

Mundek zaczął podejrzewać, że ubytki w uzębieniu casanowy powstały w wyniku podobnych zdarzeń. Z jednej strony sytuacja była wręcz komiczna – gdyby opowiedział to Młodemu, ten pewnie by nie uwierzył; z drugiej strony, chłopak puszczone kantem przez blondynę musiał w tej chwili przeżywać istne piekło. Lis zastanawiał się, dlaczego po prostu nie spierze po pysku romskiego księciunia. Na jego

miejscu już dawno by to zrobił.

Telepata spojrział na zegarek i zaklął cicho. Obserwacja lokalnego kolorytu pochłonęła go do tego stopnia, że zapomniał o spotkaniu. Godzina w cieniu minęła jak z bicza strzelił, a on przecież nie mógł się spóźnić. Sięgnął myślami do wnętrza lokalu po kelnerkę, czym oderwał ją od interesującej rozmowy z koleżanką. W czasie gdy regulował należność, w rozgrywce przy sąsiednim stoliku nadal trwał pat.

Lis wstał, młodzieniec w bejsbolówce uczynił to samo, tyle że sekundę później. Razem ruszyli przejściem pomiędzy stolikami do bramy. Mundek czuł ogrom nienawiści i żalu, gotujących się w niskim chłopaku, nie musiał nawet sięgać do jego umysłu, żeby wiedzieć, jak bardzo cierpi. Gdy znaleźli się w mroku przejścia, objął Filipa ramieniem, spojrział prosto w zdziwione piwne oczy i uwolnił go od całego bólu.

* * *

– Panie aspirancie...

– Czego chcesz, Patyk?

– Ja... Wie pan...

– Nie, nie wiem.

Starszy posterunkowy Kijewski nerwowo przygryzł wargę. Wiedział, co chce powiedzieć przełożonemu, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

– No... ja od razu panu aspirantowi mówiłem, że ta Sobolewska to... – urwał, bojąc się, że się zagalopował.

– ... tylko zwykłe kurwiszcze – dokończył spokojnie Filip. – Myślisz, że tego nie wiem?

Grubas stanął jak wryty.

– Co jest? – Aspirant zatrzymał się parę kroków dalej, kiedy zauważył, że idzie sam, i odwrócił się mocno zdziwiony. – Powiedziałem coś nie tak?

– Jeszcze jak – mruknął Kijewski, patrząc spode łba na wracającego aspiranta.

– O co ci chodzi? – Stanęli twarzą w twarz, co wyglądało komicznie, zważywszy na minimum czterdzieści centymetrów różnicy wzrostu.

– No...

– No, mówże!

– Dobra, powiem. – Patyk nabrał w płuca powietrza, jakby zamierzał nurkować, i zaczął mówić bardzo szybko, zapewne chcąc wypowiedzieć wszystko,

zanim nastąpi przewidywana reakcja. – Pan aspirant był taki zakochany w Sobolewskiej. Świata pan za nią nie widział. Darł się pan, jak tylko ktoś zaczynał coś mówić, a przecież wszyscy wiedzieliśmy, że ona latawica jest. I jak pan tam poszedł, to ja zostałem w bramie, bo ona przecież z tym tam, Cyganem na pana oczach się obściskowała, że aż mnie, obcemu, głupio było patrzeć. A potem wyszedł pan z bramy z tym siwym gościem, uśmiechnięty jakby nigdy nic...

Facet w bejsbolówce spoglądał uważnie na swojego podwładnego. Im dłużej słuchał jego przemowy, tym bardziej czuł się nieswojo. Pamiętał wszystko, każdy dzień, każdą chwilę, jaką spędził w towarzystwie Marty, wszystkie upokorzenia, zarówno małe, jak i te większe, które znosił cierpliwie w imię wielkiej, prawdziwej jak mniemał, miłości. I nigdy przed nikim nie przyznał się, ile go to naprawdę kosztowało. Nigdy też nie pozwolił, by ktokolwiek mówił przy nim źle o Marcie. Zaklinał rzeczywistość, cierpiał, a dzisiaj, w dniu, w którym doznał naprawdę wielkiego upokorzenia... Nic. Pełen spokój i luz. Patyk miał rację: mimo że wciąż jeszcze pamiętał błysk kurwików w cygańskich oczach, lubieżny wyraz twarzy swojej byłej – tak, nie bójmy się tego określenia, byłej – nie czuł nic, ani gniewu, ani złości, ani żalu.

– Co powiedziałaś, Patyk? – zapytał, przesuwając czapkę na tył głowy.

– Ja nic... – Starszy posterunkowy już żałował, że się w ogóle odezwał. Zbyt często widział, jak jego szef nerwowo reaguje na jakąkolwiek krytykę swojej pani.

– Czekaj, czekaj, powiedziałaś, że wyszedłem z bramy w towarzystwie jakiegoś siwego gościa... ?

– Tak było. – Grubas przytaknął. – Szczupły, w kapeluszu i białym garniturze. Obejmował pana ramieniem, tak po przyjacielsku, i chyba coś szeptał do ucha.

Filip zmrużył oczy i zacisnął zęby. Nie pamiętał żadnego siwego faceta. Tym bardziej takiego, z którym przed chwilą szedł i rozmawiał, pozwalając na poufałości. Rozejrzał się szybko, lustrując odległy kraniec ulicy. Niestety, wśród nielicznych turystów nie zauważył nikogo pasującego do opisu posterunkowego. Pomyślał chwilę i rzucił okiem na fronton pobliskiej kamienicy. Naprzeciw bramy prowadzącej do knajpy mieścił się bank. Kamera umieszczona nad wejściem mogła zarejestrować wizerunki ludzi opuszczających ogródek.

– Idziemy! – Nie czekając na grubasa, pobiegł w kierunku szklanych drzwi.

* * *

Właściciel tego lokalu miał styl. A jeśli nawet nie on, to dekorator, który zamienił parter jednej z kamienic na Starym Mieście w klasyczny irlandzki pub. Lis usiadł przy dwuosobowym stoliku w głębi, pod ścianą. Tuż pod imitacją denka wielkiej beczki, tak jak się umówili. Sącząc guinnessa z sokiem, rozglądał się po długiej sali i oceniał precyzję wykonania poszczególnych elementów wystroju i ich harmonię. Głęboki brąz dębowego drewna boazerii i równie ciemna zieleń tapet współgrały ze sobą idealnie. Jak przed laty w Dublinie. Nawet muzyka była podobna, folkowe rytmy, trochę elektroniki, piskliwy wokal. Nieświadomie pogładził kciukiem zgrubienia na skórze dłoni. Kilka podobnych lokali wyszło spod jego ręki, ale to było dawno temu, w innym życiu.

Mundek upił kolejny łyk zimnego piwa. W miejscu takim jak to można by poczuć się jak na Szmaragdowej Wyspie, gdyby nie pewien szczegół. Chłodnym, klimatyzowanym pomieszczeniem przeflancowanym na kontynent brakuje duszy. Tego ulotnego składnika, który odróżnia żywego człowieka od martwego ciała. Niby wszystko jest identyczne i na miejscu – o ile nie mamy do czynienia z ofiarą wypadku albo morderstwa – ale wystarczy jedno spojrzenie, żeby odkryć ogromną różnicę. Temu lokalowi brakowało zapachu, jaki wydziela tłum spoconych ciał, zawiesiny tytoniowego dymu pod powałą, gwaru dziesiątek nigdy nie zamykających się ust i brzęku opróżnianego szkła. Był zimny i sterylny, czego nigdy nie dałoby się powiedzieć o prawdziwym irlandzkim *public house*.

– Pan Lis? – Telepata drgnął, zaskoczony pytaniem, które dobiegło zza jego pleców, mimo że beznamiętny głos pasował do klimatu tego wnętrza.

– Tak. – Mundek wskazał krzesło naprzeciwko siebie, nie podnosząc nawet głowy. Karski nie przestawał go zadziwiać. Rutyniarz, musiał przyjść znacznie wcześniej. Lis usiadł tak, by mieć w polu widzenia jedyne drzwi. Wchodząc, sprawdził też w umyśle barmana, że tylne wyjście z pubu jest zamknięte z powodu remontu podwórza.

Szczupły, żyłasty mężczyzna o wroście koszykarza usiadł na wskazanym miejscu. Oczy miał nadal lekko czerwone, dostał na blokadzie naprawdę sporą dawkę gazu. Gdyby nie refleks i deszcz, kto wie, może nie skończyłoby się tylko na trzech dniach zwolnienia.

– Toaleta? – zapytał Mundek, nie kryjąc rozbawienia.

Policjant potwierdził, potem odwrócił się, by przywołać kelnerkę. Niestety żadnej nie było w zasięgu wzroku. Zgodnie z planem.

– Czego się pan napije? – zapytał Mundeck. – Rozumiem, że alkohol nie wchodzi w grę.

– Odrobił pan lekcje, jak widzę. – Karski rzucił szybkie, taksujące spojrzenie na telepatę.

– Staram się być na bieżąco – potwierdził Mundeck. – Jeśli wolno mi zaproponować, na taki upał woda gazowana z lodem i cytryną byłaby w sam raz.

Policjant skinął lekko głową i ponownie się odwrócił, machając ręką na barmana, który na moment wychylił się zza kolumny przesłaniającej bar, by przetrzeć szmatką kontuar. Był tak zaabsorbowany tym zajęciem, że nie zwrócił uwagi na przywołującego go klienta.

– Nie chcę marnować pańskiego cennego czasu – zagaił tymczasem Mundeck – więc przejdę od razu do rzeczy. Jest pan naprawdę niezwykłym człowiekiem, panie Andrzeju, i zależy mi na pańskiej współpracy.

Karski wyprostował się, rezygnując chwilowo ze składania zamówienia.

– Dlaczego uważa mnie pan za kogoś niezwykłego? – spytał, a w jego głosie pojawił się ton podejrzliwości.

– Posiada pan pewien dar... – kontynuował Lis. – Dar, o którym nie ma pan nawet pojęcia.

– Ale pan oczywiście ma o nim pełną wiedzę. – Na twarzy policjanta pojawił się kpiarski uśmiech.

– I tak, i nie – sentencyjnie rzucił Lis, odsuwając się od niewielkiego stolika, by kelnerka mogła postawić przed policjantem szklanekę wody z lodem i cytryną.

– Niezła sztuczka. – Karski odprowadził wzrokiem dziewczynę, która oddaliła się bez słowa, jak automat.

– To nie sztuczka, przyjacielu. – Telepata podniósł kufel, spojrzał na koniczynkę wymalowaną sokiem na pianie guinnessa i upił kolejny łyk ostrożnie, by jej zbyt prędko nie zniszczyć. – Zapewne zadał pan sobie trud i sprawdził, że departament wywiadu, o którym wspomniałem, istnieje naprawdę.

Policjant przytaknął skinieniem.

– Zatem wie pan, że sprawy, o których wspomniałem, nie są wymysłem.

– Wiem, że wykrywalność sprawców przestępstw przy pomocy jasnowidzów i innych... cudotwórców jest minimalna – odparł Karski. – A statystyki nie kłamią.

Lis uśmiechnął się.

– Są kłamstwa, wielkie kłamstwa i statystyki. Pracując w policji tyle lat,

powinien pan doskonale o tym wiedzieć. – Uśmiech zniknął z twarzy telepaty. – To nie żarty, panie Andrzeju. Dzienniki są pełne doniesień o chaosie w kraju. Dla pana to skutek tragicznej katastrofy, dla mnie... – Lis zawiesił na moment głos. – Nie ma co owijać w bawełnę. Kilka dni temu rosyjscy esperzy przeprowadzili bardzo skuteczny atak na władze naszego kraju...

– Pieprzenie, panie kolego. – Karski nie pozwolił Mundkowi dokończyć zdania. – To był wypadek, zwykły, aczkolwiek tragiczny w skutkach wypadek.

Lis odstawił kufel.

– Więc pana zdaniem kilkunastu najważniejszych ludzi w państwie umawia się na tajne spotkanie i superbezpieczny zbiornik z gazem eksploduje w momencie, kiedy wszyscy zebrani wchodzi do najbardziej zagrożonego pomieszczenia?

– Trzy niezależne od siebie komisje ekspertów, badając miejsce zdarzenia, doszły do takich samych wniosków. – Karski kilkakrotnie stuknął wyprostowanym palcem wskazującym w blat stolika. – Nie ma mowy o pomyłce.

– Zgadzam się, że nie zaszła żadna pomyłka – przytaknął Lis i nachylił się do rozmówcy, aby móc ściszyć głos. – Ludzie odpowiedzialni za ten incydent to zawodowcy, zadbali o najmniejsze detale. Członkowie komisji zobaczyli to, co mieli zobaczyć.

– Pieprzenie.

– Prawda. Czysta prawda.

– Próbuje mi pan powiedzieć, że na miejsce... zamachu czy też katastrofy podrzucano dowody mające zmylić ekspertów?

– Niezupełnie...

– Zatem o czym rozmawiamy? – Karski zaczął się niecierpliwić.

– Wie pan, czym jest telepatia? – Lis odpowiedział pytaniem na pytanie.

Policjant spojrzał na niego z politowaniem. Mundek nie po raz pierwszy pożałował, że nie potrafi czytać w jego umyśle ani przesłać mu żadnej wizji. Zwłaszcza to ostatnie znacznie by uprościło sprawę.

– Gięcie łyżeczek wzrokiem?

– Nie – zaprzeczył Lis. – Gięcie przedmiotów wzrokiem to telekineza. Też przydatna umiejętność, nie powiem... Mnie jednak chodziło o czytanie ludzkich myśli. O umiejętność zasugerowania komuś, że widzi coś innego, niż ma przed oczami. O skłanianie ludzi do robienia rzeczy, których nie chcą zrobić, samą siłą woli.

– Wolne żarty! – Karski roześmiał się na głos, zwracając tym zachowaniem

uwagę kilku osób.

– Jak pan zatem wytłumaczy zachowanie kelnerki? – Mundek wskazał na opróżnioną do połowy, wciąż oszronioną szklankę.

– Bardzo prosto – odparł bez wahania policjant. – Magik i asystentka... Kelnerka na dany znak przyniosła mi napój, który zresztą pan mi zaproponował.

– Sceptyk się trafił... – mruknął Lis. – Tak, ma pan rację, panie Andrzeju, mógłbym to zaaranżować w taki sposób. Dobrze, zatem pokażę panu coś innego. Proszę uważać, za chwilę ci dwaj faceci, siedzący przy oknie po prawej, stukną się szklankami. Zrobią to tak mocno, że je porozbijają.

Karski nie obejrzał się od razu, dopiero na dźwięk tłuczonego szkła odwrócił głowę.

– Ja też mam paru kolegów, którzy na dany znak umieliby odegrać małą komedię. Skoro jest pan telepatą, proszę mi powiedzieć, o czym teraz myślę. To powinno mnie przekonać zdecydowanie bardziej niż takie pokazy, nieprawdaż?

Mundek westchnął.

– Nie potrafię tego zrobić. Bardzo bym chciał, ale naprawdę nie potrafię. To kwestia daru, o którym wspominałem, kwestia pańskiej wyjątkowości. Mogę jednak zrobić, cokolwiek pan sobie zażyczy, z pozostałymi osobami na tej sali.

Policjant uśmiechnął się tryumfująco.

– Zatem... – zawiesił na moment głos – proszę sprawić, żeby kelnerka, która nas obsługiwała, podeszła do stolika pod ścianą, przy którym siedzą czterej obcokrajowcy, i pokazała im nagie piersi.

– Nie.

– Dlaczego, przecież to proste zadanie. – Karski pociągnął spory łyk wody przez słomkę. – Widzisz pan, i to by było na tyle w sprawie teleczegoś tam i pańskich możliwości.

Lis przygryzł wargę.

– Widzę – powiedział powoli – widzę, że jesteś zwykłym dupkiem, mój drogi Andrzeju. – Twarz policjanta stężała, ale Mundek kontynuował niezrażony. – Ta kobieta pracuje tutaj od niedawna, za marne dwa kawałki miesięcznie plus napiwki. Zapiardala po czternaście godzin na dobę, żeby zapewnić opiekę dzieciakowi, który zapewne nie zobaczy już nigdy w życiu śniegu, a ty chcesz, żebym kazał jej zrobić coś, co pozbawi ją tak ciężko zdobytej pracy? Chcesz pierdolonego dowodu, zatem wysił swój pusty łeb i wymyśl najbardziej popapraną rzecz, jaka ci przyjdzie na myśl, ale

taką, której wykonanie nikogo nie skrzywdzi. – Ostatnie słowa zabrzmiały naprawdę złowieszczo, zgodnie z intencją Lisa.

Skurwysynem się nie bywa, trzeba się nim urodzić, pomyślał gorzko Mundek. Wciąż miał przed oczami serwetkę, którą ocierał twarz Marysi. Choć minęło już kilka dni, nadal dręczył go ten widok. Spanikował, chciał się ratować za wszelką cenę, ale... Gdyby mógł cofnąć czas...

Karski zagryzł zęby, najwyraźniej miał ochotę wstać i wyjść, dlatego Mundek dorzucił jeszcze jedno słowo, choć z trudem przeszło mu przez gardło.

– Proszę...

– Okej. – Wyraz twarzy policjanta złagodniał nieco. – Dam panu jeszcze jedną szansę... – Zmarszczył czoło. – Spraw pan, żeby wszyscy w tym lokalu zaśpiewali „Harukanę”.

Lisowi opadły ręce.

– Co to jest „Haru-kurwa-kana”?

* * *

Po raz czterdziesty Filip przewinął nagranie wstecz i puścił je w zwolnionym tempie. Kamery ustawiono na schody, ale miała szerokokątny obiektyw i zbierała przy okazji całą ulicę. W tym wylot bramy i mały fragment ogródka piwnego. Poklatkowo wyświetlany obraz pokazywał moment, w którym policjant odszedł od stolika, widać było wyraźnie, że Cygan uśmiecha się tryumfująco za jego plecami, a Marta wbija paznokcie w czarną jak dno piekła koszulę i przyciąga do siebie jej właściciela. Jeszcze lepiej było widać, że Filip znalazł się na krawędzi załamania. Znał siebie, wiedział doskonale, że byłby w stanie zabić gnoja gołymi rękami, i zrobiłby to bez wahania, gdyby nie mała. Nie zasłużyła na dorastanie w tej rodzinie i oglądanie takich widoków...

Dwadzieścia klatek dalej facet w kapeluszu, wyższy o głowę, może nawet więcej, z długimi, siwymi włosami – tak, te włosy były siwe, nie blond, jak z początku myślał – zrównał się z nim w bramie. Przechylił się, objął Filipa ramieniem – przez chwilę patrzyli sobie w oczy jak zakochani, robiąc wspólnie może dziesięć kroków, wystarczająco dużo, by tajemniczy mężczyzna zdążył wyszeptać mu coś do ucha. Coś czego nie pamiętał, ale ledwie wyszli z półmroku arkady, Filip nie był już tym samym człowiekiem. Odzyskał wigor, podniósł głowę. Nawet krok miał sprężysty, jak rzadko

kiedy. I uśmiech na twarzy.

– Kim jesteś, cwaniaczku? – Aspirant cofnął nagranie o kilka klatek i zatrzymał ujęcie, na którym nieznajomy zaczyna się oddalać. Powiększył twarz ukrytą pod szerokim rondem kapelusza. Teraz wypełniała cały ekran monitora. Szczupła, ascetyczna, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Na bladej skórze ledwie było widać krótko przyciętą hiszpańską bródkę.

– Panie aspirancie! – zza przepierzenia wychynęła głowa Patyka. – Mamy gościa!

Filip odsunął się od monitora i obrócił na krześle. Przed chwilą zagonił do roboty całą centralę monitoringową Śródmieścia. Sto czterdzieści kamer obserwowało nieustannie każdą ulicę w promieniu czterech kilometrów od baru w Spiżowej Bramie. Im dalej od centrum, tym sieć była rzadsza, ale mimo to obejmowała wszystkie kluczowe skrzyżowania, dworce, przystanki, szpitale, szkoły oraz urzędy. Kimkolwiek był tajemniczy mężczyzna, każdy jego krok po Starym Mieście musiał zostać uwieczniony. Kwestią czasu było odtworzenie trasy, jaką przebył po opuszczeniu ogródka piwnego. Kwestią szczęścia – namierzenie go w którymś z kluczowych punktów. I nad tym zadaniem ślęczało sześciu z ośmiu pracujących na tej zmianie techników.

* * *

– Skończmy te gierki, panie Lis. – Karski dopił wodę, przeczesał dłonią włosy i wstał. – Dałem panu szansę pomimo idiotyzmów, które pan wygaduje, a zrobiłem to tylko dlatego, że sprawdziłem pańskie akta z czasów, kiedy pracował pan dla komendy stołecznej jako... ehm... medium. Chociaż prawdę mówiąc, znam wielu zwykłych gliniarzy, którzy bez tego całego hokus-pokus mieli znacznie większą wykrywalność niż pan.

– Nic dziwnego. – Lis westchnął. – To była robota dla jasnowidza, a ja jestem tylko telepatą.

– Do widzenia. – Policjant odwrócił się i... zmarł.

Czas przestał istnieć we wnętrzu olsztyńskiego pubu.

Dłoń skamieniałego barmana spoczywała na wyłączniku starego wzmacniacza, jedna z kelnerek zastygła ze szklanicą piwa w dłoni nad stolikiem, przy którym trzej rozbawieni młodzieńcy zmarli w pozach wyrażających wielki wybuch radości. Reszta

klientów także wyglądała, jakby przeniesiono ich tutaj z gabinetu figur woskowych.

– Nie umiemy się poddać... ? – Karski podszedł do staruszka trzymającego przy ustach szklankę jabłecznika i zamachał mu dłonią przed oczami. Nie zauważył żadnej reakcji. Pochylił się i wykonał niezwykle szybki ruch, jakby zamierzał uderzyć siedzącego w twarz, ale zastygł w bezruchu oblicze mężczyzny pozostało martwe. Nawet źrenice nie zareagowały na zmianę oświetlenia. Ręka, w której dziadek trzymał szklankę, nie dała się odgiąć, mimo że antyterrorysta użył w pewnym momencie całej swojej siły.

– Nie wiem, jak pan to zrobił – powiedział, odwracając się do Lisa – ale...

– To nie jest sztuczka, panie Andrzeju. – Telepata uśmiechnął się znacząco. – Proszę wrócić do stolika, nie powinienem ich wyłączać na tak długo...

Karski posłusznie wykonał polecenie, nie spuszczać jednak oka z sali. Ledwie spoczął na krześle, szmer rozmów znów wypełnił wnętrze pubu. Nie obeszło się bez kilku drobnych problemów. Kelnerka uderzyła szklanką o stół tak mocno, że szkło trzasnęło jej w dłoni, a bursztynowy płyn ochlapał trójkę rozbawionych facetów, potęgując zresztą ich śmiech. Staruszek, którego sprawdzał policjant, krzywiąc się z bólu, odstawił swoje piwo, aby rozprostować rękę.

– Nie chciałem tego robić – powiedział Mundek. – Takie pokazy nie tylko sprawiają ludziom ból, ale są też niebezpieczne. – Wyciągnął rękę i odebrał płytę DVD od milczącej kelnerki, która pojawiła się jak duch obok stolika. – Pomieszczenie jest monitorowane przez trzy kamery – wyjaśnił zdumionemu rozmówcy. – Nie powinniśmy zostawiać takich śladów.

Karski przełknął głośno ślinę i sięgnął po swoją szklankę. Niestety była już pusta.

– Wracając do tematu... – kontynuował Lis. – Mam nadzieję, że ten pokaz uświadomił panu, że nie jestem oszołomem... – przerwał, pozwalając, by kelnerka bezszelestnie postawiła nową wodę przed policjantem. – Ostatnio współpracowałem ze ściśle tajną jednostką ABW, w której skład wchodziło kilku ludzi posiadających zdolności parapsychologiczne.

– Jest więcej ludzi takich jak pan?

– Takich jak my – poprawił go Lis.

– Przecież ja nie mam żadnych zdolności! – Andrzej zamachał rękami w geście żywiołowego zaprzeczenia.

– Owszem, ma pan.

– Może zatem podzieli się pan ze mną wiedzą o moich rzekomych supermocach?

– Chętnie... – Lis uśmiechnął się, pokazując jeden palec. – Rzekłbym, że pańska moc jest kluczowa dla naszej sprawy. Jest pan dla mnie niewidzialny. – Zdumienie Karskiego świadczyło, że sformułowanie nie jest ani jasne, ani trafne. – Oczywiście nie w fizycznym słowa rozumieniu – dodał szybko Mundek, chcąc zatuszować złe wrażenie. – Widzę pana doskonale, ale jako telepata nie jestem w stanie wykryć pańskiej obecności. Gdyby było inaczej, wiedziałbym o pańskiej obecności w toalecie przed spotkaniem i mógłbym odpowiedzieć na pytanie o treść myśli. Ale to nieistotne w tej chwili, wracajmy do tematu rozmowy. Musi mi pan uwierzyć, że w Konstancinie nie doszło do wypadku. Nie mam żadnego materialnego dowodu na potwierdzenie tej tezy, ale bez względu na to co stwierdzą kolejne komisje, mamy do czynienia z zaplanowaną zbrodnią. Z zamachem stanu... – Mundek zawiesił głos. – Wiem o tym, ponieważ sam znalazłem się na liście osób do odstrzału i tylko cudem przeżyłem konfrontację z rosyjską agentką, która przeniknęła do naszego oddziału.

Karski spoglądał na telepatę z przerażeniem w oczach. Prawda powoli przesączała się do jego umysłu. Lecz na razie racjonalny umysł nie potrafił jej zaakceptować.

– Mówi pan rzeczy niewiarygodne...

– Robię rzeczy niewiarygodne – przerwał mu Lis. – Jedną z nich widział pan przed chwilą. Świat nie jest taki prosty, jak zdaje się większości ludzi.

* * *

– Bingo! – Filip porównał godziny na zegarku i timerze, po czym odwrócił się do technika siedzącego przy monitorze, na którym siwowłosa mężczyzna w kapeluszu wchodził właśnie do pubu na Starym Mieście. – Dwadzieścia sześć minut... Bronuś, przewiń teraz szybko nagranie i sprawdź, czy ptaszek nam nie wyfrunął. A ty – wskazał Kijewskiego – dzwoń po chłopaków. Chcę mieć za pięć minut na Staromiejskiej dwa zespoły. Pod bronią. Zamykają teren od strony Zamkowej i Staszica.

Starszy posterunkowy kiwnął głową i wyjął z kieszeni marynarki służbową komórkę. Filip uśmiechnął się pod nosem. Sieć wokół nieznanego zaciskała się

powoli, lecz nieubłaganie.

* * *

Karski sączył resztki wody spomiędzy kostek lodu. To, co usłyszał w ciągu ostatnich kilku minut, przypominało mu raczej treść filmu sensacyjnego albo wręcz science fiction niż relację z prawdziwych wydarzeń. Nie pozbył się jeszcze wszystkich wątpliwości, ale opowieść telepaty miała ręce i nogi, jeśli przyjąć założenie, że esperzy faktycznie istnieją – a w świetle pokazu sprzed chwili nie sposób było negować ich istnienia.

– ... rozumie pan teraz, że oficjalnie nie możemy iść z tym do nikogo. – Lis dokończył szczegółowe sprawozdanie z minionych dni. Oczywiście z pominięciem paru mniej istotnych szczegółów, jak na przykład zadyma na blokadzie, które mogły źle wpłynąć na ogląd całej sytuacji.

– Rozumiem – przytaknął policjant.

– Umówmy się więc... – Mundek wyjął z kieszeni koszuli kartkę papieru i położył ją na stole przed Karskim. – Nie będę na pana dzisiaj naciskał. To nie jest łatwa decyzja i zdaję sobie z tego sprawę. Proszę jednak pamiętać, że nie mamy zbyt wiele czasu. Jeśli się nie mylę, ekipa rosyjska w chwili obecnej rozpracowuje nasze banki danych i przygotowuje się do czegoś grubszego. Znacznie grubszego. Może przesadzam, ale kto nam zaręczy, że nowy premier nie będzie marionetką w ich rękach?

Karski milczał. Jakkolwiek fantastycznie by brzmiały słowa jego rozmówcy, pośród chaosu, który zapanował w kraju po katastrofie rządowej, wszystko mogło się zdarzyć.

– Oto lista rzeczy niezbędnych do wykonania naszego planu. – Mundek przesunął kartkę o centymetr. – Jak pan sądzi, ile czasu zajmie załatwienie wszystkiego?

Policjant podniósł kawałek papieru i uważnie się przyjrzał kilkunastu liniJKom tekstu. Nie odpowiedział od razu, Mundek zdążył pociągnąć jeszcze jeden, całkiem spory łyk guinnessa, tym razem koniczynka na cienkiej już warstwie piany nie zdołała przetrwać w stanie nienaruszonym.

– Dokumenty to pestka, będę je miał za dwa, góra trzy dni – powiedział w końcu Karski. – Co do ludzi, moi chłopcy mogliby spokojnie wykonać takie zadanie,

pomysł z ćwiczeniami nie jest głupi, chociaż...

– W odróżnieniu od pana nie będą niczego pamiętali, zaręczam.

– A co z ewentualnymi rannymi? – Karski już zadając to pytanie, zrozumiał, że przy asyście uzdrowiciela rany odniesione podczas wałki nie powinny być problemem, ale pozostawała kwestia, na którą ani Lis, ani niejaki Młody nie mieli wpływu. – A co z ewentualnymi ofiarami? Wymaże pan zabitych chłopaków z pamięci całego plutonu? Zdejmie ich pan ze stanu osobowego komendy? Zważywszy na to, z kim będziemy mieli do czynienia, ta akcja może być sto razy trudniejsza niż Magdalenka.

– Mówiąc szczerze, plan nie zakłada bezpośredniego kontaktu... – Mundek przerwał, widząc zwątpienie w oczach rozmówcy. – W razie ofiar śmiertelnych będziemy musieli sfingować wypadek.

– Z karabinu snajperskiego trudno się postrzelić w potylicę...

Telepata po raz kolejny pożałował, że nie potrafi przeniknąć do umysłu Karskiego.

– Panie Andrzeju, to jest wojna – powiedział najspokojniej, jak potrafił. – Pieprzona tajna wojna, o której nikt poza nami nie może się dowiedzieć, a jej stawką jest niepodległość Polski. Naszej ojczyzny. Ja jestem laikiem w kwestiach militarnych, ale pan może zaplanować akcję tak, żeby ograniczyć ryzyko do minimum. Jeśli jednak dojdzie do najgorszego...

– Rozumiem. Medali ani rent nie będzie.

– Facet od rozdawania medali zostanie jutro pochowany na Powązkach, i to z salutem armatnim, a jego następcą, jeśli nie podejmiemy odpowiednich działań, może za kilka tygodni przyznać odznaczenia tym, którzy posłali poprzedniego premiera do piachu. Co do kasy, proszę się o nią nie martwić. Daję słowo honoru, że żaden z pana ludzi nie zostanie na lodzie, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Jest jeszcze coś... Z bronią krótką nie ma problemu, ale...

– Proszę mówić śmiało – zachęcił Lis, widząc zakłopotanie policjanta.

– Obawiam się, że nie będziemy mogli skorzystać z broni służbowej podczas tej akcji. O ile urlopu kilku chłopaków być może nikt nie skojarzy, to połączenie wypisania broni snajperskiej ze strzelaniną... Równie dobrze możemy nakręcić relację wideo dla telewizji.

– Rozumiem. – Telepata pokiwał głową. – To jest faktycznie spory problem...

– przerwał nagle i rzucił szybkie spojrzenie w stronę witryny.

Karski nie zwrócił na to uwagi, wciąż studiując treść kartki.

– Prawdę powiedziawszy – wykorzystał przedłużający się moment ciszy – nadal mam nadzieję, że obudzę się złany potem we własnym łóżku, a wszystko to okaże się tylko sennym koszmarem...

– Nie ma takiej możliwości, nie jesteśmy w „Matriksie”. – Lis położył na stole komórkę. – To zupełnie nowy telefon. Nieużywany, więc nie do namierzenia. Zadzwoń za dwa dni, równo o dwunastej, i podam miejsce spotkania. Proszę do tego czasu podjąć decyzję i nie kłopotać się bronią. Chyba znalazłem rozwiązanie wszystkich naszych problemów...

* * *

Jeden krok za drzwi wystarczył, by Lis wpadł w objęcia straszliwego żaru lejącego się z bezchmurnego nieba. Uderzenie gorąca było bardziej obezwładniające niż profesjonalny chwyt, którym unieruchomili go dwaj krótko ostrzyżeni mężczyźni w bładniebieskich koszulach z krótkim rękawem i drogich, choć tandetnych okularach przeciwsłonecznych. Zwłaszcza że wykręcając ręce, stracili mu z głowy kapelusz i słońce wręcz oślepiło telepatę.

– Policja! – Jeden z napastników zamachał przed oczami przechodniów odznaką, drugi w tym czasie pociągnął łańcuch kajdanek, zmuszając zatrzymanego do mocniejszego schylenia pleców.

Kątem łzawiącego oka Mundek zauważył, że paru innych, podobnie wyglądających mężczyzn zniknęło we wnętrzu pubu. W tym momencie tylko trzech gliniarzy ubezpieczało więźnia. Stali wokół niego z bronią gotową do strzału i rozglądali się nerwowo.

– Pan pójdzie z nami – powiedział grubas, w którym telepata rozpoznał człowieka niedawno widzianego w bramie przy ogródku piwnym, i popchnął wciąż pochylonego Lisa w kierunku krawężnika. Ruch samochodowy na deptaku był zakazany, ale gliniarzom zakazy nigdy nie przeszkadzały. Sami je przecież ustanawiali. Na gest grubasa zza najbliższego rogu wyjechał nowiutki służbowy opel z kogutem przyczepionym magnesem do dachu. Zdezorientowani ludzie pierzchali przed autem na boki, gdy kierowca nie zwracając na nich uwagi, z piskiem hamował na wyslizganym bruku. Telepata zignorował gniewne okrzyki. Głowę zaprzętał mu inny problem, którego nie przewidział. Wielu turystów miało ze sobą kamery i aparaty fotograficzne. Niemal wszyscy robili zdjęcia. Tych z najbliższej okolicy szybko zneutralizował, ale

pozostawali ludzie w tłumie, filmujący zajście z oddali. Czuł, że nie zdołał przeszkodzić wszystkim.

Na szczęście cała akcja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund. Po tym czasie Mundek znalazł się pomiędzy dwoma policjantami na tylnym siedzeniu samochodu. Ruszyli ostro, skręcając w pierwszą przecznicę, jeszcze zanim zamknęły się drzwi.

– Mamy go! – z nieukrywaną dumą zameldował do radiotelefonu grubas, ledwie rozsiadł się wygodnie obok kierowcy. Zachowywał się, jakby dowodził oddziałem komandosów, choć w rzeczywistości był jedynie chłopcem na posyłki mało znaczącego podoficera.

– Mogę wiedzieć, za co zostałem zatrzymany? – zapytał Lis z czarującym uśmiechem na twarzy.

– Nie. – Krótkiej odpowiedzi grubasa miało towarzyszyć szybkie uderzenie na wątrobę, ale funkcjonariusz, który zamierzał je wykonać, nagle stracił ochotę na bicie kogokolwiek. Prawdę mówiąc, nic go teraz nie interesowało.

Telepata wyłączył na wszelki wypadek także drugiego z pilnujących go gliniarzy, a potem jęknął na tyle głośno, żeby usłyszano go w pierwszym rzędzie.

– Jedź na Wojska Polskiego – powiedział Kijewski do kierowcy, odkładając mikrofon. Kontemplując swoją ważność, nie zwracał uwagi na tył samochodu. I dobrze. Tym sposobem oszczędził telepacie roboty. Mundek nie zamierzał na tym etapie ingerować w umysł Pawła Skórzyńskiego, człowieka prostego, lecz oddanego pracy w policji duszą i ciałem. Obce miasto, duża prędkość przy tym natężeniu ruchu... nagle przejście umysłu kierowcy aż prosiło się o wypadek.

– Przecież mieliśmy go zrzucić na dołek w komendzie... – zaprotestował Skórzyński, zazwyczaj jeżdżący w konwoju. Irytowała go dynamicznie rozwijająca się sytuacja, tak odmienna od znanej mu dobrze rutyny. W ciągu szesnastu lat służby ani razu nie spóźnił się do aresztu, sądu albo więzienia. I nigdy nie zmienił wcześniej ustalonej trasy. Cud mniemany, zważywszy na remonty dróg i inne nieprzewidziane okoliczności. A może tylko wyidealizowany obraz wspomnień...

– Jak mówię jedź, to jedziesz – zgasił go Patyk. – Myślenie zostaw mądrzejszym.

No i pojechali. Radiowóz na sygnale zmienił ostro pas ruchu i mknąc pod prąd, wyprzedził płynnym ruchem napakowany turystami autobus zmagający się od dłuższej chwili z blokującą jezdnią śmieciarką. Mundek podkręcił nieco strach Kijewskiego, grubas zapiszczał nerwowo na widok zbliżających się szybko świateł. Posterunkowy

Skórzyński słysząc te dźwięki, poczuł spore zadowolenie, najwyraźniej nie akceptował władczej pozy grubasa. Nie chciał jednak zadzierać z jego szefem, aspirantem Dzikim. Lis natychmiast skojarzył nazwisko z odnotowanym w pamięci grubasa facetem w czapce bejsbolowej. Przypomniał też sobie inne wiadomości na jego temat. Nie było ich wiele, ale parę należało do kategorii wysoce interesujących.

Wystarczyła minuta, by Mundek poznał przeciwnika i jego zamierzenia – mógł zatem rozpocząć przygotowania do zakończenia tej komedii. Właśnie zbliżali się do sporego skrzyżowania, wciąż mieli zielone światło, ale że paliło się już od dłuższej chwili, Skórzyński zaczął hamować, spodziewając się lada moment lawiny samochodów, których kierowcy, nie widząc zza drzew radiowozu, mogli ruszyć z przecznicy zaraz po pomarańczowym. Lis w głębi duszy pochwalał jego ostrożność, rozum jednak podpowiadał mu coś wręcz przeciwnego. Skorzystał więc z ust Kijewskiego.

– Zdażymy, dociśnij. – Grubas zachęcił kierowcę, opierając się prawą ręką o półkę.

Dojechali na odległość dwudziestu metrów od przejścia dla pieszych, kiedy zapaliły się pomarańczowe światła. Kierowcy stojący na Rataja powinni już widzieć rozbłyski koguta i słyszeć syrenę. A jednak nie zareagowali, ku zdumieniu policjantów. Ruszyli, zanim jeszcze zapaliło się zielone, i to całą ławą. Skórzyński depnął na hamulec, klnąc na czym świat stoi, i odbił w prawo, ocierając się o koniec zderzaka furgonetki stojącej na światłach. Chciał lekko ściąć zakręt. Słusznie kalkulował, że tym sposobem zyska kilka metrów i ułamków sekundy na wytracenie pędu przed nieuniknionym zderzeniem z granatowym volvo. Kobieta prowadząca masywną szwedzką limuzynę wpatrywała się w konsolę wozu, ignorując całkowicie stalowy pocisk na kołach z pięcioma wrzeszczącymi facetami w środku. Do końca na jej twarzy, a także w duszy malował się idealny spokój wzmocniony siłą telepatii i kojącymi dźwiękami „Czterech pór roku”.

Skórzyński był dobrym kierowcą, prawdziwym zawodowcem, ale cudu nie mógł dokonać. Manewr ze skretem ocalił radiowóz przed kasacją, co zważywszy na różnicę w masie samochodów, a także prędkość opla, skończyłoby się tragicznie dla wszystkich pasażerów. Wóz trafiony z boku przez volvo z pewnością by przeokoziłkował, sunąc potem przez skrzyżowanie wprost ku ławie ciężarówek i dostawczaków ruszających z pasów ruchu po prawej. Kijewski widział wszystko oczami wyobraźni Skórzyńskiego. Mundek zadbał o to, by żaden szczegół wizji, jaką

roztoczył umysł kierowcy, nie umknął przerażonemu grubasowi. Włączył też percepcję chłopców z eskorty, uznając, że nie powinni tracić najlepszego kawałka zabawy. Sam krzyczał razem z nimi, ale nie ze strachu, raczej z ekscytacji, jak kiedyś, podczas pierwszej jazdy najwyższym w Europie rollercoasterem w parku rozrywki koło Dublina.

Opel zdołał skrócić o jakieś siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt stopni, zanim uderzył w bok majestatycznie poruszającego się volvo. Najpierw błotnikiem walnął w przestrzeń pomiędzy przednim kołem a drzwiami pasażera, potem z impetem przytulił się na całej długości do granatowej karoserii. Szarpnięcie towarzyszące uderzeniu było gwałtowne, ale o wiele słabsze, niż się spodziewał Lis. Zgrzyt miażdżonej blachy zagłuszył na moment wrzaski policjantów, nawet wystrzały bocznych poduszek powietrznych zabrzmiały przy nim wyjątkowo głucho. A potem nastała cisza. Wozy rozdzieliły się. Zadławione silniki przestały pracować, zachrypnięci mężczyźni umilkli...

Radiowóz przejechał kilka metrów równo z volvo, następnie uderzył prawym przednim kołem w wysoki krawężnik, podskoczył, rzucając pasażerami o podsufitkę, i zatrzymał się na słupku sygnalizacji świetlnej. Drugi uczestnik karambolu toczył się powoli dalej, łagodnym łukiem przejechał po pasach i zatrzymał się daleko za nimi, oparty przednim zderzakiem o wysoki krawężnik.

– Jezus, Maria – jęknął Kijewski i przeżegnał się szybko. Jako pierwszy opuścił też samochód. Faceci z eskorty poszli w jego ślady, na szczęście tylne drzwi po lewej, po kilku mocnych szarpnięciach, dały się otworzyć, tylko Skórzyński nie miał tyle szczęścia, co jego koledzy. Musiał gramolić się na drugą stronę przez szeroką konsolę z zamontowanym w niej shotgunem i drażkiem dźwigni zmiany biegów. Przednia część karoserii została uszkodzona najmocniej właśnie od strony kierowcy, słupek był lekko wgnieciony, a drzwi, wciśnięte na dobre pięć centymetrów do wnętrza kabiny, zaklinowały się na amen.

Mundek kluczami, które odebrał jednemu z gliniarzy zaraz po wyłączeniu, spokojnie rozpiął kajdanki i wysiadł z rozbitego wozu. Wyjął z kieszeni papierosy i zszedł z ulicy prosto w grupkę gapiów stojących za niską metalową barierką. Poprosił o ogień cuchnącego piwem mężczyznę w podartym dresie i stanął obok niego, w pierwszym szeregu wciąż rosnącego tłumu. Dłuższą chwilę kontemlował nabożne milczenie Skórzyńskiego, który oglądał uszkodzenia samochodu, jakby wciąż nie wierzył, że jego błyszczące służbowe cacuszko jest już tylko kupą złomu, potem

przeniósł wzrok na volvo, przy którym pozostała trójka wyklócała się z Bogu ducha winną kobiecina, strasząc ją na przemian odznakami i bronią.

– Psy – rzucił ni stąd, ni zowąd facet w dresie, a na jego nieogolonej, przepitej twarzy pojawił się wyraz głębokiej pogardy.

* * *

– Co to za zbiegowisko? – Filip pochylił się w stronę przedniej szyby wozu, widząc spory korek przed skrzyżowaniem.

– Wypadek, panie aspirancie – poinformował go kierowca i włączył migacz, żeby zjechać na prawy pas, z którego mogli skrócić w Wojska Polskiego. Zwolnili, jak reszta kierowców przed nimi. Cholerny nawyk, pomyślał aspirant, niemal każdy pajac za kierownicą musi przyhamować mijając miejsce wypadku, jeśli nawet znajduje się na innej jezdni, byle tylko ponapawać się widokiem świeżej krwi, rozwłóczonych flaków i sponiewieranego złomu.

Nowiutkie volvo H80 stało w poprzek ulicy, dotykając zderzakiem krawężnika. Z tej strony nie było widać żadnych uszkodzeń. Niska, zasuszona, ale nieźle odpicowana staruszka, zapewne uczestniczka kolizji, wymachiwała rękami, co chwilę chwytając się za głowę. Obok niej Filip zauważył zwałistą postać wysokiego grubasa, wypisz, wymaluj Patyka...

– Szlag, to nasi! – Kierowca zahamował w momencie, gdy Dzik otwierał usta, by poprosić o zawrócenie.

Aspirant nie czekał, otworzył drzwi i wysiadł z radiowozu prosto na ulicę. Ruszył biegiem pomiędzy stojącymi na światłach samochodami, przedostał się przez wąski pas zieleni i o mało nie wpadł pod pordezwiąłał sierzę, która precyzyjnie się po krawężniku za tylnym zderzakiem volva i tym sposobem wyrwała z korka.

– Baran! – ryknął Filip w kierunku rzęcha oddalającego się w chmurze siniego dymu.

– Panie aspirancie – Kijewski wyprężył się przed przełożonym jak na defiladzie – melduję, że...

Dzik minął go obojętnie, podobnie jak zapowietrzoną staruszkę, i rzucił okiem na opla. Skórzyński usiłował właśnie włożyć głowę pomiędzy rozharataną felgę a pogniecione nadkole. Nie to jednak przykuło wzrok aspiranta. Fakt, że kierowca usiłuje popełnić tak wyszukane samobójstwo na oczach tłumu, był niczym w

porównaniu z widokiem pustego wnętrza wozu.

– Gdzie on jest?! – ryknął, wskazując na rozbity samochód.

– Z ty... – Patyk zdążył się z nim zrównać, właśnie podnosił rękę, żeby pokazać, gdzie zostawili skutego mężczyznę, kiedy dotarło do niego, że radiowóz jest kompletnie pusty. – Przecież Racewicz przykuł go do pałaka... – jęknął spocony posterunkowy. – Dopiero co go widziałem. Łukasz, Tomek, mieliście pilnować drania! – krzyknął na wyklócających się z babcią policjantów.

– Ty miałeś go pilnować, nie oni. – Dzik zrobił wymach, żeby kopnąć we wrak, ale w ostatniej chwili zreflektował się, widząc nogi Skórzyńskiego wystające zza zerwanego zderzaka. Nie miał zamiaru pogarszać sprawy. – Przepytajcie gapiów, ale szybko! Może ktoś widział, w którą stronę się oddalił.

Kijewski zasalutował i pobiegł niezdarnie w kierunku stojących przy pasach ludzi. Pozostali policjanci, ku zgrozie staruszki, ruszyli za nim.

Filip stanął na krawężniku i wyjął z kieszeni paczkę gumy do żucia. Nie pił, nie palił, czymś musiał uspokoić nerwy, a nosiło go w tej chwili jak cholera. Czuł się jak wulkan tuż przed wybuchem. Dziwny człowiek o włosach białych jak śnieg zakpił z niego w biały dzień. Ale to nie koniec, mój panie, pomyślał Dzik, pakując do ust trzy drażetki gumy rozpuszczalnej na raz. O, nie. Udało ci się uciec, ale mam twojego kumpla z pubu. Wiem, że zadzwonisz do niego za dwa dni. A kiedy umówicie się na kolejne spotkanie, będziemy na ciebie czekali. Może i umiesz mącić ludziom w umysłach, ale tym razem nie wywiniesz się tak łatwo. Będziemy gotowi na każdą ewentualność... Nagle oczami wyobraźni ujrzał głowę mężczyzny w białym garniturze na przecięciu linii celownika. Tak, to może być idealne rozwiązanie naszego problemu.

Zamęt na rogu, gdzie każdy z gapiów otaczających trójkę policjantów wskazywał ręką w inną stronę, przestał go irytować. Dzisiejsza porażka zupełnie się nie liczyła. Ot, drobne potknięcie na drodze do sukcesu. Kolejne ruchy szczęki i łagodny smak mięty zaczął działać kojąco na nerwy Filipa Konrada Dzika. Ciśnienie w kraterze z każdą sekundą malało.

– Pan jesteś naczelnikiem tych bydlaków, którzy rozbili mi auto? – zadanemu piskliwym tonem pytaniu towarzyszyło celne i mocne szturchnięcie kościstego palca w nerkę.

Tego południa, na obrzeżach Olsztyna, doszło jednak do erupcji wulkanu...

* * *

– Jest pan punktualny – powiedział Lis, wstając od stolika. – To mi się podoba.

Przywitali się jak starzy znajomi, podając sobie dłonie, ale bez zbędnej wylewności. Woda mineralna, gazowana i z cytryną, już czekała na stole. Kostki lodu nie zdążyły się nawet nadtopić.

– Tym razem zamówiłem ją bez tego całego hokus-pokus. – Lis uśmiechnął się, widząc minę policjanta. – Za dużo tutaj ludzi, za dużo kamer, żeby kombinować.

Karski podniósł szklankę i upił spory łyk, pół godziny jazdy w ścisku rozgrzanego do czerwoności autobusu robiło swoje, nawet w wypadku zahartowanego komandosa.

– Jaka jest pańska decyzja, inspektorze? – zapytał po dłuższej chwili milczenia Mundek. Niemożność wysondowania umysłu rozmówcy drażniła go bardziej, niż chciał przyznać.

Zapytany nerwowo przygryzał wargę, widać było, że i dla niego ta rozmowa nie jest łatwa. A to zwiastowało kłopoty.

– To trudna decyzja – wydusił wreszcie.

– Trudna – przyznał Lis. – Ale miejmy ją wreszcie za sobą, jakakolwiek jest.

Policjant westchnął i sięgnął ponownie po szklankę. Tym razem pił dłużej, małymi łykami, w przerwie odłożył słomkę na bok.

Zachowuje się, jakby chciał zyskać na czasie, pomyślał Mundek. Zmrużył oczy, skupił się na otoczeniu, najpierw najbliższym, potem usiłował sięgnąć najdalej jak to było możliwe, jednakże wyłowienie ewentualnych zagrożeń z tak wielkiego natłoku myśli przekraczało jego zdolności. Po raz drugi od przemiany poczuł się naprawdę nieswojo.

– Nie wchodzę w tę akcję – powiedział Karski, ledwie odjął prawie pustą szklankę od ust.

– Nie wchodzi pan? – powtórzył bezwiednie Lis. – Tak po prostu?

– Tak.

– Szkoda, naprawdę szkoda... – Telepata wprawdzie spodziewał się takiej odpowiedzi, ale zachowanie policjanta nie dawało mu spokoju. – Czy coś jest nie tak? – zapytał.

– Nie. – Ton odpowiedzi nie wydawał się całkowicie szczerzy.

– Jest pan strasznie spięty. – Mundek postanowił iść za ciosem.

– Dla pana, panie Lis, te wszystkie tele-morele są zapewne czymś normalnym –

odparł Karski po chwili zastanowienia. – Ale ja mam żonę, dwoje dzieci, pracę, którą lubię. Decyzja na tak mogłaby mnie kosztować więcej, niż pan potrafi sobie wyobrazić.

– Domyślam się. Ale może mi pan wierzyć, nie oszukałem pana ani jednym słowem. – Telepata podniósł dwa palce, jak do harcerskiej przysięgi.

– Wiem.

Tak kategoryczne stwierdzenie zaskoczyło Mundka.

– Wie pan?

– Tak... – Karski dopił wodę jednym łykiem. – Wiem. I dlatego... Myślę, że pan też powinien o czymś wiedzieć... – Lis wyczuł w głosie Karskiego dziwną nutę. Niebezpieczną nutę.

– Powiedział pan komuś o mnie?

Policjant zaprzeczył ruchem głowy. Nie patrzył już jednak w oczy Mundkowi.

– Wystawiłeś mnie? – zapytał telepata z wyraźnym niedowierzaniem, rzucając ukradkowe spojrzenia na przetaczający się obok stolików tłum.

– Spokojnie, panie Lis. – Kiedy Karski w końcu podniósł wzrok, w jego oczach był tylko wielki smutek. – Nie ma pan powodu do obaw. Nic panu nie grozi, przynajmniej nie z mojej strony. Nie powiedziałem nikomu o panu sensu stricto. Wczoraj skontaktowałem się z dawnym kolegą, kiedyś służyliśmy razem w Gromie. Tomek robił ostatnio za szycę u borowików. Miał sporo znajomości i układów w stolicy. Poprosiłem go o ciche sprawdzenie kilku faktów i dowodów, ale słowem nie wspomniałem o pańskim planie.

– Jakich dowodów?

– Tych, które badały komisje – odparł Karski. – Wiem, wiem, zaraz pan powie, że widziałem na własne oczy, co może zdziałać teleki... patia, ale zobaczyć i uwierzyć to dwie różne sprawy.

– Gdyby wszyscy mieli takie podejście do rzeczywistości jak pan, nie musielibyśmy dziś walczyć o utrzymanie Euro... – Lis westchnął, gdyż właśnie dotarło do niego, że kryzys polityczny może ostatecznie przekreślić szanse na polubowne załatwienie sprawy z UEFA. – Jak się domyślam, kolega dotarł do czegoś ciekawego.

– Źle się pan domyśla.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że...

– Nie chcę, ale powiem. Dzisiaj rano, gdy zadzwoniłem do Warszawy, dowiedziałem się, że Tomek... Ponoć zaśląbł za kierownicą, uderzył czołowo w filar wiaduktu. Zaledwie dwie godziny po naszej rozmowie. W drodze powrotnej z

prokuratury. Facet był zdrowy jak tur... a teraz leży na OIOM-ie w stanie krytycznym. Praktycznie rzecz biorąc, warzywo.

Lis skrzywił się; jeśli Karski dobrze ocenia sytuację, nawet Młody niewiele zdziała. Choć z drugiej strony...

– Mówiłem, że mamy do czynienia z zawodowcami.

– Rozumie pan teraz, dlaczego nie chcę ryzykować? – zapytał policjant.

Mundek spojrzał prosto w oczy Karskiego, to był jedyny sposób, żeby wejrzeć w czyjąś duszę. Przynajmniej dla ludzi, którzy nie posiadali daru telepatii. Jeśli antyterrorysta posiadał kiedykolwiek choć odrobinę litości, tego dnia wyparowała bezpowrotnie z jego serca. Za błękitnymi tęczęwkami kryła się tylko bezdenna czern. Z takimi ludźmi nie da się negocjować. I dobrze.

– Wczoraj rano obudziłem się jak zawsze u boku mojej żony – kontynuował tymczasem Karski – patrzyłem na jej spokojną twarz, potem przeniósłem wzrok na zdjęcia naszych córeczek i pomyślałem, że lata całe wypruwałem z siebie żyły, żeby dać im chociaż namiastkę szczęścia i spokoju. A kiedy osiągnąłem stabilizację, pojawił się pan z najbardziej absurdalną spiskową teorią dziejów... – Telepata już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale Karski uciszył go jednym ruchem dłoni. – Proszę mi nie przerywać. Wie pan doskonale, że jakkolwiek się ta awantura skończy, nic już nie będzie tak jak wcześniej.

– Ma pan całkowitą rację... – Mundek pochylił się nad stolikiem i wciąż patrząc prosto w oczy Karskiego, powiedział: – ... ale pańska negatywna odpowiedź nie ma teraz najmniejszego znaczenia.

– Słucham?

– Wysyłając przyjaciela po dowody, wydał pan wyrok śmierci także na siebie – powiedział Lis. A kto wie, czy nie na całą rodzinę, chciał jeszcze dodać, ale chwilowo pozostawił tę myśl dla siebie. Postanowił wywierać tylko taki nacisk, jaki był konieczny.

Karski zbladł. W okamgnieniu krew odpłynęła mu z twarzy. Zrozumiał.

– Nie! – Wstałby, gdyby Mundek nie przytrzymał go za dłoń, ale i tak zwrócił na siebie uwagę.

– Tak – wysyczał Lis, wygaszając natychmiast emocje w kawiarence. – Oni już wiedzą, kto go wysłał na przeszeptanie... Twardego człowieka, a zapewne taki był pański kolega, nie złamią tortury, lecz sprawny telepata wyciągnie z jego głowy wszystko w jednej chwili nie pozostawiając najmniejszego śladu. – Stuknął się palcem w skroń. –

Nawet te wydarzenia i fakty, o których „przesłuchiwany” dawno zapomniał. Kiedy Rosjanie dotrą do ciebie, przyjacielu – celowo przeszedł na bardziej familiarną formę – a możesz mi wierzyć, że to kwestia góra kilku dni, i odkryją twój dar, skończy się sielanka.

Karski nerwowo przełknął ślinę. Już wiedział, na czym polegał jego błąd. Skoro telepatia pozwala na czytanie myśli, ktokolwiek doprowadził do wypadku Tomka, wcześniej mógł wyciągnąć z jego umysłu informacje na temat osoby, która zleciła sprawdzenie dowodów.

– Tylko z nami ma pan jakiegokolwiek szanse na przetrwanie i pomszczenie kolegi – dodał Mundek widząc, że policjant wciąż bije się z myślami. – Nie może się pan teraz wycofać.

– Wygląda na to, że nie mam wyjścia...

– Chciałbym powiedzieć, że się cieszę – Lis podniósł obie ręce w przeproszającym geście – ale cena, za jaką zyskałem w panu sprzymierzeńca, mi na to nie pozwala...

Karski spojrzął ze złością na telepatę, ale zanim zdążył otworzyć usta, by odpowiedzieć, dziewczyna w kraciastej czerwonej sukience pochyliła się nad stolikiem, stawiając przed nim nową szklanekę wody, a przed Mundkiem pokryty szronem kieliszek wódki.

– A jednak hokus-pokus – mruknął policjant.

– Kiedy giną dobrzy ludzie, nic innego się nie liczy – odparł Lis. – Za przyjaciół, którzy odeszli – wychylił szybkim ruchem wściekłego psa i oblizał spierzchnięte wargi. Sam o mało nie stracił nad sobą kontroli, gdy usłyszał słowa Karskiego, ale za nic nie mógł pokazać mu, jak się boi.

– W takich chwilach żałuję, że jestem abstynentem. – Policjant westchnął i sięgnął po szklanekę.

– Nie ma czego żałować... – Lis wyjął papierosa i postukał nim o blat, starając się, aby ten gest wyglądał naturalnie, co przy drżących dłoniach nie było proste. – Picie i palenie to oznaki słabości. Stawianie czoła życiu na trzeźwo to coś, do czego trzeba mieć prawdziwą odwagę.

– Chyba powinniśmy wrócić do tematu... – Karski najwyraźniej już wziął się w garść, zawodowiec w każdym calu.

– Słusznie. – Mundek zapalił papierosa i zaciągnął się pierwszym dymem. – Jak szybko może pan tutaj ściągnąć swoich chłopców?

– Najpóźniej za pół godziny będą na miejscu – odparł policjant po krótkim zastanowieniu.

– Dobrze. Będziemy potrzebowali sześciu. Trzy zespoły. Siódmego niech pan wyśle do domu. Lepiej, żeby żona z córkami zniknęły na jakiś czas z pola widzenia. – Mundek raz jeszcze pochylił się nad stolikiem. – Niech jadą gdziekolwiek, na tydzień, może nawet dłużej, i niech nikt, nawet pan, nie zna miejsca ich pobytu. Powinny wybrać całą gotówkę, jaką dysponujecie. Od tej pory aż do odwołania nie będzie posługiwania się kartami ani dokumentami...

– Nie musi mi pan tego tłumaczyć, pracowałem jakiś czas przy ochronie świadków. – Andrzej wyjął komórkę. – A co z bronią?

– Cóż... – Lis spojrzął na zegar wiszący w głębi baru. – Za około godzinę mam umówione spotkanie z solidnym dostawcą. A co do pańskiego przyjaciela...

– Tak?

– Nie chcę budzić pańskich nadziei, ale... – Lis nerwowo oblizał wargi. – Proszę zadbać, żeby nie odłączono go od aparatury. Tylko ostrożniej tym razem. Być może nie wszystko jest jeszcze stracone.

* * *

Kijewski po raz dziesiąty sprawdził służbowego glocka.

– Uspokój się – napomniął go Dzik. – Jeszcze sobie jaja odstrzelisz.

– Kiedy mnie to wszystko wkurwia niemożliwie – jęknął grubas, wciskając się głębiej w fotel. – Zwłaszcza czekanie.

– Oddychaj głęboko, Patyk. To cię uspokoi. – Aspirant wycedził te słowa z trudem. Sam miał problem z zachowaniem spokoju. Nawet żucie gumy już mu nie pomagało. Dwa dni czekania. Dwie bezsenne noce. Tym razem nie odpuści.

– Mogę o coś zapytać? – Kijewski pochylił się mocno do przodu, wsuwając głowę pomiędzy fotele.

– Jeśli chcesz iść do kibla, odpowiedź brzmi: nie! – Dzik spojrzął na niego z odrazą. Naczelnny lizus wydziału nadawał się do akcji w terenie, jak boa dusiciel na krawat. Filip tolerował go tylko dlatego, że grubas donosił o wszystkim, a wiedział naprawdę wiele.

– Nie. Nie o kibel chciałem pytać.

– No to słucham.

– Dlaczego pan aspirant tak bardzo chce dopaść tego człowieka?

Dzik odłożył lornetkę, którą sprawdzał okolice wejścia do centrum handlowego.

– A co cię to obchodzi?

– Tak się tylko zastanawiam. Facet przysługę panu zrobił, kamień zdjął z serca... Ja bym mu raczej podziękował.

Filip spojrział z politowaniem na Kijewskiego.

– Jeden kamień wiosny nie czyni – powiedział i odblokował drzwi toyoty. – Czas na ciebie.

* * *

Mundek spojrział na zegarek. Za dziesięć czwarta, pora iść. Zapłacił rachunek i ruszył szerokim holem w kierunku dziesiątek przeszklonych drzwi. Fascynowały go takie miejsca. Monumentalne świątynie mamony. Wypełnione po brzegi kościoły nowej wiary. A prawdziwe domy boże świecą teraz pustkami, pomyślał Lis, patrząc na ludzką rzekę płynącą wokół niego. Choć jeszcze dekadę temu wydawało się to nieprawdopodobne, pazerny klerykalizm przewietrzył je skuteczniej niż pięćdziesiąt lat komuny. Dzisiaj, zwłaszcza w wielkich miastach, w niczym nie różnią się od katedr Paryża, Dublina, Madrytu. Przypominają raczej muzea niż miejsca szerzenia wiary. Ich rolę przejmują wszechpotężne hipermarkety. To do nich każdej niedzieli ciągną pielgrzymki milionów zapracowanych Polaków. Ludzie przyjeżdżają całymi rodzinami, nawet z odległych miejscowości. Spowici oparami kadzideł z wypróbowywanych dezodorantów spędzają całe popołudnia, modląc się do ołtarzy regałów wypełnionych stosami promocji. Rzucając banknoty składają ofiarę kasjerom w takt ulotnych pieśni arcykapłanów bezguścia dobywających się z niewidzialnych głośników. Spowiadają się, żałując za grzech pychy i obzarstwa, gdy trzeba dopiąć guziki w samotniach konfesjonałów zwanych przebieralniami. Zmęczeni umartwianiem pożądlwie spożywają ciało Pana w dziesiątkach przytulnych refektarzy rozsiansych gęsto wokół głównej nawy marketu. Wiezorami zaś, gdy nadchodzi czas pokuty, pchają wózki pełne nowo zakupionych grzechów prosto do swoich domostw.

Jednego tylko wciąż brakowało świątyniom mamony. Wiecznego chłodu marmurowych wnętrz, tak cennego w letnie upały.

Mundek, zamyślony, dał się porwać rzece spoconych ciał. Klimatyzacja w

przeszklonym atrium najwyraźniej nie wyrabiała. Ale na dworze, tuż za rozsuwanymi drzwiami, było jeszcze goręcej.

– Kogo moje oczy widzą...

Kilka kroków przed Mundkiem stanął wysoki blondyn w spranych dzinsach i bajecznie kolorowej koszulce opiętej obleśnie na wielkim brzuchu.

– Pan Kijewski, jak sędzę. – Lis uśmiechnął się, jakby zobaczył starego znajomego. – A gdzież to się podziali pańscy przyjaciele?

– Jacy przyjaciele? – Patyk, trzeba mu to przyznać, potrafił znakomicie udawać. Gdyby nie talent telepaty, Mundek zapewne dałby się zwieść jego niewinnej minie.

– Ci, którzy stoją gdzieś za mną, w tłumie, ze świerzbącymi palcami na spustach. – Mundek nie musiał się specjalnie wysilać, żeby wykryć gliniarzy. W parę sekund zlokalizował sześciu wywiadowców. Niektórzy stali w pobliżu, inni poruszali się nieustannie w potokach ludzkich ciał, żeby jak najmniej rzucać się w oczy.

– Zaskoczony? – Grubas uśmiechnął się tryumfująco.

– Strasznie. – Mundek ruszył w jego kierunku. – Wprost nie mogę wyjść z podziwu, jak udało wam się mnie znaleźć.

Posterunkowy cofnął się o krok i wyciągnął rękę przed siebie. Druga spoczęła pod koszulką, na sporym wybrzuszeniu obok opony wielkiego brzuszyska.

– Nie radzę – powiedział.

Lis zatrzymał się. Podobny gest wykonało bowiem siedmiu policjantów, stojących wokół niego (w końcu zdołał wykryć jeszcze jednego przygłupa, który do tej pory zamiast akcją interesował się spoconymi kelnerkami w pobliskiej kafejce). Pstryknięcia kurków odwodzonych pod marynarkami zabrzmiały w głowie telepaty jak dźwięk kościelnych dzwonów. Nie żartowali, był tego pewien.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał spokojnie.

Zamiast odpowiedzi dostał komórkę. Patyk wyciągnął ją spod koszulki i rzucił Mundkowi niedbałym gestem. Śliski od potu kawał plastiku o mało nie wysunął się z dłoni telepaty.

– I co niby mam z tym zrobić? – zapytał, wycierając obudowę jedwabną chusteczką.

– Naciśnij wybieranie i słuchaj...

Mundek postąpił zgodnie z instrukcją. Wcisnął klawisz i przyłożył aparat do ucha.

- Dzik jest dziki, Dzik jest zły, Dzik ma bardzo ostre kły... – Piskliwy głos dobiegający ze słuchawki należał bez wątpienia do aspiranta.
- A ja jestem z miasta – odparł spokojnie Mundek, wpadając mu w słowo – co widać, słysząc i czuć.
- Wkurwiasz mnie pan. – Filip szybko przełknął pierwszą porażkę w tym starciu.
- Taki już mam trudny charakter.
- Ludzie, którzy mnie wkurwiają, marnie kończą. – To miało zabrzmieć groźnie.
- Jak, dla przykładu, piękny Cygan z ogródka piwnego?
- Nie przeginaj, człowieku ... – Dzik syknął w słuchawkę jak rasowy wąż.
- W porządku – zgodził się Mundek. – Przejdźmy do rzeczy.
- Lubię rozsądnych ludzi, panie...
- Przyjaciele mówią mi Mundek.
- Niech będzie Mundek, przynajmniej na razie, dopóki się lepiej nie poznamy.
- W głosie aspiranta pojawiła się nutka rozbawienia.
- Pozwoli pan aspirant, że powtórzę pytanie. – Telepata zignorował ostatnią kwestię. – Czego ode mnie chcecie?
- Epoka towarzyszy już się skończyła – poprawił go Dzik. – Pytanie brzmi: czego ja chcę.
- Niech będzie. Zatem czego pan chce?
- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, przyjacielu, jak wielki dar posiadasz...
- Powiedzmy, że mam jako takie rozeznanie w tej materii.
- Sprawy nie toczyły się po myśli Lisa. Cholerny kurdupel okazał się niezwykle ostrożnym i przewidującym człowiekiem. Nie dość, że nie pojawił się osobiście na miejscu spotkania, to na dodatek nie przekazał swoim ludziom najistotniejszych informacji o pułapce. A to oznaczało zmianę planów. Mundek rzucił okiem na komórkę. Sądząc po stanie zużycia, zapewne był to służbowy aparat Kijewskiego. Klasyczna motorola M6 z kamerą i podświetleniem wielkiego ciekłokrystalicznego ekranu. Obudowa mocno porysowana, bateria w połowie rozładowana. Świetnie.
- Mam propozycję, panie Edmundzie. – Dzik najwidoczniej postanowił przejść do sedna.
- Zamieniam się w słuch.
- Tym razem nie będzie żadnych telepatycznych sztuczek. – Aspirant mówił

powoli i spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie. – Mam tam czternastu ludzi i jeszcze paru poza kompleksem, na wypadek gdyby okazał się pan lepszy, niż przypuszczałem.

– Snajperzy, jak sędzę – wtrącił Lis i uśmiechnął się, słysząc pierwsze charakterystyczne piknięcie.

– Zgadza się – przytaknął Dzik. – Jak pan widzi, odrobiłem zadanie domowe na piątkę.

– Widzę, widzę. Jedną sekundę... – Mundek otarł pot z twarzy chusteczką, a potem osuszył nią telefon. – Przepraszam, ale tu jest strasznie gorąco.

– Nie kombinuj, człowieku – głos w słuchawce pozostał zimny – wiesz doskonale, że tym razem się nie wywiniesz. Dasz mi to, czego chcę, albo pójdziesz do piachu.

– A czego pan chce?

– Nie domyślasz się? – Rozbawiony swoją grą Dzik nie dosłyszał kolejnego piknięcia.

– Nie. Nie domyślam się. I jeśli zaraz mi tego nie powiesz – telepata także skończył z konwenansami – umrę w niewiedzy.

– O czym ty pieprzysz?

– O tym... – Kolejne piknięcie rozległo się o wiele szybciej niż poprzednie i nie uszło uwagi aspiranta.

– Co to za dźwięk?

– Twój gruby przydupas zapomniał naładować baterię przed wyjściem albo za dużo gadaliście, podniecając się wzajemnie chytrym planem ujęcia mnie w tej łaźni parowej... – Mundek odsunął słuchawkę od ucha i spojrzał na wyświetlacz, ikonka baterii już pulsowała czerwienią. – Mamy jakieś piętnaście sekund na dokończenie tej rozmowy. – Następne piknięcie podkreśliło wagę jego słów.

– Skurwysyn jeden wy...

– Chcesz pogadać, przyjedź – przerwał mu Mundek, słysząc kolejny sygnał. – Masz moje słowo, że nie będę próbował niczego głupiego. Pogadamy na zewnątrz, w cztery oczy i trzy lunety, jeśli się czegoś boisz.

– Ani... – Komórka zdechła bez uprzedzenia, nie dając Dzikowi dokończyć zdania.

Mundek obrócił aparat w dłoniach i rzucił go zdziwionemu Kijewskiemu. Zawsze uważał, że podświetlanie ekranu w motoroli jest bezsensowne – może i poprawiało widoczność w słoneczny dzień, ale żarło baterie aż strach.

* * *

Dwadzieścia minut. Tyle potrzebował Dzik, żeby pojawić się na chodniku przed wejściem do marketu. Patyk jeszcze nie zauważył jego przybycia, wciąż gapił się bezmyślnie w Lisa, podobnie zresztą jak reszta oddziału. Zgodnie z planem. Gdyby nie interwencja telepaty, znalezienie drugiej komórki nie stanowiłoby problemu, każdy z pozostałych gliniarzy miał przy sobie swoją – prywatną albo służbową, a w tłumie kłębiącym się wokół można było zarekwirować setki sprawnych aparatów. Niestety, nikt o tym nie pomyślał.

– Spójrz, kto przyszedł. – Mundek wskazał ruchem głowy przeszkloną ścianę za plecami grubasa.

Kijewski odwrócił się szybko, ale jego wzrok nie od razu padł tam, gdzie trzeba. Lis musiał go nakierować na mikrą postać aspiranta. Dopiero po tej interwencji posterunkowy machnął ręką i nagle wokół Mundka zrobiło się duszno. Odór spoconych ciał nasilił się, kiedy pięciu ubranych po cywilnemu byczków otoczyło telepatę szczelnym pierścieniem. Nie protestował, choć mógł przecież sprawić, żeby zostawili mu więcej wolnej przestrzeni. Uznał, że poddając się woli gliniarzy, uspokoi podejrzliwość Dzika. Potrzebował jeszcze kilku minut...

Na dworze wywiadowcy sami odpuścili; o ile w markecie panowały afrykańskie klimaty, teraz znaleźli się we wnętrzu pieca hutniczego tuż przed wytopem surówki. Mundek nie zazdrościł zwłaszcza tym noszącym marynarki, na otwartej przestrzeni musieli cierpieć istne katusze.

Filip wskazał miejsce, które snajperzy, a było ich zgodnie z sugestią trzech, widzieli jak na dłoni. Mundek uśmiechnął się – jego plan przebiegał bez zakłóceń. Gliniarze ustawili się w odległości kilku metrów w dwu grupach, formując wraz z samotnie stojącym Dzikim trójkąt równoramienny. Wszyscy trzymali ręce w kieszeniach. Rozsądna taktyka, godna zapamiętania, ocenił Lis. W ten sposób mogli do niego strzelać, nie ryzykując zranienia kogokolwiek ze swoich. Poza tym nie zwracali niczyjej uwagi. Ot, paru znajomych wpadło na siebie robiąc zakupy i zatrzymało się na pogawędkę.

– Myślę, że możemy pominąć zbędną konwersację – powiedział aspirant, gdy Mundek przesunął się na wyznaczone miejsce. – Jeśli jesteś telepatą, wiesz już wszystko.

Lis roześmiał się głośno.

– Naprawdę uważasz, że to takie proste? – zapytał.

– Prawdę mówiąc, tak. Wiem dobrze, na czym polega telepatia...

– Wiesz dobrze? – przerwał mu Mundek. – A niby skąd?

– Jaja sobie ze mnie robisz, człowieku! – Twarz aspiranta nagle stężała.

– Nie. – Lis nie przestawał się uśmiechać. – Nie robię sobie jaj. Po prostu nie wlałem ci do głowy, skoro mieliśmy porozmawiać. Ale jeśli naprawdę tego chcesz...

Dzik zmrużył oczy – to musiało zboleć. Telepata wycofał się z jego głowy, nie chcąc w niej namieszać, zanim...

– Wiesz już, dlaczego wolę normalnie rozmawiać ze zwykłymi ludźmi? –

Mundek mógł z nim zrobić dosłownie wszystko, ale kurdupłowaty aspirant o wielkich ambicjach do pewnego stopnia mu imponował. Wprawdzie po tym jak zagłębił się w jego umysł, uczucie fascynacji gwałtownie osłabło, ale skoro mieli spędzić ze sobą jeszcze parę minut, rozmowa wydała się najrozsądniejszym sposobem na zabicie czasu.

– Poprzednim razem nawet nie poczułem... – Dzik patrzył na niego podejrzliwie.

– Poprzednim razem wymazałem ci ból wraz z małym fragmentem pamięci – skłamał gładko telepata.

Filip skinął głową. Faktycznie, nie pamiętał tamtego spotkania; gdyby nie Patyk i obraz z kamer, pewnie nigdy by się o nim nie dowiedział.

– Powiedzmy...

– Pozwól, że powtórzę pytanie. Skąd wiesz, że jestem telepata?

– Widziało się to i owo – odparł aspirant, a Lis zrobił zdziwioną minę. – Lubię science fiction, człowieku. Horror. Telewizji nie oglądasz? „Martwa strefa”, „Podpalaczka”, „Carrie”.

– Jednym słowem, gównu wiesz o telepatii.

– Może i gówno – Dzik uśmiechnął się – ale potrafiłem cię przyszpilić.

– To prawda. Dobrze kombinujesz, choć poruszasz się po omacku. Wyciągasz słuszne wnioski, lecz nie znasz podstawowych danych. Ten numer ze snajperami...

– Główka pracuje.

Główka może tak, szkoda, że nie głowa, pomyślał Mundek i zmusił jednego z policjantów do spojrzenia na zegarek. Cholera, do odegrania zostało jeszcze co najmniej pięć minut tej komedii. Zadawanie pytań, na które odpowiedzi zna się od dawna, bywa nużące.

- Mów, czego chcesz.
- Chcę Marty – padła zwięzła odpowiedź.

Lis wzniosł oczy do nieba.

- Myślałem, że wybiłem ci z głowy tego kurwiszona.
- Zabiłeś uczucie – powiedział Filip – lecz nie wymazałeś wspomnień.
- Pamięć to nie taśma magnetofonowa. Nie można z niej usuwać dowolnych fragmentów, zwłaszcza tak istotnych. Zastanowiłeś się, jak wyglądałyby twoje wspomnienia, gdybym wyrzucił wszystko, co wiąże się z tą ladacznicą? Zastanowiłeś się, co z ludźmi, których wspólnie znacie? Ześwirowałbyś, chłopczyku, mając takie luki w pamięci.

Dzik kiwał głową. Nie miał powodu, by nie wierzyć w słowa telepaty. Brzmiały przekonująco i bez paranormalnego wsparcia.

- Co innego wymazanie bólu – kontynuował Mundek. – Szczerze mówiąc, żal mi się ciebie zrobiło tam w ogródku. Ale to chyba był ostatni dobry uczynek w moim życiu. Jak widać na załączonym obrazku, takie czyny wracają do nas z potrójną siłą.

- Chcę Marty – powtórzył Dzik.
- To ją sobie weź – wypalił Mundek. – W czym problem?
- Chcę Marty, nie chcę kurwiszona.
- Filipie, mimo tego, że znam twoje myśli, czasami nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie zgrywaj idioty – parsknął aspirant. – Chcę, żebyś wybił jej z głowy kurewstwo.

Lis ponownie sprawdził godzinę, tym razem na zegarku jednego z kierowców. Jak ten czas wolno płynie, pomyślał.

- Tak po prostu? – zapytał.
- A dlaczego nie?
- Widziałeś kiedyś, żeby zakonnica zrobiła komuś laskę? – Mundek zniżył głos przy tym pytaniu.

Dzik zmarszczył brwi. Telepata trafił w jego czuły punkt. Filip pragnął Marty takiej, jaką była naprawdę, rozwiązej, wulgarnej, tyle że chciał jej tylko dla siebie.

- A nie da rady...
- Może i da radę – wpadł mu w słowo Mundek – ale dlaczego miałbym robić przysługę facetowi, który urządza sobie polowanie na mnie, i to w środku miasta.
- Może dlatego, że nie masz wyjścia. – Aspirant również zniżył głos. – Może

dlatego, że zaraz wylądujesz na ziemi, a kiedy wstaniesz, będziesz miał skute ręce i nogi. Co więcej, klucze do kajdanek natychmiast wylądują w studziencie ściekowej... – Lewa ręka policjanta wykonała nieokreślony ruch w kierunku żeliwnej kraty przy krawężniku.

– Sądzisz, Filipie, że powstrzymasz mnie takimi sztuczkami?

– Sądzę. – Dzik zaczął się rozkręcać. – Nie usłyszałeś jeszcze najlepszego. Mamy tu w okolicy sporo ponemieckich pamiątek. Zajebistych bunkrów otoczonych metrami zbrojonego betonu i ukrytych pod kilometrami sześciennymi skał. W jednym z nich uwiliśmy ci gniazdko. Jak więc widzisz, przygotowałem się do tego spotkania naprawdę dobrze.

Lis roześmiał się, znał ten plan w każdym szczególe, w końcu sam był jego pomysłodawcą i współautorem. Ale i Dzik miał spory twórczy wkład w to dzieło. Telepacie podobał się zwłaszcza system bezosobowej obsługi więźnia za pomocą czegoś w rodzaju poczty pneumatycznej. Niegłupie było także uśpienie go na czas transportu. Aspirant Dzik posiadał bujną wyobraźnię, ukształtowaną zapewne na podstawie setek tandetnych horrorów, które uwielbiał oglądać. Gdyby jeszcze tylko zyskał przewagę na starcie...

W oddali na płycie parkingu Mundek zobaczył znajomą postać. Przekaz trwał niecałą sekundę. Pora kończyć przedstawienie.

– Cóż, propozycja brzmi kusząco, ale, niestety, muszę odmówić. – Jedną myślą wyłączył wszystkich ludzi z oddziału Patyka.

– Nie kpij. – Dzik wskazał na betonowe słupki oddzielające miejsca parkingowe od chodnika. – Jeden krok poza tę linię, a będziesz miał trzy kulki w głowie.

– Misiu powłóczył się – uśmiech znów wypełził na usta telepaty – wyobraź sobie, że zaryzykuję.

Filip z niedowierzaniem patrzył, jak Kijewski odwraca się, podchodzi do słupka i siada na nim. Kolejni wywiadowcy opuszczali swoje stanowiska, lecz on sam nie mógł nawet drgnąć, czuł się tak, jakby ktoś pokrył mu całą skórę warstwą kamienia albo stali.

– Widzisz – Mundek podszedł do Dzika i nachylił mu się do ucha – masz ze mną spory problem. Pozwól, że ci to wyłuszczę w prostych słowach. Jeśli nadal będziesz mnie wkurzał, złożę niespodziewaną wizytę damie twego serca, co będzie oznaczało, że każdy z nich – wskazał głową na nieruchomych teraz policjantów – a

także reszta twoich kumpli z wydziału wkrótce zazna tej samej rozkoszy, która ciebie opętała. Rozumiemy się? Aspirant pokiwał niemrawo głową.

– Świetnie. Ale to jeszcze nie wszystko. Prawdę mówiąc, ja ci tego bólu wcale nie zabrałem. Ja go tylko chwilowo zablokowałem. Zatem jeśli jeszcze raz zobaczę albo poczuję, że któryś z twoich ratlerków obwąchuje mnie pod ogonem, sprawię, że koszmar powróci. Postaram się też, żeby był po stokroć straszniejszy.

Filip zdębiałby, gdyby nie to, że i tak nie mógł się poruszyć. Jego oczy wyrażały bezgraniczne zdumienie.

Telepata nie umiał sobie odmówić przyjemności, by go jeszcze trochę nie podreńczyć.

– Chłopie, naprawdę myślałeś, że masz jakiekolwiek szanse?... Wiesz, czasem zwykły przypadek sprawia, że wszystko nagle zaczyna się układać. Miałem problem, duuuży problem, i wtedy twoi chłopcy pojawili się pod pubem, podając mi tym samym jak na tacy jego rozwiązanie. Staruszek wskazany przez barmana wyśpiewał wszystko, prawda? Sypnął mnie, skubany. A wy, spece od przesłuchań, łykaliście jego słowa jak głodne pelikany. Nie uwierzysz, jak wielką radochę miałem stojąc w tłumie na rogu Wojska Polskiego, kiedy twoi ludzie wypytywali mnie, w którą stronę uciekłem. Czyż to nie tam przyszedł ci do głowy fenomenalny pomysł, żeby użyć snajperów? – Oczy aspiranta zrobiły się idealnie okrągłe. – Tak, misiaczku, wodziłem cię na pasku od samego początku i zaręczam, że to jeszcze nie koniec. To nie ty na mnie tutaj czekałeś, ale ja na ciebie, a właściwie na broń, której potrzebuję. O mały włos, przyznaję, nie pomieszałyś mi szyków tym numerem z komórką. Tak wyglądają prawdziwe przebłyski geniuszu, mój drogi, właśnie tak, ale zabrakło ci determinacji. Przylazłeś tutaj w końcu i wyciągnąłem z twojej głowy lokalizację snajperów. Moi ludzie od razu się nimi zajęli, a ta rozmowa służyła tylko temu, by dać im czas na działanie. – Mundek rzucił okiem na zegarek. – A teraz ostatnie i najważniejsze. Od tej chwili pracujesz dla mnie. Będziesz robił wszystko, co ci każę. Rządu nie ma. Wasz komendant stracił protektorów i spieprzył poza granice Unii. Połowa jego przydupasów już się pakuje. Sam wiesz, jaki burdel panuje na komendzie od czasu „wypadku” premiera. Czy nie dlatego miałeś tak wielką swobodę działania podczas pościgu za mną? Wcześniej nawet wujo z centrali nie dałby ci chyba takiego luzu. – Dzik skinął głową po raz kolejny.

– Ae... ak... ja się wytumacze z utaty boni? – Aspirant zaczął mówić, z początku niewyraźnie, walcząc z odrętwieniem, które sięgało aż do szyi.

– Spokojnie. Nie musisz się obawiać, przynajmniej dopóki będziesz grzeczny. – Mundek otarł czoło chusteczką. – Twoje pajace zapamiętają tę akcję jako nieudaną. Nie pojawiłem się w miejscu spotkania. Spocili się nadaremno. Ale ty nie odpuszczasz, akcja trwa nadal, nie zdajesz broni, czatujesz. Dziadek z pubu dostanie wkrótce następną wiadomość. Za dwa-trzy dni zastawisz na mnie kolejną nieudaną pułapkę. Wtedy odbierzesz swoje snajperki. Nawiasem mówiąc, strzelców znajdziesz w tej granatowej furgonetce na polu C. Są przekonani, że zabrałeś ich na rekonesans przed właściwą akcją, i nie pamiętają, że pobierali broń. Nie będą robili dymu, jeśli zorganizujesz im odpowiednio czas i zdołasz utrzymać ich z dala od intendentury do kolejnego spotkania. Mam nadzieję, Filipie, że to początek naszej owocnej współpracy. Za pięć minut wasza niemoc minie. – Mundek wskazał na nieruchomych wywiadowców. – Należy ci się plus za to, że posłuchałeś mojej podpowiedzi i wybrałeś miejsce akcji tak, żeby nie znajdowało się w zasięgu kamer ochrony. Dzięki temu ani ty, ani ja nie będziemy mieli niepotrzebnych stresów.

– A Małta? – wybełkotał policjant, śliniąc się przy tym obficie, gdyż paraliż mięśni dotknął już jego dolnej wargi. Telepata robił to celowo, powoli rozszerzał granicę paraliżu mięśni, dzięki czemu potęgował uczucie strachu u rozmówcy. Liczył na to, że panika nie pozwoli Filipowi rozsądnie myśleć. Przez następne kilka minut aspirant pozostanie sam na sam z pełznącą powoli w górę twarzy martwotą, zastanawiając się, co nastąpi najpierw, niemożność zaczerpnięcia oddechu czy uwolnienie. Taka mała lekcja pokory.

– Cierpliwości, najpierw musisz dowieść, że jesteś wart zachodu. – Mundek poklepał Dzika po spoconym policzku i wszedł spokojnym krokiem między samochody, zostawiając za sobą osiem żywych posągów, w tym siedmiu nieziemsko spoconych „myślicieli” Rodina, spoczywających na betonowych słupkach wyznaczających granicę parkingu.

Część III

Zemsta

Jesteś wrednym sukinsynem, Tadziu, ale cię lubię – powiedział Lis. – Po prostu cię lubię. Młody splunął pod nogi fragmentem wykałaczkii, którą wyciągał spomiędzy zębów włókna rozgotowanej piersi kurczaka. Cholerny kapuś w sutannie jadał jak ostatni dziad w przytułku. Dzień w dzień rozgotowane, łykowane jak cholera kuraki, które chyba padły ze starości, bo niemrawa staruszka zwana przez księdza gospodynią nic żywego z pewnością nie zdołałyby dogonić. Z obiecywanych przez Lisa golonek w miodzie pozostały tylko wspomnienia.

Siedzieli na werandzie, ksiądz w szarych spodniach i czarnej, służbowej koszuli, ale już bez koloratki, a oni w spranych habitach, które wyciągnął z przepastnego kufra stojącego na zasnutym pajęczynami stryszku. Korzystając z orzeźwiającej bryzy ciągnącej od jeziora, gawędzili jak starzy przyjaciele i sączyli mszalne wino, przyglądając się równocześnie zachodowi słońca widocznemu tylko dzięki przecince, którą w kierunku Pomianic szła linia średniego napięcia. Ustawione na parapecie stare radio tranzystorowe brzęczało cicho, z trudem można było wyłowić w szumach zakłóceń pojedyncze słowa lektora. Ale nawet te fragmentaryczne przekazy nie nastrajały optymistycznie. Co trzecim zrozumiałym słowem był kryzys...

Zadziwiające, że choć minęło już trochę czasu od usunięcia rządu, tutaj, na prowincji, wśród zwykłych ludzi, nie dało się zauważyć paniki. Życie toczyło się normalnym trybem – to znaczy w miarę normalnym, jako że chaos w urzędach zawsze miał miejsce, nawet gdy w telewizji roilo się od gadających głów rządzącej elity.

Już czwarty dzień spędzali na plebanii, wyglądającej raczej na zapuszczoną leśniczówkę niż siedzibę proboszcza. Lis uznał, że miejsce to idealnie się nadaje na bazę wypadową do akcji w ośrodku, i miał sporo racji. Domek stał na uboczu, miejscowi nie byli specjalnie ciekawscy, a ksiądz Tadeusz przedstawił ich dochodzącej ze wsi gosposi jako zakonników, którzy mają przygotować dokumentację dotyczącą planowanej renowacji kościoła. Dzięki temu mieli święty spokój i zapewniony

szacunek autochtonów.

Najbliższe zabudowania znajdowały się ponad czterysta metrów w linii prostej na zachód, za gęstym sosnowym lasem, ale to nie była jeszcze wieś, a zaledwie kilkukominowy przysiółek. Właściwa Nowitnica rozciągała się wzdłuż niewielkiego jeziora pół kilometra na wschód od drewnianego kościółka – istnej perły architektury sakralnej – wzniesionego na pobliskim wzgórzu, jedynym miejscu w okolicy, które nie tonęło w błocie, gdy przychodziła dżdżysta jesień.

– No to po maleńkim – powiedział ksiądz proboszcz podnosząc szklanę.

– Po maleńkim. – Lis stuknął się z nim i wypił złocisty płyn do dna. Oblizał wargi, po czym objął duchownego przyjacielskim gestem. – Powiedz mi, Tadiusz, ale tak szczerze, czy ksiądz, który żyje w grzechu, może udzielać sakramentów?

– Jasne, że może – odparł bez wahania zapytany, sięgając po na wpół opróżnioną butelkę.

– A dlaczego?

– Nie rozumiem, panie pułkowniku... – Ksiądz Tadeusz spojrzał podejrzliwie na Lisa.

– Którego słowa nie zrozumiałeś, świerszczyku? – spytał telepata retorycznie, podsuwając bliżej swoją szklanę. – Moim skromnym zdaniem kapłan, który sprzeniewierzył się wierze, złamał dane słowo, ba, przysięgę, i utracił tym samym więź z Bogiem, nie może go już reprezentować.

– Biskup nadaje święcenia i tylko on...

– Biskup, czyli człowiek – przerwał proboszczowi Mundek. – Taki sam jak ty czy ja. Jego też nie wyświęcił Bóg.

– Czy to coś zmienia?

– Nie rozumiesz, Tadiusz? – Telepata roześmiał się nieprzyjemnie. – Naprawdę nie rozumiesz?

Ksiądz wzruszył ramionami i nalał do pełna.

– Wybacz pan pułkownik, ale sprawy wiary nie są takie proste, jak się wam, ateuszom, wydaje.

– Pan pułkownik nie wybacz – odparł Mundek. – Pan pułkownik wie doskonale, jak się sprawy mają. Cokolwiek powiesz, Tadiusz, ty i twoi kumple w sukienkach doprowadziliście wiarę do upadku.

– Bzdura – prychnął proboszcz i wychylił kieliszek jednym ruchem.

– Nie, mój drogi. To nie jest bzdura. Ludzie dzisiaj masowo odwracają się od

Kościół. Kiedy byłeś ostatni raz w mieście? W dużym mieście?

– No, będzie już...

– Nieistotne, świerszczyku. Żyjąc tu, na prowincji, nie zauważasz kryzysu wiary, bo masz do czynienia z ludźmi prostymi – miał powiedzieć: prymitywnymi, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed takim epitetem – z zamkniętym kręgiem, w którym jeden drugiego kontroluje, a nieobecność na mszy jest powodem jadowitych plotek. Tyle że to tylko taka wiara na pokaz, prawda? O dziewiątej msza i spowiedź, o piętnastej zapity ryj i pobita do krwi żona. Choć zupa wcale nie była za słoń. Wiesz o tym dobrze. Widzisz to na co dzień. I nie reagujesz, póki brzęczy kasa na tacy. Powiadają, że ksiądz to urzędnik Pana Boga, i chyba mają rację. Kasujesz, stemplujesz, kasujesz, wypisujesz, kasujesz... Za wszystko, wedle cennika albo co łaska, byle nie mniej niż pięć dych...

– Tutaj tylko dwadzieścia – wtrącił ze smutkiem ksiądz Tadeusz.

– Niech będzie dwie dychy – zgodził się Lis. – Biedna okolica, to i nie ma co wymagać. Ale nie kwota jest tu istotna, liczy się metoda. Naprawdę sądzisz, że Bóg łaknie tych pieniędzy?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Z czegoś muszę żyć.

– Pracuj.

– Przecież pracuję, jestem kapłanem.

– Kapłaństwo, świerszczyku, to nie zawód, tylko powołanie. – Lis spojrzał na proboszcza z politowaniem. – Chwytasz? Jezus, gdy apostołowie przed wyruszeniem w drogę zapytali, z czego będą żyć, powiedział wprost: czy widzicie w mojej szacie kieszenie? Tak jakoś to leciało. Prawdziwy kapłan powinien sam się utrzymywać i w ramach oddania Bogu służyć ludziom, a nie ograbiać ich z ostatniego grosza. Sprzeniewierzyliście się naukom swojego Mesjasza.

– Błuzni pan pułkownik.

– Doprawdy? A czym dokładnie?

– Generalnie... Cytatami z Biblii nie warto szermować, znajdę panu wiele innych, które świadczą o czymś wręcz przeciwnym.

– Generalnie to mam rację, o czym doskonale wiesz, świerszczyku mój kochany. Kościoły w miastach świecą pustkami. Starzy wierni powoli wymierają, młodzi swój rozum mają, nimi nie możecie już sterować tak łatwo jak zmoherowanymi mózgowicami. Oni doskonale wiedzą, że można być człowiekiem wierzącym, nie

chodząc do kościoła, tego Kościoła. Oni kultywują wiarę tutaj... – Telepata uderzył się w pierś. – Czyż Jezus nie powiedział przypadkiem, że Bóg nie mieszka w domach z kamienia?

– Znowu cytat, i to apokryf na dodatek. Kościół jest monolitem, przetrwał dwa tysiąclecia, wielkie wojny, zarazy, wasze rządy... – Ksiądz Tadeusz zamilkł nagle, przestraszony, że posunął się za daleko, ale Lis nie zareagował na przytyk. – Z obecnym kryzysem też da sobie radę.

– I tu się mylisz, bratku... – rzekł Mundeck, a po dłuższej chwili zastanowienia dodał: – Zapytałem, czy ksiądz, który żyje w permanentnym grzechu, może udzielać sakramentów. Powiedziałeś, że tak. Problem jednak w tym, że kiedy złamałeś słowo dane Bogu, sam siebie wykluczyłeś z grona pośredników między Nim a owieczkami. Czekaj – widząc, że proboszcz chce zaprotestować, telepata uciszył go chwytem za ramię – pomyśl, po prostu sam pomyśl, czym są święcenia, jak nie przysięgą. Będąc kapłanem powinieneś nie tylko reprezentować Boga, ale żyć w całkowitej zgodzie z zasadami wiary. Dobrze mówię? Inaczej niczym nie różnisz się od tych, których masz prowadzić. Owca owcy nie pilnuje, tylko psy pasterskie. A co się dzieje z Reksiem czy Szarikiem, który zamiast stada doglądać, zagryza barany? Przypomnij mi, Tadiusz, w którym miejscu Księgi nasz Pan pozwala swoim kapłanom pieprzyć dziesięcioletnich chłopców po zakryściach... ? – Odpowiedź nie padła, więc Lis kontynuował: – jeśli ty możesz udzielać ostatniego namaszczenia w kilka godzin po takim czynie, ja również mogę to zrobić. Mam do tego nawet większe prawo. Nie złamałem żadnej przysięgi danej Bogu. Mam mniej grzechów na sumieniu niż pierwszy z brzegu członek episkopatu, ale nade wszystko, w odróżnieniu od ciebie, wierzę, że ktoś będzie czekał na drugim końcu świetlistego tunelu.

Ksiądz Tadeusz zapomniał języka w gębie. Argumentacja telepaty, choć brutalna, była prawdziwa. Namaszczając umierających nigdy się nie zastanawiał, czy ma do tego jakiegokolwiek prawo, wyższe niż papier wiszący na ścianie nad łóżkiem. Prawdę mówiąc, było mu to do tej chwili całkowicie obojętne.

– Widzisz, Tadiusz – ciągnął niezrażony brakiem reakcji Mundeck – całymi latami zgarnialiście kasę, nie patrząc, co sobie ludzie pomyślą. Krzywdząc starców, kaleki, likwidując szkoły i szpitale. Braliście, nic nie dając w zamian. A wszystko to w imię Boga, w którego większość z was nawet nie wierzy. Sądziście zapewne, że niewzruszona opoka firmy, przepraszam, Kościoła wszystko udźwignie. Udawaliście, że nie ma między wami czarnych owiec. Jak któregoś przyłapali z fujarką w ustach

ministranta, to dobry wujek biskup, zamiast wydać delikwenta policji, przesuwał go na drugi koniec Polski. Czasem, kiedy przewinienie było zbyt duże do przełknięcia, wybaczył tę grę słów, wysyłał delikwenta na misję, gdzie wszystko zaczynało się od nowa, tyle że tam nikt nie zadawał niewygodnych pytań, bo kogo obchodzi los pieprzonego Bambo? A teraz pomyśl chwilę... Jak nazwać przymyknięcie oczu na łamanie przysięgi, umożliwianie popełnienia kolejnych zbrodni, krycie sprawców? Czy to nie jest nawet gorsze od tego, co ty robiłeś? – Telepata chciał spojrzeć w oczy księdza, ale ten odwrócił głowę. – Cały ten system jest chory, od najgłębszego dołu aż do samej góry. Możesz sobie zaprzeczać, ile chcesz, ale już dawno utraciliście moralne prawo do bycia ambasadorami królestwa niebieskiego na ziemi. I jeszcze jedno ci powiem, mało kto na to zwraca uwagę, ale dzisiaj ludzie w kościołach częściej modlą się do swojego księdza niż do Boga w Trójcy jedynej. Twój imiennik szydził z hierarchii latami, a co się stało, jak go spróbowaliście usunąć? Pamiętasz te marsze, pikiety, burdy w świątyniach, twarze wykrzywione bezgraniczną nienawiścią? Ja doskonale pamiętam tamte dni, tak samo jego powrót, tylko osiołka i gałązki palmowej brakowało. – Lis puścił ramię kapłana i oblizał spierzchnięte wargi. – Ale my tu gadu-gadu, a ty nie polewasz, świerszczyku. W gardle mi zaschło...

– Koniec tej ewangelizacji. – Młody wyjął prawie już pustą butelkę z ręki księdza. – Ludzie Karskiego przyjadą lada moment.

– Wiem. – Mundek wzruszył ramionami. – Ale to ty będziesz prowadził, a takim cieńkuszem nawet dziecko się nie upije.

– Co prawda, to prawda – poparł go ksiądz Tadeusz rozmarzonym głosem. – Kiedyś to robili mszalne wina, ale od czasu jak kuria zaopatruje się wyłącznie u prałata Jankowskiego...

– O, prałat jest kolejnym dowodem na poparcie mojej tezy... – Telepata natychmiast podchwycił temat i już przymierzał się do ciągu dalszego kazania, ale tym razem nie było mu dane.

Z lasu wynurzyły się dwa czarne landrovery. Karski był jak zwykle punktualny.

* * *

– Jakie to dobre... – powiedział do siebie Młody, odsuwając okrągłą deskę z wielką kością oraz kilkoma kawałkami spieczonej skóry, które jeszcze niedawno były częściami ogromnej golonki, a wcześniej Bogu ducha winnego świniaka i sięgnął po

wielki, litrowy kufel ciemnego, nieklarowanego piwa. Chociaż po przemianie stracił ponad pięćdziesiąt kilogramów, nadal był z niego kawał chłopa i potrafił zjeść zadziwiająco ilości mięsa, z tą różnicą, że nadwaga mu już nie groziła.

Mundek zazdrościł uzdrowicielowi tego apetytu, sam jadł niewiele i wciąż starał się unikać ciężkostrawnych potraw. Wprawdzie po ranach nie pozostał żaden ślad, a Młody, przy okazji, uleczył go naprawdę kompleksowo, ale telepata nie potrafił się przemóc, by po latach diety wrócić do normalnego jedzenia.

– *Dopij piwo i bierzemy się do roboty* – „powiedział” Mundek, nie podnosząc wzroku znad gazety. Siedział w niewielkiej narożnej kawiarence w katowickim centrum handlowym „Silesia” i sączył trzecią kawę. Młody, jakiś czas temu zobaczywszy reklamę wielgachnych golonek na plakatach restauracji „Bierhalle”, nie potrafił się oprzeć pokusie, a Lis nie protestował, wiedząc, jak wiele energii ten dzień może kosztować uzdrowiciela. Spokojnie czekał, aż Piotrek oczyści z soczystego mięsa kości grube jak męskie ramię i tylko od czasu do czasu spoglądał na przestronną salę jego oczyma. W środku tygodnia stylowy browar mieszczący się na piętrze, tuż obok multipleksu, był pustawy. Zaledwie kilkanaście osób siedziało grupkami pod wielkimi plazmami, na których można było obejrzeć satelitarną transmisję mityngu lekkoatletycznego.

Cisza i spokój. Spokój przed burzą.

Tego dnia, po ośmiu godzinach nieprzerwanej jazdy, dotarli na Śląsk. Zatrzymali się dopiero przed niewielkim zajazdem przy gierkówce, skąd rozciągał się widok na panoramę najbardziej uprzemysłowionego regionu Polski. Na parkingu po raz ostatni omówili zaplanowane zadania, a potem się rozdzielili. Młody zabrał passata i pojechał prosto do Katowic. Mundek przeszedł żwirową alejką do stylizowanej na wiejską chaty, zamówił jajecznicę na boczku, wypił do niej małą kawę, po czym zabrał się do Bytomia z wracającym z wakacji górnikiem, któremu towarzyszyła apetycznie opalona młoda żona. Miał czas i na razie niewiele do roboty – do wykonania pierwszego kroku zamierzali przystąpić dopiero po obiedzie. Ale polowanie na jednorożca już się rozpoczęło.

* * *

Na miejscu akcji stawili się z godzinnym wyprzedzeniem. Starali się nie rzucić w oczy; niesieni tłumem zaglądali do butików, robili drobne zakupy, cały czas

trzymając się w sporej odległości od siebie, na wypadek gdyby ktoś wpadł na pomysł przejrzenia zapisów z kamer przemysłowych, a taką sytuację należało brać pod uwagę, mając do czynienia z wytrawnymi specami, jakimi byli Rosjanie. Bohaterem dnia miał być Młody. Zadaniem Lisa było jedynie wytypowanie „ofiary”.

Telepata skanował delikatnie umysły przechodzących obok ludzi, szukając kogoś odpowiedniego do tej roli. Siedział przy stoliku w jednej z kafejek, popijał małymi łyżkami kawę i czytał od niechcenia „Dziennik Śląski”. Nie musiał patrzeć na przechodzących za szybą ludzi, wystarczyło, że miał wgląd w ich umysły. Potrzebował zaledwie kwadransa, by wytypować pierwszy cel. Tak idealny, że wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Wybrał kobietę. Miała dwadzieścia sześć lat i była naprawdę ładna. Długie blond włosy okalały bardzo bladą, wychudłą twarz, która nawet teraz przywodziła na myśl najpiękniejsze wizerunki aniołów. Dzieciak, którego prowadziła za rękę, jej syn Tomaszek, za kilka dni miał skończyć pięć lat. Mąż szedł za nimi, dosłownie o krok, i rozmawiał przez komórkę. Co ciekawe, dopiero podsłuchana rozmowa zwróciła uwagę Lisa na tę akurat kobietę.

Wcześniej prześlizgnął się po jej umyśle, ale nie wyczytał niczego ciekawego. Widać dobrze się maskowała, skoro dopiero niepokój jej męża uzmysłowił telepacie, jak bardzo wszyscy troje pasują do planu. Teraz wystarczyło tylko delikatnie wejść w blondynę i zasugerować odpowiedni kierunek marszu.

– *Młody, przygotuj się – załśnił, sięgając po filiżankę i otwarcie patrząc na cel – podprowadzam ci kobietę od strony holu restauracji. Mamy komplet, blondynka w zielonym dżinsowym wdzianku, z pięcioletnim synem, za nimi goryłowaty facet w skórze, jej mąż.*

– *Torebka od Gucciego, zielona wstążka we włosach?* – Uzdrowiciel wpatrując się w potok ludzi doprecyzował identyfikację.

– *Wstążka zielona, a co do torebki...* – Mundek musiał sprawdzić tę informację, za cholerę nie znał się na markach damskiej galanterii. – *Tak, według niej to Guccio. Identyfikacja potwierdzona. Zaczynamy.*

Kobieta nagle zachwiała się, puściła rękę dziecka i sięgnęła dłonią do czoła. Mąż właśnie odwracał się, jego uwagę przyciągnęła wystawa ekskluzywnego butików z męską bielizną, uniesiona ręka z komórką przesłoniła mu chwilową niedyspozycję żony, dokładnie tak, jak to zaplanował Mundek. Szczupłe i niewiarygodnie zgrabne nogi niosły cel w kierunku Młodego... jeszcze tylko krok, dwa... Nagle blondyna

bezwładnie upadła. Postronny widz, nawet stojący tuż obok, nie zdołałby wszystkiego ogarnąć, ale Lis, znajdujący się niemal sto metrów dalej, rozgrywał wszystko bez trudu jak wytrawny szachista symultaneę. Czytając przy tym gazetę i popijając aromatyczną kawę.

Wypadająca ze zdrewniałej dłoni komórka, rodzący się w małej krtani paniczny krzyk, głuchy łomot upadającego na kamienną podłogę ciała. Wszystko to wydarzyło się w tym samym momencie, tuż za plecami Młodego.

Uzdrowiciel odwrócił się błyskawicznie, przyklęknął obok nieprzytomnej kobiety, zanim telefon rozprysnął się na tysiąc odłamków, zanim dzieciak zdążył wejść w rejestry godne syreny alarmowej. Chwycił ją pod ramiona i – zgodnie z sugestią telepaty – podniósł szybkim ruchem. Szarpnięcie sprawiło, że znakomicie dopasowana peruka zsunęła się z głowy, odsłaniając gołą skórę, niezwykle bladą, poznaczoną cienkimi liniami żyłek. Młody fachowym gestem sprawdził puls, przyłożył ucho do ust. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, po co to robi, po prostu naśladował zachowania lekarzy z tandetnych filmów.

– Odsunąć się! – krzyknął do błyskawicznie rosnącego tłumu gapiów. – Zrobić więcej miejsca!

Ludzie odsunęli się posłusznie, choć nie za sprawą wydanego krzykiem rozkazu. Mundek wysłał wszystkim jeden, króciutki impuls, po którym ich pragnienie napawania się cudzą tragedią znacznie zmalało. Nie na tyle wszakże, by odeszli. Nie mogli odejść – uzdrowiciel musiał mieć możliwie szeroką widownię. Scenografia była gotowa. Nadeszła pora na wprowadzenie kolejnego aktora.

Mężczyzna w skórze nagle się ożywił. Spojrzał półprzytomnie na rozbitą telefon i rzucił się, roztrącając zagradzających mu drogę gapiów, ku spoczywającej na kolanach Młodego kobiecie. Opał tuż przy uzdrowicielu i wyciągnął ręce, jakby zamierzał wyrwać żonę z objęć obcego mężczyzny. Piotrek pozwolił mu ją chwycić, ale sam nie puścił. Spojrzał prosto w jego zachodzące mgłą oczy i syknął:

– Jeśli chcesz, żeby żyła, odsuń się.

Facet nie zareagował pomimo wzmocnienia przekazu przez Lisa. Chyba był w szoku. Stojące obok dziecko wyło już jak syrena alarmowa.

– Ucisz go! – wrzasnął Młody, popychając faceta w skórze w stronę drącego się chłopczyka. – I pozwól mi działać.

Lis tym razem mocniej się zaangażował. Poskutkowało. Mężczyzna cofnął się, objął ramionami zapłakanego Tomaszka i przytulił go do siebie. Płacz nie ustał, ale

stłumiony grubą kurtką, w którą została wtłoczona buzia dziecka, stał się mniej denerwujący. Uzdrowiciel przyłożył dłonie do skroni nieprzytomnej kobiety... jej skóra była sucha, twarda i zimna. Wyczuwał chłód zbliżającej się śmierci, nie musiał czytać karty zdrowia, żeby wiedzieć, co jej dolega. Miała przed sobą dwa, w najlepszym wypadku trzy tygodnie życia. Może mniej, w tym stadium nie było pewnych rokowań, mogło ją zabić cokolwiek, w każdej chwili. Ale póki co żyła i to było najważniejsze. Jak długo jej serce biło, a mózg pracował, mógł zrobić z nią wszystko. I miał zamiar to udowodnić, tu i teraz. Tak, by cały świat się o tym dowiedział.

Ułożył kobietę na podłodze, najdelikatniej, jak potrafił. Lewą dłoń oparł na jej skroni, prawą przesunął nad tułowiem i zatrzymał w okolicach wątroby. Taki przepływ energii powinien objąć, dla pewności, wszystkie ważne narządy wewnętrzne. Mrowienie w palcach narastało, ostre igielki milionów mikrowyładowań coraz mocniej drażniły skórę, rosła temperatura pomiędzy dłonią uzdrowiciela i ciałem nieprzytomnej. Po chwili pojawiła się wokół niej blada poświata. Tłum zafalował, na moment ucichły wszystkie szepty, zrobiło się tak cicho, że słychać było szmer głosów z sąsiednich pasaży oraz stukot podkutych butów ochroniarzy, którzy nadbiegali w kierunku zbiegowiska.

Młody uśmiechnął się pod nosem. Uzdrawianie nie wymagało tak spektakularnych działań. Teraz, kiedy miał w sobie tyle energii, mógłby załatwić sprawę, trzymając chorą za dłonie przez kilka minut. Efekt byłby ten sam i nikt w tłumie niczego by nawet nie zauważył. Ale plan Mundka zakładał maksimum efektów specjalnych. Ludzie musieli zobaczyć cud. Cud przez duże C.

I Młody im go dostarczał, w pełnej krasie, jak na spektaklu ulicznej magii Chrisa Angela.

Jasność narastała. Tłum wstrzymał oddech, strażnicy przepychający się do przodu także zamarli, nawet dzieciak przestał płakać, widząc, jak nad brzuchem jego mamy rośnie świetlista kula.

– *Kończ waść, wstydu oszczędź* – zakomenderował w myślach Mundek, stając w drzwiach kafejki i spoglądając w stronę zbiegowiska, podobnie jak wszyscy wokół niego. Wciąż kontrolował sytuację, nie pozwalając, by coś przeszkodziło w przedstawieniu. Kula energii pociemniała nagle i z głośnym trzaskiem oraz w oślepiającym błysku zamieniła się w miriady wyładowań, które przemknęły po roślinach, ludziach, ścianach. Gapie nie zdążyli spanikować chyba tylko dzięki interwencji telepaty, a może spektakl był tak olśniewający, że nie potraktowali tej

eksplozji jako realnego zagrożenia.

Kobieta otworzyła oczy. Wzrok miała mętny, jakby wybudzała się właśnie z narkozy albo głębokiego snu. Patrzyła, ale nie widziała. Jej mąż za to gapił się z otwartymi ustami na Młodego, który nerwowym ruchem przyglądał sobie włosy. Elektrostatyka uczyniła swoje, każdy, kto stał w promieniu kilku metrów, wyglądał teraz jak, nie przymierzając, młody Einstein. Każdy, kto miał włosy.

* * *

– Rewelacja! – Mundek szybkim ruchem wyłączył radio.

Minęły dopiero dwie godziny, a nie było w kraju stacji radiowej czy telewizyjnej, która nie zamieściłaby szczegółowej relacji z niewiarygodnego uzdrowienia, jakie miało miejsce w śląskim centrum handlowym. Setka naocznych świadków nadal dwoiła się i troiła, by przekazać dziennikarzom maksymalnie wyidealizowany obraz tego wydarzenia. Zaproszeni do studia lekarze piali z zachwytem nad cudownym i niewytłumaczalnym wyleczeniem niezwykle rzadkiego i zdecydowanie zabójczego schorzenia. W stacjach komercyjnych kapłani wszystkich wyznań dowodzili boskiej natury tego wydarzenia. Sceptycznie nastawieni naukowcy na ogół milczeli, a ci, których zmuszono do wypowiedzi, ze zgrozą przyznawali, że nie rozumieją, jak to się mogło stać. Nawet nieoceniony docent Cebula z Uniwersytetu Wrocławskiego nie potrafił tym razem udzielić jasnej i jednoznacznej odpowiedzi na temat tego zjawiska.

Jednakże największe wrażenie robiła na słuchaczach i widzach sama uleczona, która płacząc nieprzerwanie, z zasmarkanym dzieckiem na ręku, dziękowała nieznanemu dobroczyńcy w tak przekonujący sposób, że nawet Lisowi robiło się miękko w dołku. A co najciekawsze, media zupełnie przestały zajmować się polityką. I to był chyba jedyny cud, jaki wydarzył się w Polsce tego dnia.

Pierwsza faza planu Mundka wypaliła, bez dwóch zdań. Wprawdzie telepata początkowo zamierzał zakodować wszystkim świadkom dokładne instrukcje, dotyczące przekazu dla mediów, ale zrezygnował z tego pomysłu po celnej uwadze Młodego, że ludzie Sabiny z pewnością zechcą poznać bliżej szczegóły zdarzenia, a przy ich poziomie profesjonalizmu mogą wykryć każdą ingerencję. Dlatego Lis trzymał się cały czas w cieniu, a uzdrowiciel podczas akcji wystąpił w przebraniu.

Czas pokazał, że Młody miał rację. Dwie kamery przemysłowe filmujące

miejsce zdarzenia uchwyciły całą scenę i wkrótce wszystkie telewizje w kółko powtarzały nagranie, na którym widać było tajemniczego mężczyznę pochylonego nad leżącą kobietą, jasność tryskającą z jego dłoni i przedziwny błysk, kończący kilkunastosekundowe ujęcie.

– Nie ma możliwości, żeby przeoczyli naszą akcję.

Mundek na to właśnie liczył. Tak potężny esper ujawniający się publicznie z pewnością przyciągnął uwagę Rosjan. Teraz ruch należał do nich. Powinni lada moment złapać przynętę, a licznie pozostawione ślady, takie jak wynajęty za gotówkę pokój w pobliskim motelu, nerwowe zachowanie gościa, jego wizyta w recepcji z prośbą o podanie godzin odjazdu pociągów do Wrocławia i numer telefonu komórkowego, odcisnięty na bloczku hotelowego notesu, musiały prędzej czy później zaprowadzić tropicieli prosto do środka sieci, w której czyhał na nich najgorszy z drapieżców, jakich wydała ziemia. Tyrannosaurus Lis.

Skoczne dźwięki mazurka Chopina wyrwały Mundka z zamyślenia. Sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. Uśmiechnął się, przykładając ją do ucha.

– Tak?

– Dwa wozy, granatowe dreamcatchery, w sumie siedem osób. Sześciu mężczyzn i kobieta – zameldował zgodnie z umową Karski. – Właśnie mijają bramę.

– Rozumiem. – Mundek zatrzasnął motorolę i rzucił ją niedbale na półkę pod przednią szybą. – Przyspiesz Młody, musimy dostać się do Wrocławia przed dziewiętnastą.

* * *

Karski nie odłożył aparatu po zakończeniu rozmowy. Odczekał sekundę, aż spadnie połączenie, i nawet nie spoglądając na klawiaturę, nacisnął klawisz szybkiego wybierania. Ktoś odebrał po drugim sygnale, ale milczał. Inspektor spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

– Trzydzieści minut – powiedział, obserwując uważnie sekundnik. – Od... teraz.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, i schował komórkę do futerału przy pasku. Szybkie spojrzenie przez lornetkę na wartownię nie ujawniło niczego niezwykłego. Jeden z żołnierzy stał oparty o drzewo i palił papierosa, drugi siedział obok i obcinał paznokcie. Sądząc z ruchu ust, rozmawiali. Wartownicy najwyraźniej

traktowali pobyt w ośrodku jak wakacje. Agenci wroga przebywający na obcym terenie nie powinni zachowywać się aż tak nieprofesjonalnie. Andrzej zakładał więc, że Rosjanie po prostu wymusili zmianę wartowników i ministerstwo oddelegowało kolejnych zwykłych żołnierzy do ochrony ośrodka. Ludzi, którzy nie mieli bladego pojęcia, w co zostali zamieszani. Sprytny ruch ze strony esperów, ale jeśli Karski miał rację, mógł się dzisiaj obrócić przeciw nim.

Włożył lornetkę do plecaka i wycofał się z punktu obserwacyjnego, uważając, aby nie wejść przypadkiem w zasięg jednego z trzech detektorów ruchu. Na szczęście Ruscy nie grzebali w odziedziczonym systemie ochrony. Przynajmniej na tym odcinku. Dzięki Młodemu, który z nudów zdążył poznać niemal wszystkich abwerowców obstawiających teren ośrodka i nieraz przesiadywał z nimi w wartowni, oraz z małą pomocą telepaty Karski stworzył dokładną mapę wszystkich elektronicznych zabezpieczeń. I póki co nie mógł na nią narzekać.

Jednakże... był zbyt starym wygą, żeby dać się zwieść pozorom. Zawsze na etapie planowania zakładał najgorsze i nie wierzył niczemu, co zobaczył albo usłyszał. Rozleniwienie żołnierzy na bramie równie dobrze mogło być pozą, a pozostawione na miejscu czujniki sprytną pułapką na intruza znajdującego teren. Sam pozorowałby swoją słabość dokładnie w taki sposób. Dlatego poświęcił całe popołudnie na elektroniczne sprawdzenie podejścia do punktu obserwacyjnego i nie wychylił nosa nawet na centymetr poza zbadany teren.

Zdawał też sobie sprawę, że nie zdołają skutecznie odciąć Rosjanom łączności, chociaż Lis twierdził inaczej. Mogli poprzecinać wszystkie kable, łącznie z energetycznymi, wyłączyć maszty okolicznych przekaźników telefonii komórkowej i niskopasmowej sieci przesyłu danych. Pewnie udałoby się zsynchronizować i przeprowadzić taką akcję, ale nawet to niczego by nie gwarantowało. Jeden telefon satelitarny w ośrodku albo durne CB radio w samochodzie i cały wysiłek poszedłby na marne.

Dlatego plan zasadał się na wywabieniu z ośrodka części rosyjskiej ekipy uderzeniowej i cichej eliminacji tych esperów i techników, którzy w nim zostali, co powinno być możliwe dzięki darowi niewykrywalności Karskiego i sprzętowi zorganizowanemu przez Mundka.

Z testów, jakie przeprowadzili poprzedniego dnia z Lisem, wynikało, że telepata jego klasy potrafi wykryć obecność umysłu człowieka z odległości stu pięćdziesięciu metrów, jeśli nie ma między nim a celem żadnych metalowych czy

energetycznych przeszkód. Wyznaczając stanowiska strzeleckie kryjące najważniejsze obiekty ośrodka i drogi dostępu, Karski dla pewności zwiększył tę odległość dwukrotnie. Trzysta metrów dawało poczucie bezpieczeństwa snajperom, a i tak mieściło się w dolnych granicach widełek skutecznego zasięgu ognia.

Za trzydzieści minut ludzie Karskiego, podzieleni na dwa zespoły, zajmą wyznaczone pozycje wyjściowe w kryjówkach przygotowanych niedaleko stanowisk obserwacyjnych i ogniowych, a on sam spędzi tę noc w zaimprovizowanej pułapce przy jedynej drodze dojazdowej, na wypadek gdyby rosyjski korpus ekspedycyjny z jakichś powodów zawrócił i pojawił się w okolicy, zanim Lis wyda rozkaz rozpoczęcia ataku. Ładunki, które niósł w plecaku, powinny załatwić sprawę. Załatwią sprawę – w końcu uczył się od najlepszych. Turbaniarze początkowo chrzanili wszystko, nie mieli dostępu do silnych materiałów wybuchowych ani krztyny wyobraźni. Podczas trzeciej tury nastąpiła jednak trudno wytłumaczalna zmiana jakościowa. Ładunki wprawdzie wciąż konstruowano domowymi sposobami, ale wrogowie zaczęli myśleć – i okazali się prawdziwymi mistrzami w improwizowaniu. Andrzej w ciągu szesnastu miesięcy służby poznał dobrze metody i taktykę zamachowców, ale cena tej wiedzy nie była niska. Wielu chłopców z Szaranu straciło w podobnych pułapkach zdrowie, a nawet życie.

Szczególnie jedna forma zasadzki zapadła Karskiemu w pamięć. Dość duży ładunek, umieszczony na bądź przy drodze, miał za zadanie uszkodzić pierwszy pojazd konwoju. Potem następowało kilka serii z broni maszynowej, oddawanych zazwyczaj z dużej odległości, co miało wyglądać na ostrzał uszkodzonego pojazdu. Naturalną reakcją dowódców była komenda: z wozu. I wtedy rozpętywało się piekło. Dziesiątki niewielkich ładunków wypełnionych gwoździami albo innym świństwem rozrywało się wzdłuż konwoju, czyniąc spustoszenie wśród pozbawionych osłony żołnierzy. Taktyka ta nie była często stosowana, więc za każdym razem zbierała krwawe żniwo. Nikt nie myślał bowiem o pozostawieniu rannych swojemu losowi i niemal zawsze prędzej czy później ludzie musieli wyjść na zewnątrz, by uwolnić kolegów z wraku.

Andrzej postanowił, że zastosuje tutaj bardziej wyrafinowany wariant tej właśnie pułapki. Nie mógł dać Sowie do pomocy snajpera, miał ich tylko dwóch, co z trudem wystarczało na obstawienie ośrodka. Wybrał zatem odcinek drogi przebiegający przez dość płytki parów i w lewej koleinie umieścił pierwszy ładunek. Niewielki, ale wystarczający do rozerwania opony. Przy odrobinie szczęścia pasażerowie wezmą to za zwykły wystrzał gumy. W terenie nie takie rzeczy się

zdarzają. Wsiądą, żeby obejrzeć uszkodzenia, a wtedy z zakopanych w piasku tulejek polecą na nich pięć kilogramów naprawdę ostrego złomu. Huku przy tym nie ma wiele, dymu prawie wcale. Sowa będzie miał około minuty na przygotowanie się do akcji. Tyle bowiem minie od momentu, gdy samochód skręci z szosy krajowej – co podporucznik zobaczy dzięki znakowaniu kamer monitoringu ośrodka – do rozerwania opony. W jego gestii pozostanie też możliwość kierowania ogniem, w zależności od rozwoju sytuacji. Andrzej podzielił bowiem ładunki na trzy niezależne sekcje.

Karski spojrzął na zegarek. Czekanie... Tego najbardziej nie lubił podczas akcji. A zapowiadała się naprawdę długa noc. Rozkaz ataku zostanie wydany dopiero, gdy rosyjscy esperzy wpadną w pułapkę zastawioną przez telepatę. A to mogło nastąpić najwcześniej za osiem do dziesięciu godzin.

* * *

Młody podśpiewywał w łazience, fałszując przeraźliwie, a telepata przysiadł na parapecie i palił kolejnego papierosa. Zatrzymali się w niewielkim, ale ekskluzywnym hotelu w samym centrum Wrocławia. Okna pokoju wychodziły na monumentalną bryłę średniowiecznego kościoła, obok którego stały dwie śmieszne, małe kamieniczki. Za nimi na tle błękitnego nieba można było dostrzec wieżę słynnego ratusza.

Dochodziła dziewiąta, a komórka wciąż milczała. Mundek trzymał ją w dłoni, jakby była amuletem, jakby chciał w ten sposób zmusić aparat do zawibrowania i wydania polifonicznego dźwięku. Spodziewał się, że Rosjanie dotrą do Katowic w środku nocy, przejazd z Mazur o takiej porze nie powinien im zająć więcej niż siedem, osiem godzin. Ślady, jakie celowo zostawił w motelu, były naprawdę wyraźne. Na tyle wyraźne, żeby każdy, kto zna się choć trochę na wywiadowczym fachu, mógł je odczytać. Zadbął też o to, by przypadkowi szperacze ich nie usunęli. Delikatne sugestie przekazane przedstawicielom lokalnej policji kazały im zabezpieczyć pokój do czasu przybycia ekipy specjalnej z Warszawy. Ekipy, której nikt nie wezwał. Nie dokonano więc przeszukania pokoju, jedynie opieczętowano drzwi. Tym sposobem Rosjanie dostali wszystko niemal na talerzu. Ale minęło już kilka godzin od momentu, w którym telefon mógł, a nawet powinien był zadzwonić, a tu nic. Cisza.

– Zamawiamy śniadanie do pokoju czy schodzimy na dół? – zapytał rażno Młody, wychodząc z zaparowanej łazienki.

– Do pokoju. – Mundek odpowiedział, nie zastanawiając się nawet przez sekundę. – Nie mam zamiaru ciągać jej tam i z powrotem – wskazał głową na szczupłą brunetkę siedzącą w fotelu.

Dziewczyna nie zareagowała na te słowa, patrzyła obojętnym wzrokiem na wzorzystą tapetę w rogu pokoju. Gdyby nie fakt, że jej wydatne piersi poruszały się nieznacznie przy każdym oddechu, można by zaryzykować twierdzenie, iż jest figurą woskową z gabinetu Madame Tussaud. Nawet przypominała Mundkowi jedną ze znanych aktorek, chyba amerykańskich, tyle że za cholerę nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska. Wypatrzyli ją wczorajszej nocy w klubie przy Rynku. Smukła czarnowłosa piękność o zaczerwienionych oczach i lekko rozmazanym makijażu popijała małymi łyżkami dziwnie pachnące ciemne piwo i nieustannie gapiała się w różowy telefon leżący przed nią na stole. Niestety, przekłeta komórka nie zadzwoniła ani razu. Około drugiej nad ranem Mundek uwolnił dziewczynę od bólu gwałtownego rozstania, prawdę mówiąc – uwolnił ją od wszelkich zmartwień. Tym razem nie z litości, ale z wyrachowania.

– Jeśli nie odbierzemy od razu, będziemy bardziej wiarygodni. – Piotrek wzruszył ramionami i chwycił ręcznik, który zaczął zsuwać się z jego bioder.

– Nie lubię czekać – mruknął Mundek.

– A kto lubi? – Biała płachta frotte ponownie opatulila szczelnie masywne uda uzdrowiciela, który odwrócił się do lustra przy drzwiach, żeby sprawdzić, czy na szczęce nie zostały jakieś ukryte włoski, przeczące reklamie o siedmiu rewelacyjnych, łagodnych jak atlas ostrzach.

– Może jednak pójdziemy – zaproponował, gdy szczegółowe oględziny dobiegły końca, jego nalegania nie były bezpodstawne. Room service nie oferował tak bogatego menu, jak hotelowa restauracja.

– Powiedziałem, zamów do po... – Telefon delikatnie zadrżał w ręce telepaty. Na tyle niespodziewanie, że wyleciał mu z dłoni i odbijając się od marmurowego parapetu, upadł na grubą wykładzinę.

– Szlag! – Mundek zaklął, ale się nie schylił. Dziewczyna wstała z fotela i podeszła mechanicznie do miejsca, w którym leżała komórka; wyglądała przy tym zupełnie jak android z kiepskich filmów fantastycznych. Podniosła aparat, otworzyła klapkę i przytknęła go do ucha, odgarniając długie, lśniące i czarne jak smoła włosy.

– Tak, słucham? – powiedziała zaspanym głosem.

– Czy rozmawiam z panią Witecką? – Kobięcy głos w słuchawce wydał się

Mundkowi znajomy. Bardzo znajomy. Ale słuchanie czyimiś uszami mogło być mylące.

– Tak, słucham – powtórzyła dziewczyna nieco przytomniej.

– Mam do pani wielką prośbę – głos rozmówczynie zabrzmiał niemal błagalnie – proszę nie odkładać słuchawki, to naprawdę ważna sprawa...

– Ale o co chodzi?

– Moja firma gotowa jest zapłacić dwieście tysięcy złotych, jeśli pani nam pomoże.

– Głupi kawał. – Dziewczyna prychnęła, a Mundek zaciągnął się papierosem. Ta zabawa zaczynała mu się podobać.

– To nie jest kawał, zapewniam! Nikt pani nie wrabia, naprawdę. Reprezentuję jedno z największych wydawnictw prasowych w kraju.

Sabina – tak, ten głos należał do niej bez najmniejszych wątpliwości – bardzo się starała, żeby jej rozmówczynie nie zakończyła zbyt szybko połączenia. Mundek wyczuwał w jej głosie to samo rozdrażnienie, jakie towarzyszyło mu podczas rozmów z Karskim. Samo życie.

Nawet najlepszy telepata nie może wpłynąć na swojego rozmówcę przez telefon.

– Ale o co chodzi?

– Mamy powody wierzyć, że jest pani w kontakcie z człowiekiem, który trafił na czołówki wszystkich dzisiejszych wydań. W zamian za ekskluzywny wywiad z nim jesteśmy gotowi zapłacić dwieście tysięcy.

– To jakaś niedorzeczność. – Lis podbił stawkę, strzepując popiół za parapet.

– Trzysta tysięcy i gwarancja anonimowości. – Licytacja została podjęta.

– Odkładałam słuchawkę. – Telepata zagrał va banque.

– Proszę – Sabina zaczęła mówić bardzo szybko, jakby obawiała się, że jej przyszła ofiara nie zechce wysłuchać przemowy do końca – proszę mi uwierzyć, że to nie kawał. Znalazłam pani numer w pokoju, który pan Kamil wynajmował wczoraj w Katowicach.

Po tych słowach zapanowało milczenie. Mundek puścił oko do Młodego, czekając na ciąg dalszy.

– Halo? – Sabina zareagowała na ciszę nerwowo. – Jest pani tam jeszcze? – Wskaźnik niepokoju w jej głosie rósł wprost proporcjonalnie do długości przerw w rozmowie.

– Tak. – Lis niemalże czuł bezsilność swojej przeciwniczki, prawie jej współczuł, wiedząc, jaki ból może sprawić taka niepewność komuś, kto jednym skinieniem palca skłania innych do posłuszeństwa.

– Może mi pani wierzyć, reprezentuję ludzi, którzy zapewnią Kamilowi najlepsze kontrakty albo jeśli tego zechce, ochronę, a nawet święty spokój i zniknięcie z oczu opinii publicznej.

O tak, pomyślał Mundek, to ostatnie z pewnością jesteście w stanie zaoferować...

– Kwestią czasu jest, kiedy dopadnie go konkurencja. – Sabina po marchewce spróbowała użyć kija.

– Za trzysta tysięcy nie rozpoczniemy nowego życia... – Mundek naprowadził Rosjanę na właściwy temat. Tym razem milczenie zapadło po drugiej stronie słuchawki. Telepata pomyślał, że sterowanie innymi ludźmi, zwłaszcza tymi, którzy uważają, iż posiadają pełną kontrolę nad otoczeniem, jest łatwiejsze od dłubania w nosie.

– Tyle oferujemy za umożliwienie kontaktu z Kamilem. Honoraria za wywiady na wyłączność, pictoriale i udział w naszym programie telewizyjnym dadzą mu drugie, jeśli nie trzecie tyle. Mając takie pieniądze, zdołacie sobie ułożyć dalsze życie. Z takim talentem...

– A co pani wie o jego talencie, o cenie, którą musi za niego płacić?

Sabina nie zareagowała – nazbyt dobrze wiedziała, jaka jest cena takiego czy innego daru.

– Jeśli paparazzi dopadną was pierwsi, wszyscy dowiedzą się, kim jest pani nowy chłopak, i to za darmo. – Marchewka się skończyła, kij wydawał się logiczniejszym posunięciem. – A dopadną was prędzej czy później, może być pani pewna.

– Sama nie mogę podjąć takiej decyzji...

– Rozumiem. Ale czas to pieniądz. Jutro ta informacja będzie warta dziesiątą część kwoty, którą oferuję teraz. – Mundek zaciągnął się mocno papierosem i wypuścił dym przez nos. Sabina jest niezła w negocjacjach, mogłaby zrobić karierę w marketingu bezpośrednim, pomyślał z uznaniem, ale i nie bez złośliwości... – Proszę się dobrze zastanowić, nim będzie za późno – kusila.

– Powiedzmy, że się zgodzę...

– Znakomicie. – Niepokój w głosie rosyjskiej telepátky wyparował w jednej

chwili. – Spotkajmy się, aby omówić szczegóły.

– Ale gdzie? Ja mieszkam we Wrocławiu. – Lis spojrział na smętną resztkę papierosa i sztachnął się po raz ostatni. Mocno.

– Wiem o tym – odpowiedziała natychmiast Sabina – i jestem do pani dyspozycji nawet za kwadrans.

Mundek słysząc ostatnie słowa zakrztusił się, dym wypełniający płuca zamiast wydostać się na zewnątrz, trafił jeszcze głębiej.

– Jezu... – Tyle tylko zdołał wyartykułować ustami czarnuli, zanim zaczął przeraźliwie kaszleć.

– Czy coś się stało? – zaniepokoiła się rosyjska telepatką.

Lis tymczasem, siny na twarzy, usiłował odzyskać oddech, ale dym nadal nie chciał opuścić najgłębszych zakamarków jego płuc. Spazmatyczny kaszel w tle musiał się powtórzyć.

– Halo?

– Tak? – Nie mógł się skupić, nie mógł myśleć, mógł tylko kaszleć.

– Wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona Rosjanka.

– Tak.

– Słyszałam...

– Tak?

– ... czyjś straszny kaszel.

– To... tylko Kamil. – Telepata powoli dochodził do siebie, charczał przy oknie jak zarzynany zwierz, ale przynajmniej mógł znów kontrolować rozmowę. – Odchorowuje wczorajsze...

– Rozumiem. Proszę mu życzyć zdrowia. – Sabina szybko się opanowała, wiedziała, że taka reakcja uzdrowiciela mogła być prawdziwa. – Ale wracając do tematu...

– Nie damy rady zebrać się w kwadrans. – Mundek otarł ślinę z ust i prychnął, zdeptał na grubej wykładzinie żarzący się coraz mocniej niedopałek. – Sama pani słyszy.

– Spokojnie, nie naciskam. – Głos Sabiny zrobił się nagle słodszy niż czekolada Lindta. już była w ogródku, już się z gąskami witała. – Może być za pół godziny. Czas to pieniądz, proszę o tym nie zapominać. Dzisiaj wywiad, dzisiaj publikacja, bardzo nam zależy, żeby mieć tę historię na wyłączność. Konkurencja tyle nie zapłaci – przypomniawszy.

– Naprawdę? – Lis postanowił przekłuć balonik pewności Sabiny.

– Naprawdę – odparła szczerze. – Mogłam zacząć licytację od stu tysięcy i po potrojeniu tej kwoty byłaby pani wniebowzięta, ale chciałam grać fair. Zaoferowałam kwotę wyjściową, której nikt w tym kraju nie przebije. Ale nie będę ciągnęła licytacji wyżej, naprawdę. Są granice, których nie opłaca się przekraczać. Mogę dodać jeszcze trzydzieści tysięcy. W gotówce i bez pokwitowań. Tylko dla pani, jako mały dowód wdzięczności, jeśli zgodzi się pani na spotkanie ze mną.

– Nawet jeśli się nie dogadamy? – Lis udał zaskoczenie, choć sam postąpiłby tak samo, gdyby znalazł się na miejscu Sabiny. Najważniejsze było złapanie kontaktu.

– Nawet w takim wypadku.

Telepata uśmiechnął się. Jasne, przecież wynik jest z góry ustalony.

– Ciekawa oferta – powiedział ustami czarnuli.

– Wiem. Ale aktualna tylko teraz.

– Dobrze. – Mundek uznał, że nadszedł czas na skończenie tej przepychanki. – W takim razie moja propozycja jest następująca: spotkamy się za godzinę w motelu „Non Stop”, przy autostradzie.

– Pani Moniko – Rosjanka nagle zmieniła ton na znacznie zimniejszy – pozwoli pani, że ja podam miejsce i czas spotkania.

– A dlaczego? – Odrobina naiwności nigdy nie zaszkodzi, pomyślał Mundek.

– Bo to ja płacę. – Odpowiedź była tyleż krótka, co konkretna.

Lis nie odpowiedział. Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli.

Postanowił szybko zreasumować fakty. Rosjanie z pewnością ustalili już adres czarnuli. Być może nawet byli u niej w domu. Zaraz, jak Sabina wyraziła się przed chwilą? Powiedziała: „pani nowego chłopaka”. Zatem mogli też dopaść byłego narzeczonego, niejakiego Janusza. Ale tutaj trop im się urywał. Facet był cholernie zazdrosny i podejrzewał Monikę o setki romansów. Rozstali się kilka dni temu. On zaczął chlać, upewniony w swoich podejrzaniach, ona trafiła w ramiona nowej miłości, o której nie wiedziała do tej pory ani rodzina, ani były narzeczoney. Życie pisze czasem najlepsze scenariusze. Postanowił więc iść za ciosem.

– Albo w „Non Stopie”, albo nigdzie. Przyjdziemy razem z Kamilem.

– Dziecko drogie, zastanawiasz się czasem nad tym, co mówisz? – Sabina zdobyła się na odrobinę sarkazmu. – Twarz twojego nowego przyjaciela jest dzisiaj na pierwszej stronie każdej gazety. – Lis uśmiechnął się, tak, spóźnienie na pewno zawdzięczali wizycie esperów w Oleśnicy, w domu Moniki. – jego wyczyn zepchnął w

niebył nawet kryzys rządowy. Zanim dotrzesz na miejsce spotkania, tysiące ludzi może go rozpoznać... – Sposób, w jaki zakończyła wypowiedź, sugerował, że dotarło do niej coś, co Lis zrozumiał w tej samej chwili. Pomyślała zapewne, że kochankowie mogą być teraz w motelu. Żałował, że przekazu telepatycznego nie da się wychwycić przez telefon. Musiał działać.

– Ma pani świętą rację – podchwycił natychmiast. Nie chciał, żeby esperzy nadziali się na nieprzygotowanych chłopców Karskiego, a wszystko wskazywało na to, że Sabina właśnie wysyła swoich ludzi na miejsce, w którym zastawiono na nią pułapkę. – Głupio myślę z rana, zwłaszcza po nieprzespanej nocy. Gdybym jednak zamówiła taksówkę...

– Taksówka? – prychnęła Sabina. – Taksówkarze to najwięksi plotkarze świata. I najwierniejsi czytelnicy pism brukowych. Sprzedadzą cię bez mrugnięcia okiem. „Fakt” daje za informacje o Kamilu pięćdziesiąt tysięcy.

– Ma pani rację... – zawód, zawód w głosie, jak najczęściej zawodu.

– Podeślę po was samochód służbowy i porozmawiamy w naszym biurze. – Rosjanka kuła żelazo, póki było gorące. – Proszę podać mi adres.

– Ale ja nie jestem teraz u siebie.

– Nie szkodzi. Proszę mi wierzyć, tak będzie najbezpieczniej... – Sabina rozegrała tę partię po mistrzowsku. Zbyt dobrze, jak na gust telepaty.

Czas na przerwę, pomyślał Mundek. Zdecydowanie trzeba zwolnić tę licytację. I dać cynk antyterrorystom.

– Proszę mi dać kwadrans do namysłu.

– Rozumiem – lekka nuta niepewności wróciła do tonu wypowiedzi Rosjanki, ale tylko na chwilę. – Proszę to sobie przedyskutować. Zadzwoń za piętnaście minut.

Dziewczyna złożyła aparat, ale nie ruszyła się z miejsca. Mundek odchrząknął głośno, chciał splunąć na wykładzinę, ale w ostatniej chwili się zreflektował. Nie zwykł zachowywać się jak świnia, a już zafundował sprzątaczkę niedopałek rozdeptany w perskim dywanie. Ruszył w kierunku łazienki, mijając zdezorientowanego Młodego.

– Mamy problem – powiedział telepata, po tym jak niezwykle dokładnie przeplukał usta, żeby pozbyć się ohydny smaku.

– Tyle to sam słyszałem. Ale na czym dokładnie polega ten problem? Snajper czeka w umówionym miejscu. Ruscy nie myślą o niczym innym, jak tylko o spotkaniu ze mną. Odwaliłem takiego copperfielda, że cały kraj huczy. Muszą się zgodzić na nasze warunki. To my mamy wszystkie asy w tym rozdaniu.

Mundek spojrział z rozbawieniem na roznegliżowanego i rozentuzjzmowanego uzdrowiciela.

– Chłopczyku, masz do czynienia z zawodowcami. Chcą cię dostać, bez dwóch zdań, ale na swoich warunkach. Nie pójdą na spotkanie w miejscu, które ja im podam.

– Nalegaj.

– Czas gra na naszą niekorzyść. – Mundek podniósł z nocnej szafki swoją komórkę, odszukał przygotowaną wcześniej treść wiadomości i kliknął „wyślij”. Chłopcy Karskiego musieli się natychmiast ewakuować z motelu, jeśli Sabina wyśle tam telepatę, aby sprawdził, czy Monika mówiła prawdę, wszystko się wyda. – Oni są sprytniejsi, niż przypuszczałem. Zamiast dzwonić bezpośrednio po znalezieniu numeru, sprawdzili tożsamość właścicielki i zrobili jej wjazd do domu.

– Pochlastali jej starych? – Młody zrobił wielkie oczy, ale telepata pokręcił jedynie głową. Fakt, nie musieli zabawiać się w T-1000, wystarczyło bezboleśnie pogrzebać rodzicom w zwojach. – Zatem wiedzą już, że kitujemy.

– Niekoniecznie. – Lis sięgnął po papierosy. – Przypadkiem zyskaliśmy dobre alibi. Monika kilka dni temu rzuciła swojego fagasa, on sądzi, że dla innego, ale nie wie, kim ów jest. Rodzina też niewiele wie na ten temat. Zatem gratuluję sercowego podboju.

Twarz Młodego rozjaśnił uśmiech. Zmierzył czarnulę wzrokiem, poskubał zębami dolną wargę.

– Wiesz, dziadzia, to mi się nawet... – zaczął, ale Mundek natychmiast go zgasił.

– Za tym oknem siedzi cała banda ruskich zabójców – wskazał w stronę Rynku – więc zacznij myśleć głową, a nie główką. Musimy opracować plan awaryjny. Mamy na to... – spojrział na zegarek – osiem minut.

– Szmata czasu. – Uzdrowiciel ciężko usiadł na łóżku.

– Myśl.

Milczeli przez chwilę, analizując wszelkie możliwe rozwiązania. Żadne jednak nie dawało im tak wyraźnej przewagi, jak pułapka w motelu. A tamto miejsce było spalone. Snajper jechał już do centrum, powinien dotrzeć w pobliże Rynku za pół godziny, może czterdzieści minut, ale użycie go w tak zatłoczonym miejscu nie wchodziło w grę. Ustalili jeszcze na Mazurach, podczas narady z Karskim, że cała akcja ma przebiegać w absolutnej tajemnicy. Dlatego wybrali Wrocław, skąd pochodzili obaj przydzieleni telepacie antyterrorysty – miejsce, w którym mogli zdjąć

Rosjan, nie zwracając niczyjej uwagi. Ogromny, ale prawie zawsze pusty parking dla TIR-ów przed bramką wjazdową na płatny odcinek autostrady oferował naprawdę idealne miejsce na pułapkę. Według Mundka esperzy powinni bez problemu zgodzić się na spotkanie w takim miejscu, im także zależało na jak najmniejszym rozgłosie. Na tym zasadzał się cały plan.

Ale Sabina okazała się ostrożniejsza, niż ustawa nakazuje. I chciała kontrolować całą operację od początku do końca. Miała też spore możliwości techniczne, pomimo nocy ustaliła dane właścicielki numeru. Tyle dobrego, że Młody zameldował się w podrzędnym moteliku, gdzie przy płatności gotówką z góry nikt go nie pytał o dowód tożsamości. Zatem Rosjanie wciąż mieli tylko fałszywe nazwisko i mylący rysopis.

– Na moje oko – powiedział w końcu uzdrowiciel – musimy trzymać się twardo naszych warunków albo możemy się od razu wycofać.

– Nie możemy. Ruscy w Warszawie nie próżnują. Za chwilę siądą na karku Karskiemu, a kiedy odkryją, jakim darem dysponuje...

– Fakt.

– Trzeba załatwić to tutaj i teraz. – Mundek zapalił papierosa i zakaszłał. Spodziewał się, że dym znów podrażni mu krtań, ale musiał się uspokoić.

– Bez wsparcia?

– Bez wsparcia.

– Dasz radę siedmiu ludziom? Siedmiu nadludziom?

Mundek nie odpowiedział. Do tej pory nie zastanawiał się, jak potężni mogą być pozostali rosyjscy telepaci. Całą swoją wiedzę czerpał z tego, co zaobserwował kiedyś u Sabiny, jeszcze wczoraj uważał, że dysponuje wystarczającą mocą, żeby dać sobie z nią radę. Ale dzisiaj, po tym wszystkim, nie był już pewien swojej przewagi. A zwątpienie, jak powiadają, bywa największym zabójcą sukcesu.

Nie mówił o tym Młodemu, ale w ciągu ostatnich dni sporo ćwiczył. Wszędzie, przy każdej okazji. Starał się poznać granice swojego daru. I zaczynał już dostrzegać zarysy. Choć nadal potrafił, kiedy się skupił naprawdę mocno, dokonać czynu, który wcześniej wydawał mu się niemożliwy. Na samą myśl o niektórych aspektach telepatii czuł gęsią skórkę. Pytanie tylko, czy Rosjanie nie potrafią tego samego albo i więcej...

– Słyszałeś, o co pytałem? – Młody patrzył na zamyślonego Lisa z niepokojem.

– Tak.

– Tak, słyszałeś, czy tak, dasz sobie radę?

– Tak, słyszałem.

– Wiesz, dziadzia, a ja myślę, że powinniśmy się stąd zwijać, zanim...

– Nie. – Mundek potarł dłonią po zarośniętej brodzie. – Doprowadzimy tę sprawę do końca. Nie mamy wyjścia. Jeśli dopadną Karskiego, wyciągną z niego wszystko. Telepatia jest najskuteczniejsza, ale środki chemiczne niewiele jej ustępują. Tylko na filmach superagenci potrafią zatrzymać tajemnice dla siebie. A kiedy Andrzej sypnie, będziemy następni w kolejce.

– Mówiłem, żebyśmy spadali na Karaiby. – Młody westchnął.

– Mówiłeś. – Po raz pierwszy od przemiany Mundek nie wykluczał, że uzdrowiciel ma rację. Co bynajmniej nie było pomocne.

– Jeszcze nie jest za późno...

Telepata, zamiast odpowiedzi, wypuścił z ust wielki kłęb dymu. Dopiero po kilku sekundach, gdy szara zawiesina rozproszyła się i znikła, powiedział:

– Nie, Piotruś, minęliśmy już punkt bez powrotu.

– Mylisz się", dziadzia, dopóki Ruscycię nie namierzają, możesz jeszcze wszystko zmienić.

– I co? – Telepata przekrzywił głowę i uśmiechnął się blado. – Wydamy Karskiego, jego rodzinę, doktora Karewicza i cały ten burdel – wskazał za okno – na pastwę ludzi, którzy zostawili nas pod płotem, żebyśmy zdechli?

– Czasem trzeba umieć odpuścić.

– Czasem trzeba umieć się postawić.

– Tak, wiem. – Młody wstał. – Może dlatego większość świąt upamiętnia nasze romantyczne klęski. Dorośnij, człowieku, zachciało ci się zemsty, a jesteś tylko mrówką, która kopie w dupę siedzącego słonia. Co my o nich wiemy?

– Masz rację – przyznał Lis. – Nie wiemy nic o mocodawcach Sabiny. Ale to wkrótce ulegnie zmianie. Nie sądzę, żeby Rosjanie mieli do dyspozycji setki telepatów. Na logikę, stworzyli zespół podobny do naszego. Zebrali w nim wszystkich swoich esperów albo tylko tych najlepszych, jedyna różnica polega na tym, że my utrwalaliśmy władzę wewnętrzną, oni zaś anektują inne kraje.

– Pozwól, że powtórzę moje pytanie. – Uzdrowiciel raz jeszcze poprawił rękaw. – Dasz sobie radę z tyloma przeciwnikami?

Mundek spojrzał na niego ze złością. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, komórka w ręce czaruli zabrzęczała znajomo. Niedopałek poleciał za okno, Lis uznał, że tym razem nic nie może przeszkadzać w rozmowie.

- Pani Witecka?
 - Tak.
 - Zastanowiła się pani? – Sabina nie siła się już na uprzejmość.
 - Mam jeszcze parę wątpliwości.
 - Z przyjemnością je rozwiejemy podczas spotkania.
 - A gdzie się spotkamy?
 - Proponuję raz jeszcze przyjazd do naszego biura, mamy piękny apartament na pięćdziesiątym czwartym piętrze Sky Tower, z widokiem na Stare Miasto.
 - Wolalabym raczej miejsce publiczne.
 - Dlaczego?
 - Powiedzmy, że między ludźmi będę się czuła swobodniej.
 - Pani się nas obawia?
 - A pani by się nie bała? Przecież talent Kamila...
 - Jego dar, to nie jest talent, tylko wielki dar, może sprawić, że będziecie do końca swoich dni żyć w luksusie, pani Moniko, ale musicie trzymać z kimś, kto was obroni teraz, kiedy jeszcze nic nie macie. My możemy dać wam mocny start.
 - To wszystko stało się tak nagle... – Lis zadbał, żeby w głosie Moniki pobrzmiwało zagubienie.
 - W porządku. Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy spotkały się gdzieś w centrum, jeśli tego sobie pani życzy. Na neutralnym gruncie i niekoniecznie za kwadrans. – Sabina wiedziała już, że zdobycz jej się nie wyślizgnie. Mogła iść na ustępstwa.
 - Zatem za pół godziny na Rynku – zaproponował Lis.
 - Dobrze.
 - W ogródku „Literatki”? – Krótkie sondowanie umysłu dowiodło, że czarnowłosa może i nie znała dobrze topografii miasta, ale po knajpach w obrębie Rynku mogła wycieczki oprowadzać.
 - Nie ma sprawy.
 - A jak panią poznam? – Wprawdzie Mundek poznałby Sabinę z zamkniętymi oczyma, ale musiał zachować pozory.
 - Będę w czarnym kostiumie...
 - Lubię czarny kolor, ale wolalabym jakiś lepszy znak rozpoznawczy.
 - Proszę coś zaproponować. – Rosjanka całkiem się rozluźniła.
- Lis westchnął, może popiersie Lenina w mosiądzu byłoby odpowiednie w tej

sytuacji? Najlepiej naturalnych rozmiarów. Znowu sięgnął do umysłu dziewczyny.

– Co pani powie na nowy numer „SFFiH”?

– A co to jest? – w głosie Sabiny pojawiła się nuta wahania.

– „Science Fiction, Fantasy i Horror”. Takie czasopismo. Może je pani dostać w kioskach albo nie, lepiej w księgarni, tej w holu biblioteki wojewódzkiej, dosłownie sto metrów od „Literatki”, na sąsiedniej ścianie. Tam zawsze je mają najwcześniej.

– Dobrze. Będę na Rynku za pół godziny.

Ciche kliknięcie oznaczało zakończenie połączenia.

Młody, wciąż stojąc w ręczniku przy lustrze, zrobił pytającą minę. Mundeck odesłał dziewczynę na fotel i oparł się obiema rękami o parapet. Nowy plan powoli kształtował się w jego umyśle. Nagiał się do żądań Sabiny, ale może jeszcze obrócić porażkę na swoją korzyść.

– Zadzwoń do chłopaków – rzucił do Młodego, ruszając w stronę drzwi. – Niech jada na rezerwowe miejsce, do tego hoteliku w parku, przy poligonie. Suka chce wyjąć z głowy naszej panienci informacje, to je dostanie.

– No, wreszcie coś rozsądnego – ucieszył się Młody i sięgnął po komórkę.

Lis nic nie powiedział, machnął tylko ręką, zanim zniknął za drzwiami. Bo niby co miał mówić, przecież doskonale wiedział, że Sabina, zyskawszy bezpośredni dostęp do umysłu czaruli, od razu zorientuje się, że ma do czynienia z prowadzoną na telepatycznym sznurku kukiełką.

* * *

Nie minęło pięć minut od zakończenia rozmowy z Sabina, a telepata stał już na płycie Rynku. Chciał dokładnie rozpoznać teren, zanim dojdzie do konfrontacji. Do niedawna miał plan, dobry plan, ale na zupełnie inną okazję. Zamierzał spotkać się z Rosjanami na uboczu, gdzie identyfikacja celów byłaby o wiele prostsza, a wsparcie snajpera zapewniłoby przewagę na starcie. Chciał wciągnąć ich w misternie utkaną pajęczynę. Ale tutaj... W tym tłumie? Dziewiąta rano w środku sezonu, zwłaszcza w mieście takim jak Wrocław, to niemal godzina szczytu.

Spojrzał na otaczające go grupki turystów. Może nie będzie tak źle. Wielu ludzi to wiele języków. Wystarczająco dużo, żeby nie czuć się pewnie. Napływ takiej masy niezrozumiałych myśli będzie niczym zasłona dymna, w której Mundeck może zniknąć w razie problemów. Zwłaszcza że przeciwnik nie powinien być przygotowany

na taką niespodziankę, jak obecność innego espera. A jeśli nawet wychwyci jakiś sygnał, w gęstym tłumie nie sposób dokonać precyzyjnej identyfikacji źródła.

Telepata rozłożył zabrany z pokoju plan miasta i dołączył do pierwszej sporej wycieczki, która szła w tę samą co on stronę. Suka była gotowa umówić się na spotkanie za kwadrans, a to znaczyło, że Rosjanie mogli lada moment pojawić się w okolicy, o ile już ich tutaj nie było. Lis rozejrzał się nerwowo, zbyt nerwowo. Nie pasował do malowniczej grupy hiszpańskiej młodzieży. Mimo że przed akcją ściał i zafarbował włosy, nie mógł łatwo ukryć swojego wieku.

Zaklął pod nosem i szybko się rozejrzał. Katalończycy właśnie mijali dużą grupę niemieckich emerytów, chłodzących się w oparach zawiesiny wodnej obok szklanej fontanny. Przewodniczka, kobieta wzrostu marnego, ale słusznej wagi, wskazywała szpicrutą na Plac Solny, zasypując jednocześnie słuchaczy potokiem warkotliwych słów, wypowiedzianych z szybkością karabinu maszynowego. Mundek nic z tego szwargotu nie rozumiał, ale wiedział, że aktywność setki zwapniałych mózgownic, starających się zarejestrować choć nikłą część tej przemowy, może stanowić dla niego niezłą osłonę.

Był pewien, że esperzy Sabiny sprawdzą teren na krótko przed spotkaniem. Będą szukali ewentualnych pułapek albo zagrożeń. Ruscy przyjdą po kobitkę, która ma ich doprowadzić do uzdrowiciela, zatem skupią się na odczytywaniu ogólnych emocji tłumy. Będą chłonać myśli wszystkich ludzi wokół, szukając haseł kluczowych. To ich rozproszy. Zwłaszcza wielojęzyczny jazgot. Myli się bowiem ten, kto uważa, że telepatia pozwala porozumiewać się ludziom mówiącym różnymi językami. Nic nie jest takie proste, jak się wydaje – o czym Mundek przekonał się już dawno, jeszcze w poprzednim, uboższym wcieleniu. Mało kto myśli obrazowo, tylko nieliczne jednostki potrafią wyrażać się mentalnie pełnokrwistymi wizjami. Co ciekawe, o wiele częściej robią to dzieci niż dorośli. Chyba dlatego, że wciąż brakuje im odpowiednich słów, żeby opisać widziany świat. W każdym razie telepata, dopóki nie wlezie z butami pod ciemię innej osoby, może odbierać jedynie potok słów, któremu towarzyszą chaotyczne obrazki, czasem migające jak puszczany poklatkowo film, a czasem zupełnie statyczne. Ale najpowszechniejszą formą przekazu są stany emocjonalne, one stanowią warstwę wierzchnią każdego kontaktu telepatycznego. I to ich będą szukali esperzy Sabiny, wyławiając z tłumy wszelkiego rodzaju aury wrogości i nienawiści.

Punkt przy fontannie wydawał się Lisowi idealny do obserwacji nie tylko obu miejsc wspomnianych w rozmowie, ale i kilku ulic wychodzących na tę ścianę Rynku.

Niestety, otaczający telepatę krajanie Goethego nie wyglądali na twardzieli, którzy wytrzymają na nogach jeszcze dwa kwadransy podobnego wykładu, już pod Grunwaldem ich praszczurowie udowodnili, że stanie w pełnym słońcu nie służy germańskiej cerze, o czym z pewnością ich potomkowie wciąż pamiętali, zwłaszcza tutaj, na „Ziemiach Utraconych”. Mundek przyjrzał im się dokładnie. Wokół stali ludzie naprawdę starzy, pomarszczeni i choć pora była wczesna, mocno wyczerpani. Nic dziwnego. Połowa tych dziadków z powodzeniem mogła w młodości uczestniczyć w obronie Festung Breslau. Założyłyby się o każde pieniądze, że tak właśnie było – z najgłębszych zakamarków ich umysłów nadal wydobywał się słodkawy odór dawno minionej wojny.

Jeśli chciał ich przy sobie zatrzymać, musiał natychmiast wymyślić sposób na ulżenie w turystycznej niedoli. Rozejrzał się uważnie. Pod frontonami kamieniczek stało kilka ławek, ale okupowała je spora grupa młodzieży. Zastanowił się, czy nie przepłoszyć szczawi, lecz użycie telepatii dla tak prozaicznego celu, zwłaszcza teraz, wydało mu się nazbyt ryzykowne. Zresztą gdyby nawet wszystkie ławki były puste, nie wystarczyłyby na nich miejsca dla tej rzeszy Niemiaszków. Nieco dalej, nie więcej niż kilkadziesiąt metrów od fontanny, u stóp spizowej postaci stojącej na cokole, znajdował się ogródek jakiejś restauracji. Mundek zaryzykował, stanął obok szwargoczącej wciąż przewodniczki, która sięgała mu ledwie do butonierki, i wysłał jej, a potem wszystkim zebranym wokół możliwie krótki i słaby komunikat. Kobieta terkotała jeszcze przez chwilę, a potem otarła usta i rzuciła wolniej kilka słów, z których zrozumiał jedynie „*bitte*”. Stado ruszyło za nią posłusznie niczym kierdel owieczek i po chwili mikra przewodniczka zaczęła usadzać swoich podopiecznych wokół posągu obcego im wieszca. Niech się dziadki w ramach zadośćuczynienia za grzechy przeszłości napiją lokalnego, tfu, piwa, pomyślał Lis nie bez satysfakcji.

Usiadł w samym środku grupy, nie musiał się nawet maskować, turyści byli tak zafascynowani powrotem do miejsc swojej młodości, że na nic nie zwracali uwagi. Wymienił parę uśmiechów z sąsiadami, a potem spokojnie wyjął komórkę i zadzwonił do hotelu. Młody odebrał po pierwszym sygnale.

– Nawijaj, dziadzia – powiedział niewyraźnie, zapewne miał pełne usta.

– Pamiętasz knajpkę, w której podziemiach zeżarłeś wczoraj stek wielkości średniowiecznej cegły? – zapytał Mundek.

– Pamiętam.

– A zdążyłeś się już ubrać?

Mundek zmienił temat, przypomniawszy sobie, że zostawił w pokoju wyłączoną czarnulę i prawie gołego uzdrowiciela.

– Jasne.

– Na pewno?

– Słowo.

– Świetnie. Zatem bierz dupę w troki i czekaj w podziemiach na mój sygnał.

– Już? – zdziwił się Młody. – Jem właśnie...

– Natychmiast!

– OK. A co z Andzią? – Wprawdzie dziewczyna nosiła zupełnie inne imię, ale znając Młodego mogło chodzić tylko o nią.

– Pieprz ją – mruknął Lis, zirytowany niepotrzebnie przedłużającą się rozmową.

– Mogę?

– Piotrek!

– Spoko, dziadzia, to był żart... – Ze słuchawki dobiegł niewyraźny chichot. – Już lecę.

Mundek odłożył telefon na stół i sięgnął po szklanicę z zimnym piastem. Wolałby warkę strong albo korzennego kapra, ale wiedział, że nie powinien się teraz wychylać. Przywoływanie kelnera w sam środek grupy Niemców zwróciłoby na niego uwagę i zrodziłoby niepotrzebne pytania, a zamówienie drogą telepatyczną mogło mieć jeszcze gorsze skutki. Skoro zdecydował przed chwilą, że będzie unikał jakiegokolwiek aktywności parapsychologicznej, dopóki nie zidentyfikuje wszystkich przeciwników, dotrzyma danego sobie słowa.

Teraz pozostawało mu już tylko czekać...

* * *

Kwadrans później wyczuł delikatne muśnięcie czyjegoś umysłu, a potem kolejne, już nieco silniejsze. Dwóch telepatów zbliżało się do pomnika od strony ratusza. Mundek skoncentrował się, wyciszając swoje myśli. Rosjanie prześlizgnęli się tylko po złorzeczających na smak tutejszego piwa niemieckich tetrykach i poszli dalej, w kierunku fontanny. Lis obserwował uważnie każde ich posunięcie. Obaj byli młodzi, nie mieli jeszcze trzydziestki, a sprężysty krok, szerokie bary i masywne karki sugerowały, że potrafią zabijać nie tylko intelektem.

Nie kryli się specjalnie, nadawali na całym paśmie, jak radio Erewan. I to był ich błąd. Mundek wprawdzie niewiele rozumiał z wymiany myśli pomiędzy młodzieńcami, ale śledząc ją, dotarł do trzeciego espera. Facet siedział w wozie zaparkowanym w uliczce dochodzącej do Rynku, zaledwie sto metrów od głównego wejścia do hotelu. Tego wejścia, którym Młody miał się udać na wyznaczoną pozycję.

Mundek zaklął pod nosem, jeśli Młody skrewił i nie posłuchał jego polecenia, zaczął dobierać się do czaruli albo spokojnie dokończył śniadanie, zamiast siedzieć bezpiecznie w podziemiach, mógł lada moment wejść w pole odbioru Rosjanina. Lis sięgnął po komórkę. Rozmowa przez telefon niosła pewne ryzyko, ale zwykły esemes mógł ostrzec uzdrowiciela, jeśli ten nie opuścił jeszcze pokoju hotelowego. Mundek otworzył motorole, ale zanim zdążył przejść w menu na pocztę, wyczuł znajome wibracje.

Tak jak zapowiadała, była ubrana na czarno. Dokładnie jak reszta jej zespołu. Dopiero teraz Mundek zwrócił na to uwagę. Wyszła z bramy budynku, w którym mieściła się biblioteka wojewódzka, trzymając w ręku zrolowane czasopismo. Nie spojrzała ani w kierunku toyoty, zaparkowanej w polu jej widzenia, ani w stronę ławek, na których spoczęli dwaj Rusczy. Nie musiała. Jej sygnał był silniejszy od tych, które Lis odebrał przed chwilą – o wiele silniejszy. Ale skierowany tylko do trzech osób. Tych, które zdążył już zidentyfikować. Czyżby drugi wóz zawrócił na Mazury? – pomyślał Lis. Taki obrót sprawy ułatwiał zadanie jemu, ale komplikował sytuację Karskiego.

Telepata oceniał rozwój wydarzeń z otwartym telefonem w dłoni. Sabina tymczasem założyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła swobodnym krokiem w kierunku „Literatki”. Dwaj esperzy na ławce wciąż gadali o czymś zawzięcie, a kierowca właśnie opuścił szybę i zapalił papierosa. Świetnie.

Mundek nacisnął klawisz wyboru poczty i wpisał szybko trzy krótkie słowa: „Tora, tora, tora”. Kiedy Karski, fascynujący się od lat kulturą Japonii, rzucił pomysł tego hasła, telepata śmiał się, ale teraz zrozumiał swoistą ironię. Ponoć historia lubi się powtarzać. Po raz drugi słowa te posłużą do ogłoszenia zaskakującego ataku, ale tym razem, przeciwnie niż przed siedemdziesięcioma laty, trzy tygrysy mogą przynieść atakującym zdecydowane i ostateczne zwycięstwo. Najważniejszy cel znajdował się wciąż w zasięgu wzroku, tylko mało ważne jednostki wroga umknęły z pułapki. Ale i one wkrótce skończą na własnym Morzu Koralowym. Lis nacisnął enter.

* * *

Karski leżał na dnie łodzi i spoglądał na bezchmurne, błękitne niebo. Jego chłopcy już od kilku godzin tkwili na stanowiskach, a sygnał od Lisa wciąż nie nadchodził. Minęła dziewiąta, słońce ostro przypiekało, co było szczególnie uciążliwe zwłaszcza tutaj, na środku jeziora, gdzie nie mógł znaleźć skrawka cienia. Tak muszą czuć się ryby wyrzucone na brzeg, pomyślał, rozpinając piankę o kilka kolejnych centymetrów, byle tylko ciało mogło przez chwilę odetchnąć.

Podniósł głowę i zlustrował brzeg przy ośrodku. Kolejny żołnierz wyruszył na obchód trasą, którą opisał wcześniej telepata. Przed chwilą sprawdził pomosty, teraz udał się między bungalowy. Na łódkę nie zwrócił najmniejszej uwagi, podobnie jak jego poprzednik. Znajdowała się daleko od brzegu, przy sporej mieliźnie, gdzie turyści pragnący spokoju często urządzali prowizoryczne kotwicowisko.

Karski spojrzął w kierunku wartowni. Przysadzisty budynek zasłaniały gęste krzewy porastające skarpe przy płocie, z łodzi widać było jedynie narożnik i metalową bramę. Szlaban pozostawał opuszczony od świtu. I dobrze – gdyby ktoś chciał opuścić to miejsce, musieliby działać, a to oznaczałoby niepotrzebne zamieszanie.

Komórka leżąca obok głowy Andrzeja bzyknęła cicho i zadrżała dwa razy. Przestał się uśmiechać i nerwowo sięgnął po aparat. Wiadomość od Lisa powinna spowodować jeden sygnał, dwa zarezerwowali dla grupy uderzeniowej.

To była wiadomość od Sowy. Podporucznik miał pilnować drogi do ośrodka i meldować o każdym podejrzanym ruchu. On też trzymał palec na detonatorze ładunków. Nie zdecydowali się na zapalniki zbliżeniowe z prostej przyczyny, dojazdówki używali czasami zwykli turyści.

– Szlag... – Karski przeczytał wiadomość składającą się z zaledwie dwu cyfr i jednej litery i natychmiast puścił równie krótką wiadomość zwrotną. Wrzucił telefon do foliowego worka i wsunął pod piankę. Dopiął zamek jednym ruchem, przełożył ostrożnie gumowany plecak za burtę łodzi, po czym sam przetoczył się po niej do wody. Musiał się spieszyć. Milczenie telepaty przestało mieć znaczenie. Jedna z toyot, które w nocy wyruszyły z ośrodka, właśnie skręciła w leśny trakt. Do jej eliminacji, a co za tym idzie rozpoczęcia akcji pozostały najwyżej minuty. Zrobił wszystko, co było możliwe, żeby ewentualna eliminacja pasażerów samochodu nie została zauważona z ośrodka, ale licho nie śpi. Nie miał żadnej gwarancji, że wybuch nie wywoła alarmu.

Woda była taka orzeźwiająca, wręcz bosko chłodna, Karski od razu poczuł w

sobie więcej energii, gdy zniknął z rozgrzanego pokładu żaglówki. Dokleił przyssawki upręży do plecaka, założył go na jedno ramię, a potem odpiął butlę tlenową wiszącą na linie za burtą łodzi. Wypróbował po raz ostatni ustnik i przepłukał szybko maskę. Gdy się zanurzał, poczuł mrowienie w okolicy wątroby. Krótkie, lecz intensywne. Dopiero po chwili zrozumiał, że to telefon sygnalizuje nadejście kolejnej wiadomości. Jeden sygnał. Lis.

Karski nie zatrzymał się. Cokolwiek było w wiadomości od telepaty, i tak się już nie liczyło. Rozpoczął akcję i nie miał odwrotu. Zresztą gdyby nawet wypłynął na powierzchnię od razu po sygnale, nie zdążyłby powstrzymać Sowy przed naciśnięciem spustu. Wypłatanie się z upręży, dotarcie do telefonu, odczytanie tekstu, przełączenie i wpisanie kolejnego, to wszystko odebrałoby mu cenne sekundy potrzebne na dotarcie do brzegu, zanim rozpęta się prawdziwe piekło. Był pewien, że najmniejszy błąd podczas akcji na drodze spowoduje alarm w ośrodku i esperzy nie będą już owieczkami idącymi na rzeź, ale stadem wilków w owczych skórach. Samotny intruz straci jedyną przewagę – efekt zaskoczenia.

* * *

Mundek dopił piwo, nie wypuszczając komórki z ręki. Minęły już prawie trzy minuty, a Karski nie odpowiadał. To było bardzo niepokojące. Nie tak się umawiali. Rozkaz ataku powinien być potwierdzony natychmiast. Natychmiast. Antyterrorysta był jednym z najbardziej poukładanych ludzi, jakich Mundek poznał w całym swoim życiu. Służbista w każdym calu, rutyniarz. Takie zachowanie było do niego niepodobne. Zatem skoro nie odpowiedział... Telepata oblizał nerwowo wargi. Coś musiało się stać, pomyślał. Coś na tyle poważnego, że Karski złamał ustalone wcześniej procedury. Ale co to mogło być, na litość boską?!

Mundek spanikował. Właśnie uświadomił sobie, że przez moment nie kontrolował swoich myśli. Zaledwie przez kilka sekund, ale i tak odkrył się, i to w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, jeśli którykolwiek z telepatów nadal skanował najbliższe otoczenie, mógł bez problemu wykryć jego obecność.

Spojrzał na dwóch osiłków, już nie rozmawiali, siedzieli wyprostowani, zniknął też ich niedawny luz. Najwyraźniej przeszli na nasłuch. No to mamy problem, pomyślał Lis, sprawdzając możliwe drogi ucieczki. Gdybym teraz wstał i spokojnie się oddalił... Nie namierzą mnie w tłumie, jeśli ponownie nie użyję telepatii.

Zdecydował, że w zaistniałej sytuacji najrozsądniej będzie się wycofać. I to szybko. Zanim jednak wstał, dotarł do niego przekaz kierowcy. Facet nadawał, jak jego kumple przed chwilą, zupełnie otwarcie. Musiał być nieziemsko przerażony. Mundek poczuł ten strach fizycznie, choć nie zrozumiał ani słowa z wymiany myśli prowadzonej przez rosyjskich esperów. Kierowca lśnił w rodzimym języku i z pewnością nie był to szkolny rosyjski. Na domiar złego nadawał tak szybko, że słowa zlewały się w jedno.

* * *

Karski wynurzył się ostrożnie w samym środku szuwarów, daleko za drugim pomostem. Zlustrował uważnie skarpe, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. W polu widzenia miał trzy najbliższe bungalowy. Ubiegłej nocy w żadnym z nich nawet na chwilę nie zapaliło się światło, przyjął zatem, że nie wykorzystywano ich w tej chwili. Według zapewnień Lisa ta część ośrodka nie była używana od paru lat i powoli popadała w ruinę. Wydawała się więc idealna na przyczółek i bazę wypadową do ataku.

Ledwie wyczuł ziemię pod nogami, rozpiął piankę i wyciągnął woreczek z telefonem. Od eksplozji minęło niespełna sześć minut, od sygnału – siedem. Z jednej strony to tylko chwila, nie do końca wypalony papieros, a z drugiej wieczność. Podczas akcji można zginąć w tym czasie kilkadziesiąt razy. Siedem minut niepewności na polu walki potrafi zabrać człowiekowi lata życia.

Wiadomość była krótka i na szczęście nie znalazł w niej niczego niepokojącego. Szybko wcisnął kilka klawiszy. Na wyświetlaczu widniała sekwencja: F1+, ale po sekundzie namysłu Andrzej dopisał jeszcze t3-. Pierwsza faza operacji została pomyślnie zakończona, a sądząc po ciszy, jaka panowała w ośrodku, żaden z pasażerów toyoty nie przeżył gorącego powitania. Po wysłaniu odpowiedzi Karski nawiązał kontakt ze wszystkimi stanowiskami. Sowa zameldował bezproblemowe wykonanie zadania, Sokół jeden przekazał informację, że wartownik rozpoczyna właśnie kolejny obchód.

Andrzej miał trzy minuty na zniknięcie z brzegu. Schował telefon i wypełził na skarpe tuż przy pierwszym domku, co chwilę zamierając bez ruchu i rozglądając się uważnie. Szara pianka idealnie wtapiała się w otoczenie; jeśli ktoś nie patrzył dokładnie w tę stronę, nie powinien go zauważyć. Sześćdziesiąt sekund wystarczyło,

by antyterrorysta ukrył się za narożnikiem, gdzie wreszcie mógł wstać. Raz jeszcze sprawdził przedpole, a potem szybko wybrał z wody linkę, do której przyczepiony był plecak.

Bungalow miał przeszkloną werandę wychodzącą wprost na tafłę jeziora. Karski przysunął się od zewnątrz do barierki i rzucił okiem do wnętrza. Brudne szyby nie pozwalały dostrzec wiele, ale to co zobaczył, wystarczyło, żeby potwierdzić jego domysły. Domek od dawna pozostawał niezamieszkały.

Pokonanie wiekowego łucznika nie było wyzwaniem, podobnie jak podważenie zasuwki. Andrzej wsunął się do wypełnionego zapachem stęchlizny wnętrza i natychmiast zaczął rozpakowywać plecak. Musiał rozciąć nożem gładki materiał, inaczej nie dało się go otworzyć. Przygotowywany specjalnie na takie okazje pojemnik z pokrytego śliską gumą plastiku nie miał żadnych wypustek ani zamków, inaczej mógłby zbyt łatwo zaplątać się w szuwary, a to oznaczałoby pewną śmierć dla żołnierza wysłanego na teren wroga. W wodoszczelnym plecaku znajdowało się bowiem wszystko, czego człowiek potrzebuje do przeżycia na polu walki.

Niespełna dwie minuty później Karski stanął przy głównych drzwiach – w maskującym mundurze, żelowej kamizelce kuloodpornej i pełnej uprząży bojowej. Odchylił nieco zakurzoną firankę, by sprawdzić, czy żołnierz patrolujący brzeg jeziora nie zauważył niczego podejrzanego, gdy nagle usłyszał za plecami dźwięk przypominający stłumione westchnienie. Zamarł, usiłując w brudnej szybie zobaczyć cokolwiek, ale widział jedynie biel swoich oczu. Twarz pokryta barwami maskującymi idealnie komponowała się z naciekami.

Ktokolwiek wydał ten dźwięk, powinien już dawno zaatakować. Pod warunkiem, że zamierzał zabić. Karski odsunął ręce od tułowia, puścił kolbę mp5 i powoli się odwrócił, jeśli ma zginąć tu i teraz, wolałby zobaczyć z czyjej ręki. Chciał zapamiętać twarz sukinsyna, żeby dopaść go kiedyś, już po tamtej stronie. Taka irracjonalna myśl przemknęła mu pod czaszką, gdy robił powolny obrót, ale salon domku okazał się równie pusty jak przed chwilą. Zza okna dobiegł go odgłos niespiesznych kroków, jakimi wartownik obchodził teren. Rytmiczny chrzęst zbliżył się od prawej i po chwili ucichł za załomem ściany.

Andrzej opuścił ręce, na szczęście bandana pochłonęła niemal cały pot, który inaczej strumieniem, zalałby mu oczy. Wyjął pistolet z kabury, chwycił kolbę w obie dłonie i rozejrzał się uważniej po pomieszczeniu. Wszędzie unosił się kurz, schody na pięterko także były nim pokryte, ale na podłodze przy drzwiach wejściowych zauważył

kilka niewyraźnych śladów, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Odciski butów, całkiem świeże.

Karski wymierzył w jedyne zamknięte drzwi na dolnym poziomie. To za nimi musiał ukrywać się ten, który jęknął. Kimkolwiek był, właśnie się zdradził i drogo zapłacił za swój błąd. Andrzej ruszył, ostrożnie stawiając stopy na skrzypiącej podłodze. Bezwiednie zszedł z linii strzału. Sądząc z rozkładu pomieszczeń, to musiała być łazienka. Z jednej strony zamkniętych drzwi znajdowały się schody prowadzące do sypialni na piętrze, z drugiej niewielka wnęka kuchenna. Domniemana łazienka mogła mieć najwyżej metr szerokości i dwa długości. Żadnych załamań ani zakamarków. Jeśli będzie miał szczęście, załatwi gościa pierwszym strzałem, przy wielkim pechu będą potrzebne aż trzy.

Przykleknął o dwa kroki od drzwi, wychylił się w bok i już miał nacisnąć spust, kiedy usłyszał kolejne westchnienie, tym razem znacznie głośniejsze. Brzmiało cokolwiek dziwnie. Jak jęk zakneblowanego człowieka. Na pewno nie wydawał go ktoś walczący na sedesie z zatwardzeniem. Karski podszedł bliżej, zatrzymał się przy schodach, żeby w szparze pod drzwiami nie było widać jego cienia, i przyłożył ucho do drzwi. Nic. Długi moment ciszy, a potem szelest, jakby ktoś się poruszył, i kolejne ciche stłumione jęknięcie.

Ja się chyba starzeję, pomyślał Karski i przeszukał kieszenie upręży. Wyjął przedmiot wielkości palmtopa. Rozwinął metrowej długości przewód i wsunął jego koniec pod drzwi. Jedno kliknięcie i małe kamera pokazała na siedmiocalowym ekraniku ciemne wnętrze. Przetwornik optoelektroniczny LEOS Mark V był wart każdego centa z siedmiu tysięcy dolarów, jakie komendant z bólem serca wydał na niego w zeszłym roku. Pomimo braku źródła oświetlenia – jedyne małe okienko było niemal w całości zasłonięte brudną szmatą – Karski zobaczył leżącego na podłodze człowieka.

Zwinął przewód i schował urządzenie. Czas się zastanowić. Kimkolwiek był mężczyzna przetrzymywany w tej łazience, mógł posiadać cenne informacje na temat działania ośrodka. Z drugiej jednak strony uwolnienie go i przesłuchanie zabierze sporo czasu, którego Karski nie miał za wiele. A jeśli jest esperem, jego reakcja, nawet mimowolna, może ostrzec wroga. Nie, tę ostatnią opcję Andrzej od razu odrzucił. Gdyby więzień posiadał dar telepatii, nie trzymaliby go tutaj, na uboczu, raczej siedziałby teraz w najgłębszej piwnicy nafaszerowany głupimi Jasiami. Zatem potencjalna wiedza za cenę uciekającego czasu...

* * *

Lis zatrzymał się w pół ruchu, kiedy dotarło do niego, że nie odbiera osiłków. Gdyby skanowali otoczenie, powinien ich wyczuwać. Musieli omiatać ludzi wokół siebie z całą mocą, inaczej nie byłoby w stanie odfiltrować tak wielu myśli. A skoro tego nie robili... Najwyraźniej coś przykuło ich uwagę – i nie był to skutek niekontrolowanego wycieku myśli Lisa.

Mundek został na swoim miejscu. Telekonferencja pomiędzy Rosjanami trwała na całego, jedynie Sabina zdawała się zachowywać spokój. Kierowca miał już pełnego pampersa, osiłki wprawdzie nie zdradzały jeszcze objawów klasycznej paniki, ale zupełnie się pogubiły. Nikt nie kontrolował tła. Nikt nie skanował okolicy. Lis wytarł spocone dłonie w papierową serwetkę, jeśli szukał dogodnego momentu do ataku, to chyba taki właśnie nadszedł. Z tej czwórki powinien się bać... nie, nie bać – mieć się na baczności tylko przed Sabiną. Pozostali wyglądali na płotki. Wystraszone płotki.

Pytanie tylko, co ich tak przeraziło?

Telefon w jego dłoni zawibrował. Raz. Mundek szybko podniósł klapkę i wyświetlił wiadomość. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Te kilka znaków całkowicie odmieniało sytuację, już wiedział, czego bali się Rosjanie. Zyskał także pewność, że nie dostaną wsparcia. A skoro nikt z nich nie wiedział, że tuż obok czai się zięjący żądzą zemsty Tyrannosaurus Lis...

* * *

Zamek poddał się od razu. Andrzej uchylił drzwi, wpuszczając do łazieneczki trochę światła i świeższego powietrza. Leżący obok brudnego sedesu człowiek poruszył się. Usiłował podnieść głowę, ale nie zdołał. Karski wszedł do środka i pochylił się nad nim. Teraz widział, że ma do czynienia ze staruszką. Siwe, rzadkie włosy opadały na wysokie, pokryte wieloma zmarszczkami i plamami wątrobowymi czoło. Wychudła twarz nie nosiła śladów bicia, za to wyglądała bardzo... dystygowanie. Gdyby nie miejsce, w którym leżał, i kajdanki transportowe spinające ręce i nogi, można by powiedzieć, że Andrzej ma przed sobą odpoczywającego profesora albo arystokratę.

– Proszę się nie obawiać – powiedział Karski, kiedy mężczyzna drgnął

nerwowo, widząc pochylającą się nad nim postać.

– Czego ode mnie chcecie... – wyszeptał po polsku, mrużąc przy tym oczy. To sugerowało, że nosił okulary, zapewne dość mocne. Ktoś mu je jednak odebrał.

– Czy wie pan, ilu Rosjan jest na terenie ośrodka? – zapytał Karski przechodząc do sedna. Opowieści życia mogą sobie zostawić na potem.

– Kim pan jest? – Więzień najwyraźniej nie zamierzał się poddać tej metodzie przesłuchania.

– Jestem dowódcą oddziału antyterrorystycznego, który prowadzi akcję odbicia ośrodka rządowego z rąk ludzi, którzy pana uwięzili. – Taka odpowiedź, zdaniem Andrzeja, powinna uspokoić obawy przesłuchiwanego.

Staruszek zmrużył oczy jeszcze bardziej niż poprzednio.

– Ale nazwisko jakiegoś pan ma – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Owszem, mam – przytaknął Karski. – Ale nie o mnie teraz rozmawiamy. Ilu Rosjan jest na terenie ośrodka? – powtórzył pytanie. – jeśli mi pan szybko odpowie, rozkuję pana.

– Rosjan? Obawiam się, że nie potrafię panu pomóc – odparł więzień. – Dwa dni przetrzymywano mnie w tym dużym budynku. Nie wiem nawet dlaczego. W tym czasie nie usłyszałem ani jednego słowa, uwierz pan, żaden z oprawców nie odezwał się przez ten czas jednym słowem. Po prostu sadzali mnie w czymś na kształt pokoju przesłuchań i trzymali tam, samego, przez parę godzin. Potem odprowadzano mnie do celi. Wczoraj późnym wieczorem, zupełnie nie wiem czemu, po kolejnym seansie milczenia zaciągnęli mnie tutaj. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że zrobili tym sposobem miejsce dla kogoś innego.

Andrzej skinął lekko głową, wiedział nawet, dla kogo potrzebna była cela. Staruszek dobrze kombinował. Kimkolwiek był, chyba przestał mieć znaczenie dla esperów. Choć może nie do końca, nie zabili go przecież. Na swoje nieszczęście.

– Ilu ludzi widział pan podczas swojego pobytu w ośrodku? – Karski nie dawał łatwo za wygraną. Czas uciekał.

Starzec zamyślił się. Jak dotąd odpowiadał bardzo sensownie, nawet nie żądał natychmiastowego uwolnienia z kajdanek, które musiały mu doskwierać.

– Widziałem w sumie osiem, nie, przepraszam, dziewięć osób – powiedział w końcu. – Dwóch żołnierzy na bramie, dwóch umięśnionych łotrów, którzy mnie wywelekli z samochodu... Strażnik przy wejściu do budynku był piąty, jego odpowiednik na dole szósty. W celach, prócz mnie, były jeszcze co najmniej dwie

osoby.

– Nawiązał pan z nimi jakiś kontakt? – zainteresował się Karski.

– Przykro mi, ale nie... – Więzień pokręcił głową. – Widziałem w wizjerach ich twarze, ale drzwi naszych cel były grube, dźwiękoszczelne.

– A dlaczego sądzi pan, że były tam tylko dwie osoby?

Staruszek westchnął.

– Tutejsze więzienie ma tylko trzy cele. Identyczne. W jednej spędziłem dość czasu, żeby wiedzieć, iż na tak małej przestrzeni kilku osób nie da się upchnąć, jak w niesławnych ziobrówkach.

– Rozumiem.

– Mają też tutaj coś w rodzaju infirmerii. – Karski odnotował w pamięci to dość niezwykle w dzisiejszych czasach określenie pomieszczeń medycznych. – Tam widziałem jeszcze jednego człowieka, kiedy zabrano mnie na zastrzyk, chyba lekarza, sądząc z zachowania i ubioru. No i ostatnia osoba, młoda kobieta. Włosy blond, ale nie wiem, czy nie tlenione, do ramion. W sumie niska, góra metr sześćdziesiąt pięć. Zdaje się, że ona tutaj rządzi. – Na zakończenie staruszek wyciągnął skute ręce w kierunku wstającego Andrzeja. – Obiecał pan.

Karski skinął głową i sięgnął po niezbędnik.

– A mogę się dowiedzieć, jak pan tu trafił? I za co? – spytał, wybierając odpowiedni zestaw wkładów.

– Wie pan, to jest najśmieszniejsze – odparł więzień. – Błędgo pojęcia nie mam. Szedłem po ulicy, kiedy podjechał do mnie wielki czarny samochód, niech mnie pan nie pyta, jakiej marki, bo kompletnie się na tym nie znam. Myślałem, że ktoś o drogę chce zapytać, bo Kraków to wielkie miasto i zgubić się łatwo.

– I co dalej? – Andrzej już poradził sobie z centralnym zamkiem, pozostały jeszcze dwa.

– Nic.

– Jak to: nic?

– Następne, co pamiętam – odpowiedział staruszek – to widok bramy wjazdowej do tego ośrodka. Chyba mnie czymś odurzono.

– Niekoniecznie – mruknął Karski, otwierając drugi zamek.

– Co pan przez to rozumie?

– I tak mi pan nie uwierzy.

– Proszę spróbować. – Staruszek roztarł zdrętwiałe nadgarstki.

Karski przestał gmerać w ostatnim zamku i podniósł wzrok na bladą twarz więźnia.

– Wie pan czym, a raczej kim są esperzy?

Spodziewał się różnych reakcji, ale ta go naprawdę zaskoczyła. Staruszek tylko kiwnął lekko głową. Później popadł w zadumę.

– Wiem – powiedział po paru sekundach takim tonem, że Andrzejowi ścierpła skóra.

Najbardziej oporna zapadka w końcu puściła. Starzec był wolny, przynajmniej jeśli chodzi o kajdanki. Karski pomógł mu się oprzeć o ścianę.

– Chce pan wody? – zapytał.

– Zjadłbym coś – odparł staruszek.

– Przykro mi, ale na akcję nie noszę żarcia. Wie pan, postrzał w brzuch...

– Rozumiem. – Choć w oczach więźnia widać było wielki zawód, starał się nie dać poznać po sobie, jak bardzo jest rozczarowany.

– Proszę się stąd nie ruszać – poradził Karski. – Jak skończymy robotę, a to nie potrwa długo, wrócę po pana i załatwię dobry obiad.

Chciał wstać, ale staruszek chwycił go za rękę.

– Synu, jeśli oni są esperami, nie masz z nimi żadnych szans. – W jego głosie dało się wyczuć strach.

– Mam inne zdanie na ten temat.

– Między nimi musi być telepata – dodał szybko staruszek.

– Wiem. Przyszedłem tutaj, żeby jego, albo ich, wyeliminować.

– Tak, telepatia, to by wiele tłumaczyło... – Nieobecne spojrzenie starca nagle się wyostriżyło. – Uważasz, że masz jakiegokolwiek szansę z ludźmi, którzy czytają w twoich myślach?

Karski uśmiechnął się. Naprawdę ciekawiło go, kim jest człowiek, który przetyka informacje, że ktoś może czytać w myślach innych ludzi, jakby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. On sam nie mógł się z tym oswoić aż do teraz, mimo że widział już sporo.

– Powiedzmy, że ja też mam swój dar – odparł.

Staruszek puścił jego rękę.

– Niech Bóg cię prowadzi, synu – powiedział.

– Dziękuję, ale w akcji wolę polegać na sobie – odparł Karski, wstając.

– Szkoda – mruknął starzec.

– Dlaczego?
– Bo jako ksiądz tyle tylko mogę dla ciebie zrobić.
– Pan jest księdzem? – Andrzej zatrzymał się w pół ruchu.
– Pan?... – Leżący uśmiechnął się blado. – Byłem, jestem, nieważne. Idź, synu, i nie daj się zabić.
– Tak przy okazji, nazywam się Karski. – Andrzej nie potrafił powiedzieć, dlaczego się przedstawił. Po prostu czuł, że powinien to zrobić.
– Miło mi – odparł oswobodzony ksiądz, opierając się plecami o ścianę. – Nic ci to pewnie nie powie, ale nazywam się Gil, Andrzej Gil.

* * *

Tak, nadszedł doskonały moment na pierwsze posunięcie, pomyślał Mundek obserwując rozwój wydarzeń. Sabina zdołała nieco uspokoić kierowcę, lecz on mimo to nadal wydawał się najsłabszym ogniwem zespołu. Dlatego był najmniej groźny w zaistniałej sytuacji. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z osiłkami. Nie dość, że stanowili spore zagrożenie mentalne, to jeszcze znajdowali się najbliżej, w razie identyfikacji mogli go zlikwidować fizycznie w dosłownie kilka sekund.

Rozważał dwa sposoby działania. Pierwszy, niebezpieczniejszy, polegał na frontalnym uderzeniu, na psychicznym unicestwieniu obu umięśnionych telepatów. Potrzebował jednak co najmniej trzech sekund na kompletne „usmażenie” dwóch systemów nerwowych, przy kruchym założeniu, że ich właściciele nie będą stawiać istotnego mentalnego oporu. Pierwszego Rosjanina Mundek mógł zdjąć od strzału, z zaskoczenia, ale pojawienie się tak silnej emanacji z pewnością zwróci uwagę pozostałych telepatów. W okamgnieniu będzie miał na karku drugiego z wysportowanych przeciwników, a co najgorsze – Sabinę. Kierowca najprawdopodobniej spanikuje, przynajmniej na te kilkanaście sekund, które potrzebne będą do załatwienia... Szlag, a jeśli nie spanikuje? Wprawdzie stanowił z nich wszystkich najmniejsze zagrożenie, ale dodany do reszty mógł, choćby minimalnie, przeważać szalę zwycięstwa.

Mundek nie znał potencjału poszczególnych Rosjan, zakładał więc, zgodnie z logiką, że żołnierze powinni być słabsi, a może raczej mniej wari od dowódcy. Sygnały, które do tej pory odebrał, wskazywały niezłomie, że Sabina rzeczywiście nad nimi góruje, odbierał ją wyraźniej, zdecydowanie silniej. Suka opanowała też całkiem

nieźle sztukę mamienia. Jej wizja zamachu była naprawdę imponująca. Gdyby Mundek nie spodziewał się czegoś podobnego, gdyby Rosjanka nie pojawiła się w niej osobiście, pewnie nie zdołałby odróżnić przekazu od rzeczywistości. A skoro potrafiła tworzyć tak sugestywne obrazy w umysłach innych ludzi, a tych mieli dzisiaj wokół siebie całe mrowie, Mundek czuł, że potrafiłaby wykorzystać ich w nadchodzącej walce, gdyby zaszła taka potrzeba. A do tego nie mógł dopuścić za żadną cenę. Ta wojna była tajna i taką miała pozostać. Nie zamierzał skończyć na stole operacyjnym, z otwartą na żywca czaszką, albo w ciemnym bunkrze, otoczony przez setkę psychopatycznych klonów Filipa Konrada Dzika. A otwarta walka na zatłoczonym Rynku stanowiła stuprocentowe zaproszenie w jedno z tych miejsc.

Szlag, nie tędy droga, pomyślał. A alternatywa? Stopniowa, cicha eliminacja jednego espera po drugim i na końcu zdecydowane uderzenie na Sabinę. Tylko czy będzie w stanie zakraść się do ich umysłów bez wykrycia, jak w wypadku zwykłych ludzi? I czy zdąży ich wyeliminować, zanim pozostali się zorientują? Wciąż przecież kontaktowali się między sobą.

Dotychczas Mundek nie stykał się osobiście z innymi telepatami, nie miał więc bladego pojęcia o ich odporności albo wrażliwości na pozazmysłową ingerencję. Odpowiedź na postawione przed chwilą pytania mógł otrzymać wyłącznie drogą eksperymentalną albo jak kto woli: prób i błędów, czuł przy tym, że pierwsza pomyłka definitywnie zakończy zabawę. Tu i teraz musiałby zajrzeć do umysłu jednego z Rosjan, i to w taki sposób, żeby nie tylko obiekt badania, ale także pozostali członkowie zespołu nie zorientowali się, że włazi mu z butami pod czaszkę.

Ryzykowne, bardzo ryzykowne, ale zarazem chyba jedyne rozwiązanie w tej sytuacji, ocenił Lis, rozważając po raz kolejny drugą opcję. Jeśli odejdzie wystarczająco daleko, a próba nie wypadnie pomyślnie, ma szansę na ucieczkę. Mógłby obejść jeden kwartał i stojąc w głębi ulicy, na której Rosjanie zaparkowali swój wóz, zgasić kierowcę. Przejęcie jego roli, nawet jedna albo dwie zdawkowe odpowiedzi, gdyby któryś z pozostałych członków zespołu zadawał pytanie, nie powinno być problemem. Zyskałby tym sposobem trochę czasu. Zyskałby też możliwość uderzenia na jednego z byczków i zmniejszył tym samym przewagę przeciwnika o połowę. Z drugiej jednak strony niepowodzenie wywoła alarm, skaze operację na totalne niepowodzenie, ale da mu również sporo czasu na zniknięcie. Ruchliwa trasa otaczająca Starówkę oferowała wiele wyjść z pułapki... Tak, gra warta była świeczki. Zwłaszcza że Mundek nie widział innej możliwości.

Chyba że... Ta myśl pojawiła się naprawdę niespodziewanie. Może przecież zagrać je metodami.

* * *

Mapka terenu dostarczona przez Lisa była perfekcyjna. Telepata, korzystając ze swojego daru, odwzorował rozmieszczenie każdego krzaczka na terenie otaczającym budynki ośrodka. Zaznaczył również dokładnie okna i drzwi, a nawet dał Karskiemu własną kartę magnetyczną wraz ze wszystkimi kodami, jakie zdołał zapamiętać. Ale Andrzej nie liczył na nie. Najprawdopodobniej i tak okażą się bezużyteczne. Sam po zajęciu ośrodka pozmieniałby w pierwszej kolejności wszystkie zabezpieczenia wewnętrzne, a Rosjanie, z tego co wiedział, byli szkolonymi agentami wywiadu, więc powinni rozumować, a nade wszystko działać podobnie.

Musiał jednak jak najszybciej przedostać się do wnętrza budynku. Od księdza Gila dowiedział się, że w piwnicach przetrzymywano więźniów. Najprawdopodobniej wspomnianych przez Lisa pracowników działu medycznego, od których esperzy wyciągali tajemnice dotyczące osiągnięć Lewińskiego. Bezcenna wiedza mogła przepaść razem z nimi, przynajmniej dla polskiej strony, więc Andrzej uznał, że próba ich ocalenia powinna stanowić teraz priorytet misji. Ale zmiana ta dodatkowo komplikowała i tak trudne zadanie.

Pierwotny plan zakładał włamanie od strony kotłowni i wzniesienie pożaru w piwnicach, pod częścią kuchenną kompleksu. Dym wałący gęstymi kłębami z okienek powinien dość szybko wywołać panikę. Tym sposobem Karski zamierzał wykurzyć niczego nie podejrzewających Rosjan na zewnątrz, gdzie zajęliby się nimi snajperzy, ale teraz, kiedy ksiądz powiedział mu o zaledwie kilku osobach, jakie widział podczas pobytu w ośrodku, zastanawiał się nad sensem takich działań. Duchowny mówił do rzeczy, szczegółowo i konkretnie odpowiedział na wszystkie pytania. Na pewno nie konfabulował. Ale w jednym musiał się pomylić. Przecież Ruscy nie opuściliby ośrodka, nie zostawiając nikogo na straży. Abwerowcy zupełnie nie liczyli się w tym równaniu. Byli tylko kwiatkami do kozucha, złem koniecznym, akceptowanym wyłącznie po to, by polski wywiad niczego nie podejrzewał, dopóki misja przejęcia wiedzy nie zostanie zakończona. Żołnierze zapewne pozostawali przez cały czas pod wpływem telepatii, byli ślepi i głusi na wydarzenia, jakie miały miejsce tuż obok nich – ksiądz widział dwóch z nich, kiedy go przywieziono, ale czy oni widzieli jego? Karski

bardzo w to wątpił. A skoro wartownicy byli sterowani, gdzieś w budynku musiał się znajdować ktoś, kto pociągał za sznurki wszystkich kukiełek w mundurach.

Zastanawiające było też, dlaczego wyekspediowano księdza do bungalowu. To, że Rosjanie potrzebowali wolnej celi, nie tłumaczyło niczego. Mogli go przenieść choćby na piętro, do jednego z pokoi. Karski raz jeszcze rozłożył plan Lisa. Najwyższa kondygnacja budynku podzielona była na dziesięć pomieszczeń, po pięć z każdej strony korytarza biegnącego środkiem budynku pomiędzy schodami do recepcji a wyjściem przeciwpożarowym z drugiej strony i równoległym do nich, wewnętrznym zejściem do stołówki. Wartownicy mieli wydzieloną służbówkę zaraz za recepcją – aby się do niej dostać, nie musieli nawet wchodzić do holu. Ich pokój miał osobne wyjście, prowadzące przez niewielki taras wprost na skarpe. W ten sposób ograniczono przebywanie ludzi spoza zespołu na terenie zamkniętym ośrodka, nie mieli wstępu na odcięte dwiema parami drzwi piętro, jedynym momentem, w którym pozwalano im wejść do wnętrza budynku, była pora posiłków. Przynajmniej za czasów Lewińskiego, bo teraz mogło być zupełnie inaczej.

Dziewięć z dziesięciu pokoi na piętrze zarezerwowano tylko dla esperów i ludzi z nimi związanych, co Rosjanie zapewne skwapliwie wykorzystali. Dziewięć, bowiem dziesiąte pomieszczenie było klasycznym hotelowym magazynem pościeli i środków czyszczących. Lis mówił, że każdy z członków zespołu mieszkał osobno, ośrodek wyremontowano i umeblowano pod takim właśnie kątem, dając zakwaterowanym maksimum intymności.

Zatem jeśli wszystkie pokoje były zajęte, załoga musiała liczyć dziewięciu ludzi. To dawało dwóch dodatkowych esperów, chyba że... Andrzej uśmiechnął się do swoich myśli. Przynajmniej jedno pomieszczenie musiało pozostawać wolne na wypadek wizyty kogoś z wierchuszki. Tak było i za czasów Lewińskiego. Zatem w ośrodku przebywało na stałe ośmiu esperów i czterech żołnierzy z kompanii wartowniczej. Dwóch na wartowni, dwóch na zapleczu recepcji. Siedmiu Rosjan wyjechało, czyli pozostał jeden.

Na pewno esper. Prawdopodobnie telepata. Krótko mówiąc – ślepiec.

* * *

Do umówionej godziny pozostał jeszcze kwadrans. Sabina zamówiła drugą kawę i z nudów przerzucała gęsto zapisane stronicie czasopisma, które miało stanowić

znak rozpoznawczy. Nie wgłębiała się w lekturę, choć napisy na okładce zachwalały najnowsze teksty zdobywców branżowej nagrody literackiej. Prawdę mówiąc, nie lubiła fantastyki, tak samo jak kryminałów czy powieści psychologicznych. Rzadko czytała coś dłuższego od artykułów w prasie kobiecej, jedynym wyjątkiem od tej reguły były tanie kieszonkowe romanse, które połykała w chwilach depresji. Kompensowała nimi tę część życia, której telepaci nie posiadają i nigdy posiadać nie będą. Doświadczyła na własnej skórze rzeczy ciekawszych i bardziej fantastycznych niż te, którymi znani twórcyapełniali strony bestsellerów. Wciąż jednak tkwiła po mrocznej stronie, tam gdzie liczyła się tylko satysfakcja z unicestwienia przeciwnika. Uczucia takie jak miłość w sytuacji, gdy widzi się każdą myśl partnera, nie mają szansy. Przekonała się o tym nie raz. Nawet nie dwa. Czasem, kiedy nie potrafiła oprzeć się pożądaniu, musiała oszukiwać samą siebie. Blokowała wtedy swój dar, mogła to zrobić bez większego trudu, ale... cena była straszliwa. Kiedy szczytowała, kiedy naprawdę odczuwała rozkosz, pozbawione kontroli bariery znikwały. A nie ma bardziej parszywego uczucia niż odkrycie w takim momencie, że...

Na stolik i rozłożone na nim czasopismo padł cień. Nie lubiła czytać, ale jeszcze bardziej nie cierpiała, kiedy ktoś jej w tym przeszkadzał. Nie podnosząc wzroku, sięgnęła do mózgu bezmyślnego samca, który śmiał stanąć pomiędzy nią a słońcem. Zamierzała pokazać mu, czym jest prawdziwy ból, ale w ostatniej chwili powstrzymała się. Nie w miejscu akcji, upomniała się ostro. Nie na chwilę przed kolejnym tryumfem.

– *Spierdalaj!* – Komunikat był krótki, ale czytelny.

Cień jednak nie zniknął, choć powinien. Za to w jej mózgu ktoś żywym ogniem wypisał kilka słów układających się w napis będący odpowiedzią na jej myśl.

– *Może powinnaś spróbować tego z telepatą?*

Zaskoczona straciła na moment koncentrację. Może na sekundę, nie więcej. Telepata? Tutaj i teraz? To nie może być przypadek! Spojrzała prosto w lśniące czystym błękitem oczy. Te oczy.

– To ty?!

Mundek uśmiechnął się czarująco i wskazał ręką na metalowe krzesło stojące naprzeciw.

– Pozwolisz? – zapytał.

Skinęła głową, nadając równocześnie sygnał wezwania do Diaczenków. Nie odpowiedzieli. Cholerny Gruzin też milczał. Zaczynała się bać.

– *Gruzin?* – załsniał Lis. – *Tak nimi pogardzasz, że nie mają dla ciebie imion?*

Sabina natychmiast zamknęła swój umysł. Instynktownie, bez namysłu zatrzasnęła przed intruzem drzwi do miejsca, w którym nie przebywał przed nim żaden człowiek. Przynajmniej przez ostatnie kilka lat.

– Jak to możliwe... – szepnęła.

Nie mogła go przeczytać, po prostu nie mogła!

– Widzisz, złotko, nie pojednałem się z Bogiem, jak mi radziłaś, ale dzisiaj już wiem, że on istnieje – roześmiał się i sięgnął do kieszeni.

* * *

Karski po raz setny spojrzął na drzwi wartowni. Plan był prosty jak budowa cepa. Z raportu Sokoła Dwa wiedział, że w rozkładzie dnia wartowników po przybyciu Rosjan nic się nie zmieniło, jeden z nich, zgodnie z naoczną obserwacją, udawał się do wnętrza budynku i po chwili wynosił z niego pojemnik z racjami żywnościowymi dla ochrony. Za czasów Lisa śniadanie zaczynało się o dziewiątej. Mniej więcej godzinę później kończyła się zmiana na wartowni. I wtedy wszyscy żołnierze jedli posiłek. Najpierw ci, którzy schodzili z posterunku, a chwilę potem ich następcy. Niestety jadali w wartowni, nie w swojej sypialni. To cholernie komplikowało zabawę. Ale tylko do czasu.

Za cztery dziesiąta Andrzej usiadł na plastikowym krześle na skraju tarasu przed pokojem służbowym i zapalił papierosa. Nienawidził zapachu dymu i jego smaku, ale musiał zapalić dla podtrzymania iluzji. Czekał spokojnie, ubrany w rozchełstane moro jednego z dwóch nieprzytomnych abwerowców, których obezwładnił i związał przed chwilą. Na szczęście do tej roboty nie wybrano ułomków, bo przy jego wzroście trudno byłoby udawać mikrusa ze służby zasadniczej. Ale i tak wolał usiąść, żeby ukryć swój prawdziwy wzrost. Z czapką głęboko nasuniętą na oczy czekał, spowity gryzącym w oczy i język dymem, aż drzwi wartowni otworzą się i wypłyną głodnego, zmęczonego całonocnym czuwaniem żołnierza.

Minutę przed dziesiątą w kompletnej ciszy poranka usłyszał szcęk otwieranego zamka. Wartownik wyszedł na słońce bez okularów przeciwsłonecznych, co dodatkowo ułatwiło robotę Karskiemu. Musiał teraz zwrócić na siebie uwagę żołnierza. Z grafiku dyżurów, znalezione podczas przeszukania służbówki, poznał nazwiska i imiona całej czwórki. Miał zatem pięćdziesiąt procent szans na to, że trafi.

– Adam? – zawołał i natychmiast odkasznął. Dzięki dymowi papierosowemu nie musiał specjalnie udawać.

– A ty co piłeś, że już ludzi nie poznajesz? – Rozbawiony pomyłką wartownik roześmiał się głośno.

– Chodź no... – Karski machnął ręką, ponownie zaniósł się przeraźliwym kaszlem i zgięty wpół ruszył w stronę drzwi pokoju. Nie był pewien, czy abwerowiec pójdzie za nim, ale nie mógł ryzykować dłuższego pozostawania na widoku. Na wszelki wypadek kaszlnął jeszcze raz, tym razem dłużej i głośniejsze, czyszcząc definitywnie płuca i krtań ze słonej wydzieliny. Musiało to zabrzmieć poważnie. Stał przy ścianie obok framugi i czekał. Na zewnątrz panowała niczym nie zmacona cisza, ale po chwili usłyszał stukot podkutych butów o płyty chodnika.

– Janusz, co z tobą? – zapytał starszy szeregowy wchodząc na kwaterę. Zanim jego wzrok przyzwyczał się do półmroku, przed oczami rozbłysły mu gwiazdy, a potem zapadła całkowita ciemność. Karski uderzył raz, w skroń, i natychmiast chwycił opadające bezwładnie ciało żołnierza. Zaciągnął je do niewielkiej łazienki i położył obok dwóch innych. Przygotowanym plastrem zakleił usta trzeciej ofiary i wstrzyknął jej dwa centymetry sześciennego środka usypiającego, na wszelki wypadek. Teraz pozostało mu tylko jedno. Dopiął moro, podniósł z wykładziny pojemnik na śniadanie i wyszedł zdecydowanym krokiem ze służbówki. Ruszył prosto na drzwi wartowni, starając się trzymać w martwym polu widzenia kamery, aby nie stracić za szybko przewagi. Przechodząc obok drzwi, zapukał w nie, ale nie zatrzymał się, jeszcze trzy kroki i już stał przy okienku podawczym. Postawił pojemnik na parapecie, ustawił się bokiem i zastukał mocno w szybę. Zdezorientowany dowódca zmiany, sierżant Kielbaś, rzucił mięsem i schylił się do niewielkiego otworu, aby opieprzyć podwładnego za głupie żarty. Strzałka z pistoletu usypiającego przerwała w pół słowa jedną z najciekawszych wiązańek, jakie Karski w życiu usłyszał.

Lis śmiał się. Jego oczy wyrażały wręcz nieziemskie rozbawienie.

– Mówiąc, że Bóg istnieje, miałem oczywiście na myśli siebie – rzucił, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów.

Sabina po raz pierwszy od długiego czasu poczuła prawdziwe przerażenie. Chciała uciekać. Pragnęła zerwać się i biec przed siebie, byle jak najdalej od tego chudego starucha w białej, przepoconej koszuli, ale nie mogła ruszyć nawet jednym palcem. Prosta sztuczka, dała się zaskoczyć jak pierwsza lepsza. Ale dla telepatki z jej klasą wyjście z tego pata to tylko kwestia czasu.

– Wybacz, Sabinko, te niedogodności... – Mundek oparł się wygodniej, założył nogę na nogę i zaciągnął się papierosowym dymem – ale mam zamiar poważnie z tobą porozmawiać.

Nie chciał jej zabić, przynajmniej nie teraz. Na razie upajał się strachem, emanującym z aury Rosjanki.

– W każdym porządnym filmie sensacyjnym albo książce – powiedział, gdy się nieco uspokoiła – szwarczarakter wyznaje głównemu bohaterowi motywy, jakie nim kierowały.

– Nie licz na to... – warknęła.

– Dlaczego? – parsknął. – W zamian mogę ci opowiedzieć o tym, z kim trzymać po tamtej stronie. Uwierz mi, dziewczyno, ta wiedza może ci się wkrótce przydać.

Sabina zbladła, do tej pory uważała się za naprawdę dobrą telepatkę. Sześć lat służby i ani jednej porażki. Wyliminowała sto trzydzieści celów w osiemnastu krajach. W tym kilkunastu równych jej klasą esperów. I chociaż w co najmniej dwóch przypadkach miała więcej szczęścia niż rozumu, jeszcze nigdy nie trafiła na kogoś, kto by ją obezwładnił bez najmniejszego wysiłku, nawet z zaskoczenia. Chcąc nie chcąc, musiała uznać, że dobra passa się skończyła. Lis zwyczajnie się nią bawił. On, telepata, który zaledwie kilka dni temu był zwykłym receptorem najniższej klasy, prostakiem nie znającym podstaw wiedzy pozwalającej na wykorzystanie w pełni daru, jakim obdarzył go Los albo Bóg – w zależności od tego, w co kto wierzy. A teraz zyskał nad nią przewagę już na starcie, musiała to przyznać. To jednak nie oznaczało przegranej. Jeśli mu teraz ulegnie, być może Lis w końcu straci czujność...

– Jak... ? – zapytała. Ciekawość wzięła górę nad nienawiścią i lękiem, jednakże ściśnięte strachem gardło nie przepuszczało gładko słów.

– Co znaczy: jak? – udał, że nie rozumie, i zaciągnął się po raz kolejny.

Przetrzymał dym w płucach, po czym go wydmuchnął, prosto w jej twarz. Widząc siny obłok, zacisnęła mocno powieki, ale oczy i tak ją zapiekły.

– Jak ci się udało... – wychrypiała, gwałtownie trzepocząc rzęsami.

– Chodzi ci o tych trzech leszczy?

Chciała zaprzeczyć, ale nie mogła poruszyć głową.

– Rozumiem, pytasz o tamto. – Mundek odłożył do połowy wypalonego papierosa na popielniczkę. Kelnerka postawiła przed nim wysoką, smukłą szklankę pieniącego się piwa. – Powiedzmy, że popełniłaś wielki błąd, za szybko odchodząc.

– *Umieraleś...* – załśniła. Celowo. Nie, jednak nie zablokował jej daru. Może nie bał się już jej mocy, a może nie potrafił tego zrobić. Poczwała w tym szansę dla siebie.

– *Stałam przy tobie, dopóki nie zgasnąłeś* – podjęła pewniej.

– *Naprawdę?* – Zareagował tak, jakby opowiedziała niezły kawał: wybuchnął śmiechem, rozdmuchując przy tym pianę ze szklanki, którą trzymał już blisko ust. Kilka wilgotnych drobinek osiadło na twarzy telepatki. Skinęła machinalnie głową. Tym razem się udało. Sentymentalny głupiec znów trochę odpuścił. – A jednak żyję, czyż to nie zastanawiające? – Lis upił spory łyk bursztynowego płynu i odstawił szklankę na podstawkę. – Twoi ludzie niestety nie mieli takiego farta. Na swoje nieszczęście tak się przejęli wiadomościami z Mazur... – przerwał, widząc, że Rosjanka znów blednie. Zaskoczyła go.

– *Me wiem, o czym mówisz* – załśniła, ale dość wolno, jakby ważyła każde słowo. – *Me dostaliśmy żadnej informacji z Mazur.*

– *Doprawdy?* – Resztki uśmiechu błędziły wciąż w kącikach ust telepaty, ale oczy miał już całkowicie poważne. Wyczuł, że Sabina nie kłamie. Zatem chłopcy spanikowali z jakiegoś innego powodu...

– *Doprawdy* – odpowiedziała spokojnie.

– *W takim razie dlaczego facet w toycie o mało nie narobił w gacie?*

– *Nie sprawdziłeś?* – zakpiła.

– *Me było czasu.* – Mundek patrzył na nią badawczo, bez złości. Dziwnie się poczuła pod tym spojrzeniem.

– *No to się nie dowiesz* – dodała, ale już bez kpiny.

Nic nie powiedział, nadal wpatrywał się w jej oczy.

– Nie wyciągniesz tego ze mnie – rzuciła na głos z wielką pewnością siebie.

Odzyskiwanie kontroli przebiegało zgodnie z planem.

– *Przecież wiem.* – Mundek westchnął, sięgając po szklankę.

Sabina uśmiechnęła się lekko – i w tej samej chwili zrozumiała dwuznaczność tej odpowiedzi.

– *Co wiesz?*

– *Wszystko* – odparł spokojnie, kiedy przełknął kolejny łyk piwa.

– *Akurat* – prychnęła.

Nie mógł przecież ot, tak przełamać jej barier. Zamknęła umysł, odcięła dostęp do swoich myśli, jeszcze nikt nie zdołał przełamać jej obrony. Nigdy. Setki razy

zmagala się z innymi telepatami, zarówno podczas treningów, jak i misji bojowych, ale żaden z nich, dopóki sama na to nie pozwoliła, nie miał dostępu do sanktuarium jej duszy. A teraz ten żalony bufon miałby przedrzeć się przez wszystkie zapory, w ciągu kilku sekund i bez wyraźnego wysiłku?... Nie, chwileczkę, on się nie przedarł – nie walczyła przecież. Po prostu przeniknął przez nie, jakby były dla niego niewidzialne. Czy to w ogóle możliwe? Nie, nie, stanowczo nie. Musiałaby coś poczuć...

Pojawienie się Lisa w tym miejscu i czasie z pewnością nie było przypadkowe, jego wiedza o ruchach Elity porażała, diabła tam, już sam fakt, że wciąż żył, zakrawał na cud i pozwalał sądzić, że posiadał olbrzymie moce, ale Sabina nadal nie potrafiła uwierzyć, iż jest zdolny do pokonania jej barier. Nie wyciągnął z niej, że powodem zdenerwowania Gorgadzego był telefon od wściekłego Trofirna Jegorycza. Nie mógł wiedzieć, że po raz pierwszy zlekceważyła rozkaz centrali i podjęła na własną rękę próbę pozyskania niezwykłego uzdrowiciela, angażując w akcję niemal cały zespół uderzeniowy. Co prawda zreflektowała się jeszcze przed dotarciem do Katowic i odesłała drugi wóz do ośrodka, ale nie zmniejszyło to irytacji centrali. Na miejscu szykowała się grubsza robota, ktoś z Olsztyna zaczął grzebać przy przyczynach eksplozji w Konstancinie. Trzeba było natychmiast zamknąć sprawę tego bezpieczniaka w Warszawie. A ona swoją samowolką zepsuła Elicie plany.

Lis nie mógł o tym wszystkim wiedzieć, a jednak sprawiał wrażenie doskonale zorientowanego... I tym doprowadzał ją do pasji.

– Spokojnie. – Telepata znów się uśmiechał. – Złość piękności szkodzi. Wprawdzie to czarne charaktery powinny wszystko wyjaśniać, ale skoro wolisz milczeć, może ja ci coś opowiem – zaproponował. – Wybacz posłańcowi, który przynosi złe wieści... Wóz, który wyjechał z wami wczorajszego wieczora, nie zdołał wrócić do ośrodka. Przejeżdżaliśmy go. Niestety, tamtego spotkania też nikt z waszych nie przeżył.

Nie ma już wiecznie uśmiechniętego Stiopy kawalarza, nie ma Baszkira recytującego z pamięci teksty Wysockiego, nie zobaczy nigdy Dymitra. Trzej mężczyźni, z którymi łączyło ją coś więcej niż tylko twarda zawodowa przyjaźń, przemknęli Sabinie przed oczami, ale stanowili zaledwie tło dla ważniejszego obrazu, jednego, jedyne słowa, które zapłonęło w jej umyśle. „Przejeżdżaliśmy”... – zatem Lis nie był sam. Znał każdy krok Elity. Zwabił ich w pułapkę. Wszystko było ukartowane. Trofim Jegorycz miał rację, pomknęła za przynętą jak głupia pinda. Teraz to widziała. I ta wizja odebrała jej ostatnią nadzieję, błyskawicznie wypaliła ogień furii wzbierającej

w głębi serca. Znowu poczuła strach – ten najgorszy, wynikający z bezsilności i poczucia klęski.

– Dlaczego mnie nie zabijesz? – zapytała.

– Dlaczego ty mnie nie zabiłaś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Zabiłam...

Rozłożył ręce, pokazując, że ma się całkiem nieźle. Podciągnął na moment koszulę, żeby mogła zobaczyć miejsce, w które trafiła jedna z kul wystrzelonych przez Golca. Skóra na brzuchu była lekko opalona i gładka, po ranie nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

Kim jest ten człowiek, o ile w ogóle należy jeszcze do rodzaju ludzkiego? – pomyślała wbrew sobie, irracjonalnie. Religijność była jej obca, nigdy nie wierzyła w istoty wyższe, choć ją samą wrogowie uważali za boginię śmierci stąpającą pośród ludzkiego robactwa. Zabijała w świątyniach, nawet dość często. Zwykle tam się chronili w chwili trwogi. Drwiła w żywe oczy z klątw, jakie na nią rzucali, umierając. Żaden bóg, bożek czy bogini, mimo że z zimną krwią bezcześciła miejsca ich kultu, nigdy nie zagrział. Aż do dzisiaj...

– Powiem ci, jak powstałem, jak wróciłem z martwych, jeśli zrewanżujesz mi się, odpowiadając na kilka pytań.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Po co ci moje słowa, skoro znasz odpowiedzi na wszystkie pytania?

– Pewnie w to nie uwierzysz – rzekł Lis – ale jestem cholernie staromodnym facetem. Wolę tradycyjne rozmowy. Potraktuj moje zachowanie jako akt dobrej woli.

Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie. Kto wie, może nawet dojdziemy do porozumienia.

Pierwsza zasada, jakiej nauczył ją ojciec, w czasach gdy będąc dzieckiem dopiero odkrywała swoją moc, była równie krótka co prosta. Nigdy nie ufaj wrogowi. Cztery mądre słowa. Postępowała zgodnie z nimi od momentu, kiedy je usłyszała, i dobrze na tym wyszła. Dzięki nim jeszcze żyła.

– O jakim porozumieniu mówimy? – zapytała.

– O bardzo prostym. Nikt więcej nie musi ginąć.

Uśmiechnęła się znacząco, a on to zauważył. Ale nie domyślił się, że właśnie coś zrozumiała – zdradzając swoje obawy, poddał jej pewien pomysł.

– Nie wierzę, że pozostawisz mnie przy życiu – powiedziała. – Nie po tym, co wam zrobiliśmy.

– A co zrobiliście? – Mundek znów sięgnął po piwo. – Powyrywaliście chwasty, które w innym wypadku rządziłyby tym krajem jeszcze wiele lat. Nawet takiej dupereli jak Euro nie potrafili dopilnować. Rozejrzyj się wokół. Popatrz uważnie. Zauważyłaś w ostatnich dniach kogoś, kto przestrzegał żałoby narodowej? Dostrzegłaś przygnębienie na twarzach obywateli? Umarł król, niech żyje król, jak mówi mądre powiedzenie. Poza tym odpłaciliśmy wam likwidacją sześciu ludzi. Czyli mamy remis, jeśli nie liczyć rządu i zmartwychwstania.

Spojrzała na Lisa uważniej. Nie miała dostępu do żadnej jego myśli, nie mogła więc ocenić, czy z niej kpi czy faktycznie wyraził swoją opinię.

– Jeśli tak traktujesz eliminację swoich mocodawców – odezwała się po chwili milczenia – powinieneś być nam wdzięczny.

– I jestem – odparł krótko. – Tylko dlatego rozmawiamy.

– Przypuśćmy, że ci zaufam... – Sabina wciąż kalkulowała swoje szanse, analizowała rodzącą się kwestię, czy Lis rzeczywiście chce zmienić barwy. – jaką mam gwarancję, że nie zabijesz mnie po usłyszeniu tego, co ci jest potrzebne?

Lis westchnął.

– Nie masz żadnej gwarancji. – Nachylił się ku jej twarzy. – Ale gdybym miał tak wrogie zamiary, o jakie mnie posądzasz, i gdybym chciał tylko wydobyć z ciebie potrzebne mi informacje, mógłbym to zrobić niezauważenie, kiedy użalałaś się nad cholernie bolesnym problemem dotyczącym orgazmów.

– Zgoda – telepatką podjęła decyzję – pogadajmy otwarcie.

– Dobrze.

– Powiedziałam: otwarcie.

– Masz na myśli takie otwarcie? – Lis wskazał palcem na własną skroń.

Skinęła głową. Nadal go nie odbierała.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Ten model już tak ma. Po upgrade'owaniu zero przenikalności, czy tego chcę czy nie.

– W takim razie chyba nie pogadamy.

– Twój wybór.

Utknęli w martwym punkcie. Sabina nie była nawet w stanie sprawdzić, czy Lis kłamie. Zmienił się tak bardzo, że istnienie swoistego firewalla, chroniącego jego umysł przed wtargnięciem obcej myśli, nie musiało być błagą. Był od niej lepszy, nie mogła się z nim mierzyć.

Ale wciąż miała niewielkie, bo niewielkie, ale zawsze szanse na zwycięstwo w

tym starciu. Furtka pozostawała otwarta.

– Poczekaj – powiedziała szybko, widząc, że telepata odstawia pustą szklankę.

– Niech będzie. Porozmawiajmy.

* * *

Karski podszedł do drzwi ośrodka i zadzwonił. Trzy razy. Stał na szeroko rozstawionych nogach. Pistolet trzymał przed sobą, za pojemnikiem na zapalniczkę. Na wypadek gdyby esper pilnujący wejścia chciał wysondować jego umysł, przytaszczył ciało jednego z uspijonych wartowników i ułożył je tuż przy drzwiach, za żywoplotem. Nie znał się na telepatii, ale podejrzewał, że to marna zasłona. Mogła jednak opóźnić reakcje przeciwnika o ułamki sekund, a tyle sprawnemu strzelcowi w zupełności powinno wystarczyć.

Czekał dość długo, ale drzwi pozostały zamknięte. Podniósł rękę, by raz jeszcze nacisnąć biały klawisz, i w tym samym momencie dostrzegł ruch w głębi holu. Mężczyzna w luźnym szarym dresie szedł niespiesznie w kierunku recepcji, powłócząc stopami odzianymi w kapcie. Nie wyglądał niebezpiecznie – pokaźny brzusek, ruchy raczej nieskoordynowane, wyraz twarzy nieobecny. Ale pozory mogły być cholernie mylące. Za Lisa nikt by nie dał złamanego grosza, a robił numery bijące na głowę Angela i Copperfielda razem wziętych.

Dresiarz dotarł do kontuaru i nie patrząc nawet w stronę wejścia, nacisnął przycisk zwalniający zamek.

Karski pchnął drzwi i znalazł się w chłodnym wnętrzu. Facet tymczasem jakby nigdy nic odwrócił się do niego plecami i ruszył, skąd przyszedł. Andrzej pomyślał, że być może ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem, na przykład kucharzem. Każdy, nawet esper, lubi przecież dobrze zjeść.

Idąc w nieznacznej odległości od siebie, weszli w krótki, ciemny korytarz. Według planu, drzwi po obu stronach prowadziły do toalet, a za uchylnymi skrzydłami powinna znajdować się stołówka. Idealne miejsce na wyeliminowanie przeciwnika, pomyślał Karski i uniosł dłoń z pistoletem. W tej samej chwili dresiarz zatrzymał się. Niespodziewanie. Jakby coś go zdziwiło. Odwrócił się bardzo wolno, trzymając ręce z dala od ciała. A jednak był esperem – i do tego zawodowcem. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie.

Andrzej uśmiechnął się, patrząc w szeroko otwarte, ale zarazem zaspane oczy.

Za mało snu, za dużo gorzałki, cokolwiek sprawiło, że jeszcze się nie obudziłeś, to cię zabiło, sparafrazował stare powiedzenie i strzelił dwukrotnie, w klatkę piersiową i w głowę. Za Tomka.

* * *

– Dam ci jeszcze jeden dowód dobrej woli – oznajmił Lis. – Oboje znajdujemy się teraz w nieciekawej sytuacji. Ja nie mam dokąd pójść, ty straciłaś cały zespół. Co prawda nie byli to chyba ludzie, na których by wam specjalnie zależało, ale każda strata boli.

– Dlaczego ich zabiłeś, skoro twoje zamiary są takie czyste? – zapytała Sabina podchwytliwie.

– Żeby podnieść wartość moich akcji – odparł bez namysłu.

– Akcji? – zdziwiła się.

– Po stracie tylu ludzi robicie się potrzebowscy. A ja mam coś, co warte jest tuzina takich partaczy.

Rosjanka uśmiechnęła się krzywo. Na swój pokręcony sposób miał rację. Właśnie zrobiło się kilka wakatów. Tyle że kandydatów do Elity było wielu, o czym żaden Polak nie mógł wiedzieć.

– I uważasz, że moi szefowie przyjmą cię z otwartymi ramionami?

– Jeśli są zawodowcami...

– Są, możesz mi wierzyć, że są. – Im więcej nad tym myślała, tym bardziej spójna wydawała jej się wersja Lisa. Spójna i niebezpieczna.

– Zdradzę ci jeszcze jedną tajemnicę. – Mundek kontynuował, nie zważając na ten wtę. – Facet szperający przy dowodach to też nasz człowiek.

– Przy jakich dowodach? – udała, że nie rozumie.

– Mieliliśmy rozmawiać otwarcie – zganił ją.

– Ty pierwszy się wyłamałeś – odparowała.

– Niezupełnie. To nie moja wina, że zostałem oszlifowany kilka klas wyżej od ciebie. Ale wracając do tematu... Mielicie wyeliminować borowika, który zaczął węszyć, ale ktoś spieprzył sprawę. Facet przeżył, chociaż rokowania ma chwilowo marne.

– Wypadek przy pracy – wtrąciła Sabina.

– Każdemu może się zdarzyć – potwierdził Mundek. – Ale problem polega na

tym, że w tej chwili nasz kolega ma już zapewnioną ochronę. I na pewno nie umrze, a nawet lada moment wróci do zdrowia, zupełnie jak ja.

Nie odpowiedziała, chociaż usta już jej się otwierały do kolejnej riposty. Skurczybyk może mieć rację, pomyślała, przecież sam był jedną nogą w grobie, a teraz wodzi mnie za nos. A Elita z pewnością chętnie się dowie, jak uniknął śmierci. Ta wiedza była bezcenna. Może nawet warta wybaczenia wszystkich przewin.

– Opowiesz mi o tym? – zapytała, kontrolując brzmienie swego głosu. Nie mogła dać po sobie poznać, jak bardzo jest podniecona.

– O czym? – Lis nie zrozumiał pytania, jakby nie śledził toku jej myśli.

– O twojej przemianie.

– Jasne – zgodził się bez oporów. – Ale najpierw ty udzielisz mi odpowiedzi na jedno pytanie.

– No nie wiem...

– Coś za coś – przypomniał.

– Dobra, wal.

– Z kim tańczę?

– Słucham?

– Wiem, że jesteście z Federacji Rosyjskiej – powiedział po chwili namysłu. – Domyślam się też, po co was tu wysłano. Ale chcę mieć pewność.

– Rozumiem.

Przez chwilę zastanawiała się, ile może mu powiedzieć, nie narażając operacji na szwank, i dość szybko doszła do wniosku, że praktycznie każda informacja jest zdolna zdradzić cały plan. Z drugiej jednak strony wyciągnięcie z Lisa jego tajemnic mogło odkupić tak wiele błędów, których inaczej Trofim Jegorycz z pewnością jej nie daruje... Poruszyła palcami u nóg, lata treningu nie poszły na marne. Mentalne okowy milimetr po milimetrze puszczały, o czym przeciwnik wciąż nie miał pojęcia. Postawiła na odrobinę szczerości, dla odwrócenia uwagi.

– No, słucham – ponaglił ją, widząc, że się zbiera w sobie.

– To naprawdę długa opowieść – ostrzegła Sabina.

– Mamy czas – odparł telepata, sięgając po następne piwo. – Twoje spotkanie zostało odwołane.

Westchnęła. Potrzebowała jeszcze chwili, żeby poukładać sobie wszystko w głowie.

– Zaschło mi w gardle.

- Kawa? – zapytał. – Herbata?
- Coś zimnego.
- Na upał najlepsze są gorące napoje. Naprawdę.
- Pozwolisz, że napiję się martini z tonikiem?

* * *

Karski rozejrzył się po monitorach w recepcji. Konsola była stara, zapewne jeszcze z pierwszej dekady. Ekran dotykowy chodził na podstawowej wersji Vienny. Na szczęście Rosjanie mieli zbyt mało czasu, żeby namieszać w systemie. Karta magnetyczna dresiarza odblokowała panel, ale dostęp do sporej części komend wciąż był zahasłowany. Andrzej nie próbował wpisywać zapamiętanych przez Lisa kombinacji, wiedział, że już dwie chybione próby doprowadzą do zablokowania systemu. Przynajmniej miał wgląd w monitoring – obrazy z kamer zmieniały się rotacyjnie, co dziesięć sekund. Mógł tylko czekać, obserwując kolejne pomieszczenia. Po likwidacji „kucharza” w budynku nie powinno być już nikogo, ale wołał się co do tego upewnić przed podjęciem akcji. Dlatego patrzył spokojnie na kolejne ujęcia pustych korytarzy i pokoi. Zliczał je w pamięci. Kiedy cykl dobiegł końca, obejrzał wszystkie główne pomieszczenia parteru i ciągi komunikacyjne piętra, ale nie zobaczył ani jednego ujęcia odciętego sektora najniższej kondygnacji. Ten rejon był dostępny dopiero po wpisaniu hasła. Pozostało mu zatem rozwiązanie siłowe.

Miał przy sobie wystarczająco dużo materiałów wybuchowych, żeby rozwalić wszystkie przeszkody, zwłaszcza tak niepozorne jak przeszklone drzwi. Nawet biorąc poprawkę na pancerne szyby. Tyle że wysadzenie ich mogło doprowadzić do eksterminacji więźniów, jeśli jeden z przeciwników nadal pozostawał w ośrodku.

- Cholerny brak rozpoznania – mruknął.

Działanie w ciemno. Tego – oprócz czekania – nie lubił najbardziej. Zazwyczaj w takich akcjach tracił najwięcej ludzi. I prawie nigdy nie osiągał wszystkich wyznaczonych celów. A ocalenie doktora Karewicza wydawało się celem nadrzędnym, zaraz po przejęciu kontroli nad ośrodkiem. Tylko jak przeniknąć na dolny poziom, nie budząc podejrzeń? To, że był niewykrywalny dla rosyjskich telepatów, ułatwiało sprawę, ale jak wysadzić drzwi, żeby i tego nie zauważyli?...

* * *

Kieliszek z oliwką stanął na stoliku dosłownie kilka sekund później. Sabina kiwnęła głową z uznaniem. Lis był wrogiem, ale zdawał się jednak mieć klasę.

– Ta wojna trwa od wielu lat – powiedziała, przełknąwszy pierwszy łyk zimnego, cierpkiego napoju. – I nie my ją zaczęliśmy. Słyszałeś o projekcie HAARP?

– Co nieco.

– Czyli nie słyszałeś.

– Nie słyszałem – przyznał Lis.

– Mało kto słyszał coś więcej niż pogłoski, a jeszcze mniej ludzi zrozumiało, o co w tym naprawdę chodzi. Amerykanie na Alasce, a dokładnie w okolicach miejscowości Gakoan ustawili spore pole anten, które oficjalnie służą do badania jonosfery. Tak się dziwnie składa, że nasze mózgi pracują na tej samej częstotliwości, co ich projekt.

– Kolejna teoria spiskowa? – Lis zmrużył jedno oko.

– I kto to mówi? – odparowała.

– OK. Już milczę.

– Skopiowaliśmy te rozwiązania i osiągnęliśmy zadziwiające efekty. Przy odpowiednim użyciu technologii HAARP można sterować reakcjami całych narodów.

– Skoro to takie dobre, dlaczego nikt tego jeszcze nie użył?

– Kiedy dwie, a nawet trzy strony posiadają tę samą broń... – zawiesiła znacząco głos. – A patrząc na to z innego punktu widzenia, spróbuj niepostrzeżenie zasadzić kilkadziesiąt hektarów takiego nadajnika.

– Trzymacie się w szachu?

– Można tak to nazwać. Amerykanie próbowali zastosować HAARP w Afganistanie, ale Chiny zagroziły odpowiedzią w pełnej skali. Zresztą to nie jedyny przykład. Dlatego programy takie jak „Stargate” wciąż istnieją, chociaż już nieoficjalnie. A my należymy do najbardziej tajnych jednostek na tym polu walki.

– Cudowne dzieci Putina – mruknął Lis.

– Lepszy Putin niż te wasze cudaki! – Sabina odbiła piłeczkę.

– Może. Ten numer z powrotem po premierostwie był prawdziwym majstersztykiem. Macie kolejnego cara. Tylko patrzeć, jak założą dynastię.

– Tak wam ciężko pogodzić się z tym, że stajemy się na powrót imperium?

– Z taką historią...

– A co ma do tego historia? Niemcy skopali wam dupę tyle razy, a teraz

jesteście najlepszymi przyjaciółmi w Unii.

– Kto komu co skopał wciąż pozostaje kwestią sporną – zachnął się Lis.

– Mnie to zwisa – odparła Sabina. – Liczy się to, że na świecie wciąż trwa walka, bezpardonowa i krwawa. O strefy wpływów, o realną władzę. Wiem o co najmniej pięciu wywiadach wykorzystujących esperów.

– Zapewne Mosad.

– Akurat mości są w tym ciency. Wszyscy stawiają ich jako wzór idealnych służb wywiadowczych, ale dzisiaj to tylko dawno przebrzmiała legenda. Nawet Japończycy wciągają ich nosem. Dzisiaj na polu walki pozostali Jankesi, my i Kitajce. Potem długo, długo nic i pojawiają się Unici.

– Unici? – zdziwił się Lis.

Sabina uśmiechnęła się z tryumfem. Ech, ci Polacy, biorą się za bary z całym światem, nie wiedząc nawet, z kim mają do czynienia.

– Tak, Francuzi i Niemcy. Niedawno zjednoczyli swoje siły. Mieliśmy sporo zabawy, wyrzucając ich z Warszawy. Na szarym końcu są Angole. Spadli o trzy oczka w rankingu niespełna rok temu. Starli się ostro z Kitajcami w Azji, o Tajwan, i jeszcze długo będą lizać rany.

– Witamy w wielkim świecie.

– Nie chcesz znać tego świata, uwierz mi. To nie jest zabawa w kotka i myszkę, każdego dnia walczymy o życie.

– Chyba żartujesz – prychnął telepata. – Kogo by interesowała...

– Egocentryk – przerwała mu Rosjanka. – Zresztą jak wy wszyscy. Myślisz, że tutaj dzieje się coś szczególnego? Po prostu likwidowaliśmy zagrożenie w naszej strefie wpływów. Kiedy nas tu wysyłano, nie mieliśmy pojęcia o waszym programie. Możesz sobie wyobrazić, jaki śmiech wzbudziła wzmianka o grupie Lewińskiego, kiedy wyciągnęliśmy ją z pewnego Niemiaszka. Powinieneś go znać, robił dla was research do programów telewizyjnych.

– Nie pracowaliśmy z żadnymi Niemcami – zaprotestował Mundeck.

– Jasne. Nad Wisłą mieszkają sami czyści Polacy, do dziesiątego pokolenia wstecz.

– Nie kojarzę żadnego obcokrajowca – upierał się telepata, coraz bardziej skupiając się na temacie narzuconym i zapominając o kontroli przeciwnika.

– Nikt go nie kojarzył w ten sposób. Na tym polega mistrzowska przykrywka.

Lis sięgnął po papierosy. Wiele się spodziewał po tej rozmowie, ale na pewno

nie takich rewelacji. Osobista rozgrywka z morderczynią okazała się tropem prowadzącym do nowej wojny światowej, w której wielkie mocarstwa szatkują swoich agentów na mentalnych polach bitew, rozciągających się od Alaski po Kapsztad. Miał wiele do przemyślenia, a im bardziej będzie się zagłębiał w temat, tym łatwiej będzie go zaskoczyć.

Sabina już zdecydowała, że Lis nie ma prawa przeżyć tego spotkania. Był. zbyt niebezpieczny – już jako nieopierzony żółtodziób dokonywał czynów godnych starych wyjadaczy, kimże więc mógłby się stać, gdyby trafił w ręce Trofima Jegorycza? Co by to oznaczało dla niej, wołała nawet nie myśleć. Zwłaszcza że był idealnym kandydatem na jej stanowisko.

– Przerażające to wszystko – powiedział telepata, wydmuchując sporą chmurę dymu.

– Dlatego zlikwidowaliśmy waszą ekipę w zarodku. Stanowiliście element destabilizujący dość czysty układ.

– A dlaczego nie próbowaliście nas przejąć? – zainteresował się Lis.

– A po co? Esperów na tak niskim poziomie mamy więcej niż nam trzeba. A szkolenie trwa latami i rzadko daje oczekiwane efekty.

– Więc tym bardziej powinniście skorzystać z moich usług. – Mundek uśmiechnął się promiennie.

– Jesteś ewenementem – przyznała Sabina. – jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka, espera, który w tak krótkim czasie wyewoluowałby o tyle klas.

– Zadziwiające, nieprawdaż?

– Prawdaż. – Po raz kolejny musiała się z nim zgodzić, nawet jeśli nie do końca poprawnie.

– I pewnie aż ci się uszy trzęsą, żeby poznać moją tajemnicę.

– Do pewnego stopnia... – Rosjanka zaczęła mówić i nagle coś jej zaświtało. Jak mogła być tak ślepa! Pozostawiony na pewną śmierć, konający, nagły przypływ energii... Klasyczny morehouse. Niewiarygodne, czyżby Lisowi udało się dowieść słuszności tej teorii?

– Chciałaś coś powiedzieć?

– Mówi ci coś nazwisko Morehouse? – spytała nagle.

– Nic a nic – odparł bez zastanowienia.

– Niewiarygodne.

– Co jest niewiarygodne?

– Twoja niewiedza. Przecież to podstawy. Morehouse był żołnierzem amerykańskim, inicjatorem programu pozazmysłowego postrzegania „Stargate” realizowanego przez DIA i CIA w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Twierdził, że zyskał swoje moce, kiedy wybudzono go ze śpiączki po groźnym postrzale w głowę. Że właśnie ta rana dała mu możliwość opuszczania swojego ciała i wędrowania w eterze do najdalszych zakątków świata. Chyba przez dziesięć lat usiłowaliśmy w warunkach laboratoryjnych odtworzyć ten wypadek, nie my jedni zresztą. Sporo ludzi poszło do piachu, sporo dobrych agentów, a efekty były więcej niż marne. W dziewięćdziesiątym siódmym zaprzestano jakichkolwiek prac w tym kierunku.

– Ciekawe... – powiedział Lis z lekkim roztargnieniem.

Sabina otrzymała ostateczne potwierdzenie swoich domysłów. Morehouse nie mylił się, a klucz do zagadki posiadał nie kto inny, jak Edmund Lis.

– Tak, nawet bardzo... – zgodziła się, chcąc wykorzystać jego chwilowy spadek koncentracji. – Powiedz, jak ci się udało przeżyć?

– Myślę, że o tym powinienem raczej porozmawiać z twoimi przełożonymi. – Nagle telepata zrobił się ostrożny.

– A ja myślę, że dotarcie do nich nie będzie łatwe, jeśli pominiesz mnie – zripostowała. – Wiem, że mam rację co do metody. Ciekawią mnie jedynie szczegóły.

– Diabeł w nich tkwi, jak mawiają – odparł.

Sabina zrozumiała, że rozpoczynają licytację, już drugą tego dnia. Ale tym razem stawka była o wiele wyższa.

– Co chcesz wiedzieć?

– Choćby, z kim tańczę – powtórzył wcześniejszą kwestię.

* * *

Kilka świec dymnych rzuconych w mroczny korytarz i po dziesięciu sekundach budynek rozbrzmiewał dziesiątkami dzwonek alarmowych. Karski przycupnął za pulpitem recepcji, ochraniając rękoma głowę. Maska przeszkadzała mu w obserwacji monitorów, woda ze spryskiwaczy ściekała po pleksiglasowym wizjerze, rozmywając wszystkie kontury, dlatego zdecydował się ją zdjąć. Na wstrzymanym oddechu mógł wytrzymać pod wodą nawet do trzech minut. Tutaj nikt nie wymagał od niego aż takiego poświęcenia. Co minutę, półtorej mógł zaczerpnąć tlenu przez filtry maski.

Tyle mniej więcej zajmował przegląd wszystkich kamer.

Dym walił zza drzwi aż miło, w korytarzyku był tylko jeden spryskiwacz, a tubka kleju uniwersalnego skutecznie wyeliminowała go z użytku, jeśli ktoś przebywał na terenie ośrodka, powinien lada moment wyjść albo przynajmniej spróbować kontaktu z dyżurnym. Dresiarz nie miał przy sobie żadnego radia, nawet komórki. Karski zaklął. Na co telepacie telefon, skoro ma pod czapką sporą radiostację? Czy brak odzewu nie spłoszy innych esperów? Raz jeszcze dokładnie obejrzał obraz na wszystkich monitorach. Nadal nie było nawet śladu ruchu.

Minęły cztery minuty – czas wystarczający, żeby sto razy zwiać z piwnic. Musiał się zdecydować na radykalniejszy ruch. Założył maskę i sięgnął po plecak. Pora na rozrywkową część występu.

* * *

– A jaką mam pewność, że mi kitu nie wciskasz? – zapytał Lis, kiedy Sabina skończyła mówić.

– Mniej więcej taką samą, jak ja – odparła nie bez satysfakcji.

Ani na moment nie otworzyła się podczas rozmowy, a to pytanie zdradziło go ostatecznie. Nie miał do niej dostępu, chociaż tak twierdził. A skoro tak...

– Niech ci będzie. Nie mamy przecież powodu, żeby się wzajemnie rolować.

– Na czym polega haczyk z Morehouse'em? – zapytała wprost.

– To chyba kwestia strachu – odpowiedział Mundek, choć nie od razu, sam po raz kolejny zastanawiał się nad swoją cudowną przemianą. – Biorąc ochotników do tego eksperymentu, który jak rozumiem polegał na kontrolowanym zadawaniu obrażeń głowy, nie uwzględniliście jednego czynnika. Założę się, że postrzały odbywały się pod narkozą albo coś w tym rodzaju. Sabina skinęła głową.

– Może niekoniecznie postrzały. Prokurowaliśmy obrażenia operacyjnie. Nie jesteśmy barbarzyńcami, jak niektórzy chcieliby to widzieć, nie żyjemy w czasach Stalina – obruszyła się. – Wszystkie eksperymenty przeprowadzano w warunkach laboratoryjnych. Obiekty były usypiane. Przecież prowadziliśmy badania na swoich ludziach.

– Wychodzi na to, że ucywilizowanie was zgubiło. – Lis roześmiał się złośliwie. – Znieczuleni pacjenci nie przeżywali tego co ja i Młody. Metoda Morehouse'a działa i ma się świetnie, pod warunkiem że doprowadzisz obiekt na skraj

śmierci klinicznej, a nawet nieco dalej, nie pozbawiając go przy tym świadomości.

– Job twoju... – Sabina pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Może to nie jedyny czynnik, ale na pewno kluczowy – dodał Mundeck. – Jeśli osoba, której się taka przygoda przytrafi, ma w sobie zadatki na espera, walcząc o życie, uaktywni je w pełnej skali. Uwierz mi, do dzisiaj nie wiem, jaki jest limit moich możliwości. Z każdą chwilą odkrywam kolejne moce, czy jak to tam zwać.

– Coś poza telepatią? – zacięła się Sabina.

– Jak do tej pory nie zauważyłem niczego takiego, ale też niespecjalnie wiem, czego wypatrywać – odparł Mundeck.

– Telekineza, pirokineza – wyliczała, patrząc mu w oczy. – Prekognicja.

– Jednorożec... – uśmiechnął się do wspomnienia.

Wyjął kolejnego papierosa z paczki, postukał nim o stół, a potem położył na popielniczce. Wyciągnął rękę nad stołem. Ustawił wyprostowaną dłoń tuż nad blatem i zamknął oczy. Zmarszczył czoło, jakby mocno się skupiał. Nic się jednak nie stało. Otworzył na moment jedno oko, potem znów zmarszczył brwi, tym razem zacisnął nawet zęby, aż mu pobieleły wargi. I nagle papieros zapłonął, nie na końcu, ale na całej długości.

Sabina uderzyła, zanim otworzył oczy. Wiele jeszcze ją ciekawiło, ale rozsądek podpowiadał, żeby zabić wroga natychmiast, zanim się połapie, że jej chwilowa słabość jest pułapką, lepem na jego próżność. Starła rodzący się uśmiech z jego pooranej zmarszczkami twarzy. Wisząca wciąż nad stołem dłoń Lisa spazmatycznie zadrżała. Telepatką uderzyła raz jeszcze, koncentrując się tym razem na sercu przeciwnika. Musiał zginąć, choć jego wartość dla Elity byłaby nieoceniona. Musiał umrzeć, gdyż żywy stanowił ogromne niebezpieczeństwo, nie tylko dla niej, ale dla całego projektu. Musiał odejść, bo już znała jego tajemnicę. Przerazającą tajemnicę, której wartość przekraczała ludzkie rozumienie. Przed chwilą uaktywnił w sobie moc firestartera. Ot tak, jakby to była najprostsza rzecz pod słońcem. Kto wie, co mu przyjdzie do głowy, kiedy pozna całą prawdę o swojej mocy? Po jaką władzę sięgnie?

Skupiła się aż do bólu. Technika, którą udoskonaliała latami w setkach starć, najpierw w zaułkach Moskwy, a potem w miastach Dalekiego Wschodu, jeszcze nigdy nie zawiodła. Zwykły człowiek padał martwy, zanim zdążył zrozumieć, co go spotkało. Doświadczony esper wiedział wprawdzie, co go zabija, ale i tak nie miał najmniejszych szans.

* * *

Karski wystawił końcówkę wzmacniacza optycznego za narożnik. Obraz pozostał martwy na wszystkich zakresach. Schował aparat do kieszeni uprząży i wyjął pistolet. Ostatni ładunek wyrwał sporą dziurę w śluzie, dzielącej część medyczo-rehabilitacyjną od reszty piwnic. Dymu było niewiele, a woda tryskająca ze spryskiwaczy szybko poradziła sobie z tłącym się gdzieś tam ogniem.

Andrzej przeskoczył nad kawałkiem pogiętego, nadtopionego pleksi i wymierzył w jedyny, niewidoczny z korytarza róg pokoju. Oprócz zdemolowanego sprzętu medycznego nie było w nim jednak nic ciekawego. Sprawdził raz jeszcze, po czym odwrócił się w stronę ściany, na której zauważył trzy pary masywnych drzwi. W celach było ciemno, podobnie jak w całym kompleksie, najwidoczniej alarm przeciwpożarowy, a raczej potoki wody nim wywołane doprowadziły do zwarcia w instalacji. Cicho trzaskające iskry strzelające z obudowy maszyny stojącej w głębi pomieszczenia potwierdzały te przypuszczenia.

Karski podszedł do pierwszych drzwi, sprawdził zamek. Miał do czynienia z elektronicznym cudeńkiem. Nie było dziurki od klucza, nie było czytnika ani panelu dotykowego. Nie widział jeszcze podobnej konstrukcji, ale już na pierwszy rzut oka zauważył, że wysadzenie tych drzwi nie wchodzi w rachubę. Siła eksplozji, potrzebnej do wyrwania stalowej płyty z trzech zawiasów, bez wątpienia zabiłaby osobę trzymaną w środku. A to oznaczało chwilowy pat, bowiem bez przywróconego zasilania nie miał szans na rozbrojenie zamków.

Obejrzał dokładnie resztę pomieszczenia. Na wprost cel stała spora konsola, wyglądająca jak pulpit sterowniczy. Niestety była kompletnie martwa. Żaden z licznych monitorów nie pokazywał obrazu, żadna kontrolka nie lśniła w ciemnościach.

Wrócił pod cele i zastukał w drzwi jednej z nich kolbą pistoletu. Mocno, kilka razy. Bez odzewu. Zbliżył twarz do prostokątnego wizjera, ale czerń po drugiej stronie była absolutna. Pomieszczenia najwidoczniej nie miały okien, a źródło światła zostało wyłączone podczas snu.

Nagle poczuł chłód pełzający po plecach. A jeśli system wentylacyjny więzienia również został wyłączony? Przecież ci ludzie mogli się podusić. Wyjął latarkę i zaświecił prosto w wizjer. Niewiele to dało, kilkuwarstwowe tworzywo zaparowało w paru miejscach, odbijało światło, raczej oślepiając niż pozwalając zajrzeć do wnętrza. Cholera, pomyślał Andrzej, minęło dopiero kilka, kilkanaście minut, a przy tej

kubaturze tlenu powinno starczyć na dłuższy okres czasu.

Cofnął się o krok. Zaraz, ksiądz mówił, że mijał drzwi pozostałych cel, kiedy wracał do swojej, a on przecież dobija się do ostatniej, najdalszej od wejścia. Raz jeszcze włączył latarkę i podszedł do środkowych drzwi. Zaświecił w wizjer z większej odległości i omal nie dostał zawału, kiedy do przezroczystego tworzywa z drugiej strony przylgnęło coś, w czym z trudem rozpoznał bladą, rozpląszczoną twarz. To chyba była kobieta, miała zbyt delikatne rysy jak na mężczyznę, do tego starego. Doktor Karewicz dobiegał sześćdziesiątki, sądząc z opisu przekazanego przez Lisa. Zatem tutaj siedziała jego asystentka.

Zaświecił raz jeszcze w stronę celi. Kobieta tłukła dłońmi w drzwi, krzyczała, ale do Andrzeja nie docierał żaden dźwięk. Zastanawiał się, co zrobić. Jak ją uspokoić. Słowa otuchy nie na wiele by się zdały. Poświecił na konsolę i sąsiednie biurka. Na jednym z nich stał wypełniony teraz wodą kubek, z którego woda wypchnęła garść flamastrów. Był między nimi gruby marker do pisania na płytach CD. Andrzej otworzył go i sprawdził na obudowie konsoli, czy nadaje się do użytku. Kreska była czarna jak smoła i całkiem gruba. Wrócił do drzwi i napisał na nich jedno słowo: SPOKOJNIE. Wprawdzie K wyszło mu odwrotnie, ale nie przejmował się tym. Oświetlił napis latarką. Trzymał ją przy wizjerze dłuższą chwilę. Kiedy zająrzył do celi, zauważył tylko fragment dłoni i ogromne, wystraszone oczy. Głowa uwięzionej poruszyła się w pionie. Zmazał litery i napisał kolejne słowa: MASZ POWIETRZE?

Kobieta zniknęła gdzieś w ciemności, ale po chwili wróciła do drzwi i potwierdziła kolejnym skinieniem głowy. To go ucieszyło. Nie musiał się spieszyć. Ostatnim napisem poprosił o cierpliwość.

Podszedł do iskrzącej wciąż aparatury, przyjrzał się uszkodzonemu sektorowi, potem sprawdził, skąd wychodzą kable zasilające. Niestety, czymkolwiek było owo urządzenie, zostało dokładnie zabudowane. Nie mógł dotknąć tej maszyny, dopóki spod sufitu tryskała woda.

Schował broń do kabury i usiadł na krawędzi konsoli, żeby się zastanowić. W półmroku i względnej ciszy, zakłócaney jedynie szumem wody z wciąż czynnych spryskiwaczy oraz odległymi dzwonekami alarmu, usiłował wymyślić sensowny plan działania. W zasadzie zabezpieczył budynek. Zanim zszedł do piwnic, sprawdził całe piętro, potwierdził w ten sposób liczbę przeciwników – było ich maksymalnie ośmioro. Tyle zamieszkaney pokoi znalazł na górze. Tak jak sądził, ostatni stał pusty, zapewne zarezerwowany dla gości. Nikt zatem nie powinien czaić się za załomem korytarza.

Mógł spokojnie zająć się wyłączeniem alarmu i przywróceniem zasilania. Resztę zostawi Lisowi.

* * *

Powinien paść na ziemię, wić się z bólu, spazmatycznie chwytać powietrze, kopać nogami. Powinien, i to już kilkanaście sekund temu, ale wciąż siedział na swoim miejscu, tylko już się nie uśmiechał.

Nie rozumiała tego. Każda żywa istota umiera, kiedy jej serce przestaje pracować. Nie ma innej możliwości. Po prostu nie ma. Lis musiał umrzeć, kiedy zatrzymała jego serce. Może niezupełnie w tej samej sekundzie, ale...

Skierowała swoją moc przeciw siedzącym obok ludziom. Kobieta z dzieckiem na ręku, jej przyjaciółka, para starszków siedząca stolik dalej. Jeden po drugim padali, wili się z bólu, krzycząc wniebogłosy. Nie straciła daru, wciąż mogła ranić i zabijać samą myślą. Więc zabijała. Skoro nie mogła dopaść jego...

Lis spojrzał na konających, ale na jego twarzy nie było widać strachu, nienawiści, odrazy. Pozostała zupełnie beznamiętna. Nawet oczy były puste jak u martwego człowieka.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał, nie podnosząc głosu.

Zamiast odpowiedzi plunęła mu w twarz. Uchylił się, jakby z góry wiedział, co teraz zrobi. Poczowała kłujący blask słońca na twarzy. Na moment oślepiło ją, a kiedy otworzyła znów oczy, nie było Lisa, nie było ciał leżących na bruku, nie było nic, tylko jej stolik i niekończąca się biel. Sabina zerwała się z miejsca, odwróciła nerwowo, gotowa do kolejnego uderzenia, jeśli tylko zobaczy cel.

– Dlaczego to zrobiłaś? – usłyszała za uchem.

Zamachnęła się z obrotu, mocno, tym razem zamierzała zranić go fizycznie, bez sztuczek i telepatii. Ale nikogo za nią nie było.

– *Siadaj!* – rozkazał głos z nicości.

– Pieprz się!...

Zanim skończyła krzyczeć, coś cisnęło nią o krzesło. Uderzyła plecami w metalową ramę, tracąc na moment oddech. Dusił się! To tylko cios w nerki, skurcz, opanuj się, dziewczyno! Kursy samokontroli nie poszły na marne. Z każdą sekundą ból malał. Wracał oddech. Uspokajała się.

– *Dlaczego to zrobiłaś?*

– *Kim ty u diabła jesteś?*

– *Przecież wiesz.*

– *Gówno prawda!*

Odwróciła się gwałtownie, ale od razu tego pożałowała, spazm bólu znów przeszył jej plecy.

Lis stał o dwa kroki od krzesła, gładził palcami wąsy i brodę, patrzył na nią z zatroskaniem.

– Nie chciałem tego – powiedział.

– Pierdolenie – wyszczała, usiłując wstać, ale nie mogła, znów opanował jej ciało.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Zdradziłeś mi jedną z najbardziej pożądanых tajemnic naszego świata. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podzieliłby się czymś takim z wrogiem. Chyba że...

Lis uśmiechnął się łagodnie.

– Masz rację, pogrywałem sobie z tobą od początku. Jedyne, na czym mi zależało, to informacje o twojej organizacji.

– Zatem masz problem. – Sabina wybuchnęła nerwowym śmiechem. – Bo ja cały czas kłamałam.

– Nie szkodzi. Ja też cię okłamałem. Twój ludzie wciąż żyją, choć ten stan lada moment ulegnie zmianie. Dzięki sztuczce, której mnie teraz nauczyłaś, będzie to o wiele prostsze. Przynajmniej dla dwóch z nich. Myślę, że Gorgadze jest idealnym materiałem na informatora.

– On gówno wie.

– Gówno to znacznie więcej niż nic, sama przyznasz. A mnie wystarczą tylko nazwiska, parę adresów. Po nitce do kłębka, jak mawiają.

Twarz Sabiny wykrzywiła nienawiść. Zawyla jak zwierzę schwyte w sidła. Tak pragnęła dopaść tego starucha, zmiażdżyć go, rozszarpać na strzępy. A on stał spokojnie o metr od niej i uśmiechał się jakby nigdy nic.

– Zabiję cię! – krzyknęła zachrypniętym głosem.

Pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

– Zdechniesz, gnoju... – charczała; rozwścieczał ją do granic szaleństwa tym spokojem, a zwłaszcza radosnym uśmiechem. – Kiedy mój ojciec cię dopadnie, będziesz zdychał, będziesz błagał o litość, o to, żeby cię dobili...

– Tak jak ty teraz?

– Nigdy! – Znów zawyła, jeszcze głośniejsze, jeszcze boleśniej. Zaczynała tracić zmysły. Otworzyła się sama, nawet o tym nie wiedząc. Na kilka sekund najwyżej, ale to wystarczyło. – Zawyjesz z rozkoszy, kiedy przyjdą cię dobić, ale to pozorne wybawienie będzie dopiero początkiem twojej prawdziwej męki. Trafisz w łapy Trofima Jegorycza i dowiesz się...

– Żegnaj, kruszynko, muszę już lecieć. Jest jeszcze tyle do zrobienia – powiedział Lis, wymawiając te słowa najdelikatniej, jak tylko potrafił, gdy na chwilę zamilkła łapiąc oddech, i odwrócił się. Ruszył prosto w biel, a ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których prócz szaleństwa pojawiła się iskra zrozumienia. Kruszynko... Z tym słowem dotarła do niej świadomość, że została złamana. Że znienawidzony wróg dostał wszystko, czego chciał.

Zamilkła. Odwróciła się do stolika, ale zamiast niego zobaczyła tylko idealną biel. Zerwała się z krzesła, by dostrzec po chwili, że i ono zniknęło. Stała pośród niekończącej się nicości.

– Zabij mnie... – wyszeptowała, wiedząc, co ją czeka. – Błagam...

Lis poprawił się na krześle. Zasluchani Niemcy wciąż siedzieli wokół niego, a przewodniczka mocno już zachrypniętym głosem nadal rozprawiała, wskazując na kolejne budynki. Mundek spojrzał w stronę ławek, obaj Ukraińcy siedzieli tak, jak ich zapamiętał. Nic dziwnego, minęło może kilkadziesiąt sekund od czasu, gdy spojrzał na nich po raz ostatni. Wizje mają to do siebie, że czas w nich płynie zgodnie z wolą człowieka.

Telepata wstał, do załatwienia została mu już tylko jedna sprawa. Prosta sprawa. Sięgnął szybko w stronę toyoty i jednym impulsem wyłączył Gruzina. Tak jak przypuszczał, facet był najsłabszym ogniwem w zespole. Nawet nie zareagował. Ukraińcy okazali się zdecydowanie lepsi. Wyczuli jego obecność, choć sygnał był kierunkowy. Mundek wprawdzie dopiero przed chwilą wykrał tę technikę z umysłu Sabiny, ale zastosował ją na tyle dobrze, że Diaczenkowie nie zdołali go zlokalizować. A gdyby nawet – ich los był i tak przesądzony.

Mundek wszedł w Siemiona i zatrzymał jego serce. Zrobił to, wybierając równocześnie numer komórki Młodego. Nie spoglądał nawet w stronę zbiegowiska. Impuls nadany do Wasyla trzy sygnały później upewnił go, że już po sprawie.

– I jak tam, dziadzia? – Młody chyba strzelił sobie drinka, w każdym razie brzmiał dziwnie.

– Na rogu Odrzańskiej stoi czarna toyota dreamcatcher. Za trzy minuty widzę

cię przy niej.

– Tajest!

Mundek zamknął telefon. Do tej pory nigdy nie zabił człowieka, a dzisiaj miał już na koncie dwa odebrane życia. I jedno doszczętnie zniszczone. To nie nastrajało do żartów. Ruszył, przepychając się przez tłum ludzi tłoczących się wokół ławek, na których leżały zwłoki ukraińskich esperów. Ich martwe oczy spoglądały prosto w błękit bezchmurnego nieba. Widział to wyraźnie oczyma gapiów z pierwszego szeregu. Spojrzał tylko na moment i od razu poczuł mdłości. Napuchnięte sine twarze, wywalone języki, wybałuszone oczy i zatykający oddech odór. Byli półbogami, wydawało się, że rządzą światem, a on w jednej chwili zmienił ich w upaprane ekskrementami, gnijące powoli bryły mięsa. Mógłby zrobić to samo z całym tym tłumem... Mógłby, ale wiedział, że nie zechce, nigdy nie zechce. Resztki nienawiści, którą wchłonał z wiedzą Sabiny, znikaly błyskawicznie. Kiedy przechodził obok „Literatki”, był już zupełnie spokojny... Widząc jej zastygłą twarz, poczuł nawet żal. Natychmiast odwrócił wzrok, wiedział, że nie należy spoglądać na ofiary. Za często się potem śnią. Nawet jeśli wydaje ci się, że nie masz serca ani sumienia. To też była część wiedzy pochodzącej od Rosjanki.

Zakpił z niej straszliwie. Stworzył iluzję idealnie odpowiadającą wyglądowi miejsca, w którym przebywała, i przeniósł ją do niej. Dlatego nie mogła mu nic zrobić. Gdyby faktycznie siedział tam, gdzie skierowała swą niszczycielską moc, zapewne od razu by zginął. Nie wiedział, że esperka zamierza uderzyć, dopóki nie skierowała strumienia energii na puste krzesło, w miejsce, w którym teoretycznie znajdowało się jego serce. Nie potrafił przełamać jej barier, choć bardzo się starał. Jeśli osiągnęła taki poziom bez stymulacji Morehouse'a, to kim byłaby po przejściach Lisa? Aż strach pomyśleć.

Od początku rozmowy wiedział, że tylko jedno z nich może ująć z życiem z tego starcia. Grał tak, jak Sabina. Pokonał ją jej własną bronią. Tyle że cały czas mówił prawdę. A ona często kłamała. Teraz widział to dokładnie, mając w swoim mózgu wszystkie jej myśli i tajemnice. Powiedziała dzisiaj wiele na temat Elity, ale niemal wszystko okazało się kłamstwem. Chroniła ojca i jego mocodawców do samego końca, dopóki szaleństwo nie przełamało ostatniej bariery.

Telefon zawibrował w kieszeni. Mundek wyjął go i spojrział na wyświetlacz. Wiadomość od Andrzeja. Otworzył aparat i przeczytał krótką wiadomość. Kilka literek i cyfr, a tyle treści. Akcja w ośrodku zakończona. Więźniowie uwolnieni.

Rosjanie wyeliminowani. Ekipa wycofała się bez strat. Wpisał umówiony sygnał odpowiedzi i schował telefon. Niech się cieszą. Niech uważają, że to już koniec, że zlikwidowali zagrożenie. Niech świętują powrót do normalności. O tym, że ta wojna dopiero się rozpoczęła, powie im jutro, na miejscu.

Mundek stanął na rogu, przy toyocie, i spojrzął w głąb ulicy. Minęły już cztery minuty, a Młodego nadal nie było.

– Co jest, dziadzia, mocz ci odebrało? – Drgnął, słysząc głos tuż przy uchu.

Obejrzał się – uzdrowiciel stał przy ścianie, trzymając w ręce otwartą puszkę red bulla.

– *Wsiadaj do wozu.* – Chciał powiedzieć te słowa, ale głos najwyraźniej odmówił mu posłuszeństwa. Dlatego zalsnił.

Młody nagle przestał się śmiać.

– Co jest? – zapytał, podchodząc do Lisa. – Mam cię doładować?

Telepata pokręcił głową. To nie była kwestia ciała, tylko psychiki. Po prostu wyczerpał energię, dotarł do kresu swojej wytrzymałości. Młody otworzył mu drzwi, posadził na tylnej kanapie i zapiął pas. Jakby Mundek był stetryczalym starcem albo inwalidą.

– Ja prowadzę czy nasz nowy kolega?

Lis nie od razu zrozumiał, ale kiedy wreszcie dotarł do niego sens tych słów, Gruzin przesiadł się grzecznie na miejsce pasażera.

Młody zajął miejsce za kierownicą.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Na pewno nie chcesz seansu?

Mundek pokręcił głową. Potrzebował tylko spokoju. Spokoju duszy. Ale na to się nie zapowiadało.

– Załatwiłeś sukę? – Młody nagle zmienił temat.

– *Tak...*

– Na śmierć?

– Me...

– Pojechało cię?! – Uzdrowiciel już przekręcał kluczyk, ale nagle cofnął rękę.

– Me...

– Nic z tego nie rozumiem.

– *Jedź...*

– Nie.

– *Jedź!*

– Nie! – Uzdrowiciel postawił się. – Dopóki mi nie powiesz, co się z nią stało, nigdzie się stąd nie ruszę.

Mundek podniósł głowę i skrzywił się, kiedy minęła ich karetka na sygnale, jakby ten dźwięk fizycznie go zranił.

– Dziadzia, nawijaj, proszę cię... – Młody nie ustępował.

– *Nie martw się. Zostawiłem ją w miejscu, z którego nie ma powrotu* – załsnął Mundek.

– Jesteś tego pewien?

– *Tak...*

– Naprawdę jesteś tego pewien?

Tym razem telepata nie odpowiedział od razu. Nie był wcale pewien, czy inny esper nie będzie w stanie dotrzeć do wewnętrznej przestrzeni, w której została uwięziona. Zwłaszcza ktoś tak dobry, jak ojciec dziewczyny. Szybko migające obrazy ukradzione z jej świadomości zdawały się potwierdzać obawy uzdrowiciela.

– *Nie jestem...* – odpowiedział w końcu.

– Zatem skończ robotę.

– *Proszę...*

– Skończ robotę. – Młody był uparty jak osioł. – Mulder, jeśli coś spieprzysz, zapłacimy za to wszyscy, ja, Karski, jego chłopcy i rodzina. Chcesz tego? Nie możemy zostawić za sobą żadnego śladu.

Mundek milczał. Zamknął oczy, jakby zasypiał z wyczerpania. Nie zareagował nawet na histeryczny krzyk, jaki rozległ się z płyty Rynku kilka sekund później.

* * *

Do brzęczenia jarzeniówek można się przyzwyczać, do ich migotania niekoniecznie. Człowiek czuje się jak w stroboskopie, a po godzinie pragnie tylko, żeby cholerna świecąca rurka wreszcie pękła z trzaskiem, dając oczom choć chwilę wytchnienia.

W przedsionku prosektorium centralnej kliniki wojskowej imienia profesora Religi takich migających świetlówek było kilkanaście, nikt się nimi nie przejmował, bo i też rzadko kto przebywał tutaj dłużej niż kilka minut. Niestety, dzisiaj właśnie nastąpił ten rzadki, wyjątkowy moment i Mariusz Skalski, klnąc ile wlezie, sterczał pod trzeszczącymi lampami, życząc im jak najszybszego zejścia z tego łoż padołu.

Stał tutaj, bo jakiś wysoko postawiony pajac zażyczył sobie obejrzeć zwłoki i nie raczył przybyć o umówionym czasie. Spóźnił się już o całe pięć minut, o czterysta trzydzieści dwa mignięcia i niewiele mniej trzaśnieć. Dla człowieka z zespołem Aspergera liczenie znienawidzonych anomalii było prawdziwą torturą.

– Jeszcze sześćdziesiąt osiem i wychodzę – mruknął do siebie Mariusz. Nie cierpiał tych lamp, przyciągały jego myśli jak magnes, ilekroć tutaj zaglądał, jakby były żywe, jakby czerpały z tego satysfakcję.

Następne trzaśnięcie było głośniejsze. Skalski drgnął. Drzwi wahały się, wpuszczając do przedsionka czterech mężczyzn. Dwaj wysocy, w nieskazitelnie czarnych garniturach, mieli słuchawki w uszach, na kilometr czuć było od nich specsłużbami. Trzeci, również wysoki, miał o wiele lepiej skrojony garnitur, pachniał też zdecydowanie lepiej. Ostatni z wchodzących był dużo starszy od swojego towarzysza i najniższy z nich wszystkich, nosił jasną marynarkę z łatami na łokciach i wełniane spodnie. W odróżnieniu od pozostałych nie miał krawata. Koszula rozpięta pod szyją pozwalała mu swobodniej oddychać.

Ochroniarze zatrzymali się po obu stronach drzwi, dwaj mężczyźni zbliżyli się do sanitariusza.

– Pan Skalski? – zapytał niższy z nieznanym z dziwnym, chyba wschodnim akcentem. Mariusz skinął głową. Pomyślał, że to może być naleciałość z Kresów, ale z tak krótkiej wypowiedzi nie był w stanie wychwycić nic więcej. – Nazywam się Rostkowski, Trofim Jegorycz Rostkowski... – Mężczyzna przedstawił się, wyciągając rękę na powitanie, ale jego dłoń zawisła w próżni. Mimo to kontynuował, jakby nie zauważył tego drobnego afrontu. – Oto mój przyjaciel, Dawid Pawłowicz Kadyrow. Najmocniej przepraszam, że zmusiłem pana do czekania w miejscu, którego pan tak nie lubi. Ale dla mojego przyjaciela ta sprawa jest znacznie bardziej nieprzyjemna. Szukamy jego córki, która zaginęła parę dni temu. Poinformowano nas, że w waszej kostnicy znajduje się...

Mariusz nie czekał, aż przybysz skończy mówić. Wskazał głową drugie drzwi i ruszył przodem. Chciał mieć to za sobą. Współczuł elegantowi straty, ale doliczył się już czterystu osiemdziesięciu mignięć.

– Sala numer dwa – rzucił. – Wszystko jest przygotowane do okazania.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział, ale posłusznie ruszyli za Mariuszem. Goryle zostali przy wejściu.

Stół, na którym leżały zwłoki, przykryty był śnieżnobiałym prześcieradłem.

Wystawały spod niego jedynie stopy. Na prawym dużym palcu wisiała karta identyfikacyjna. Mariusz sprawdził numer na niej zapisany i przeszedł do wezgłowia.

Starszy z mężczyzn zatrzymał się obok stołu. Na wysokości klatki piersiowej ciała leżącego pod prześcieradłem. Skinął głową sanitariuszowi. Biała materia z cichym łopotem odsłoniła twarz denatki. Skalski widział już różne rzeczy, trafiali do niego ludzie w najrozmaitszym stadium rozkładu i rozczłonkowania, podchodził więc do kolejnych ofiar jak do bezosobowych przedmiotów swojej pracy. Za to dla eleganta, który trzymał się z tyłu, nie był to z pewnością najprzyjemniejszy widok. Co ciekawe, starzec spoglądał na napuchniętą, nienaturalnie wykrzywioną twarz denatki z całkowitym spokojem. Po chwili odwrócił się do swojego towarzysza. Spojrzał na niego pytająco, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

– Dawidzie Pawłowiczu...

Elegant spojrzał nieco przytomniej i pokręcił powoli głową.

– Czy mogę? – zapytał nagle Rostkowski, wskazując równie napuchniętą rękę denatki.

– Regulamin zabrania dotykania zw... – Mariusz w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Proszę się nie obawiać, jestem lekarzem. – Rostkowski wyjął z kieszeni własne rękawiczki chirurgiczne. – Twarz jest poważnie zniekształcona i choć zdradza podobieństwo do Nadii, chciałbym dokonać dokładniejszych oględzin, aby potwierdzić tożsamość. Córka mojego przyjaciela miała niewielki tatuaż w kształcie trzech gwiazdek w okolicach nadgarstka.

Mariusz chciał zaprotestować, ale nie potrafił. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, zazwyczaj dość ostro reagował na wszelkie przejawy naruszenia regulaminu kostnicy, a teraz... Po prostu odwrócił się na chwilę, jakby chciał okazać szacunek strapiionemu rodzicowi.

– Nie ma tatuażu – powiedział Rostkowski. – To nie twoja córka.

– Nie. Dzięki Bogu... – W tych słowach, ku zdziwieniu Mariusza, nie dało się wyczuć ulgi. Spojrzał z zaciekawieniem na ojca ofiary. Elegancko ubrany człowiek, także ze wschodnim akcentem, skłamał. Ale dlaczego? Starzec odchodził od stołu z lekko pochyloną głową. Rękawiczki trzymał nadal, choć powinien je wrzucić do kosza stojącego obok stołu.

– Mam nie pisać, że to pana córka? – zapytał Mariusz, spoglądając na eleganta.

– Nie, proszę nie pisać. – Mężczyzna odwrócił się i minął obojętnie Skalskiego.

Drzwi przytrzymywane przez chwilę ręką starca zamknęły się za Dawidem Pawłowiczem, odcinając go od chłodu miejsca spoczynku ciała jego jedynej córki.

– Lis, Edmund Stanisławowicz Lis... – powiedział Trofim Jegorycz, wychodząc z przedsionka pomiędzy ochroniarzami. – Ciekawe...